

EPEA  
Almanach



# E P E A

ALMANACH

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego  
Białystok 2015

Zespół redakcyjny  
Jan Leończuk  
Dominik Sołowiej

Korekta  
Dominik Sołowiej  
Grzegorz Kowalski

ISBN 978-83-63470-64-7

TOM XIV

Wydawnictwo  
Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego  
ul. Jana Kilińskiego 16  
15-089 Białystok



Nadesłanych materiałów redakcja nie zwraca.

Skład i druk

**druk-24h.com.pl**  
DRUKARNIA CYFROWA

Białystok, ul. Zwycięstwa 10  
tel. 85 653-78-04  
e-mail: [biuro@partnerpoligrafia.pl](mailto:biuro@partnerpoligrafia.pl)

## Spis treści

### Janusz Andrzejczak

Do Jana . . . . .	13
Gdy kiedyś . . . . .	14
Ostatni jaśmin . . . . .	15

### Halina Alfreda Auron

Z nadzieją . . . . .	16
W niewinnym . . . . .	16
Sejneńska Królowo . . . . .	17
U brzegu różańca . . . . .	18
Przez chwilę . . . . .	18
Nierozgarnięta . . . . .	19
Nasz dom . . . . .	20
Nadbiebrzańskie dary . . . . .	21

### Janina Bagińska

Pamięci lustro . . . . .	22
Panta rhei . . . . .	23
Wspomnienia . . . . .	23
Barwy jesieni . . . . .	24
Jesienne myśli . . . . .	25
* * * z okna . . . . .	25
Tam gdzie cisza . . . . .	26

### Danuta Bartosz

Tytułowe składanki w malarstwie Rapsy: . . . . .	27
Przywitanie dnia . . . . .	28
Morskie inspiracje . . . . .	28
Wędrowne ptaki . . . . .	28
Miasto manufaktur i rzek . . . . .	29

### Juliusz Batura

Żaboludki . . . . .	31
---------------------	----

### **Irena Batura**

Z opowieści Teściowej Heleny. . . . .	44
Kiedyś w Siemianówce. . . . .	45
Ballada o mękach kochania. . . . .	48

### **Eligiusz Buczyński**

franz k. . . . .	50
henry m. . . . .	50
carl gustaw j. . . . .	51

### **Urszula Cioch**

Zegar. . . . .	52
*** Moje ręce. . . . .	55
*** uczyć się na błędach . . . . .	56
*** po narodzinach może przyjść . . . . .	56

### **Apoloniusz Bogumił Ciołkiewicz**

Sędzia Helena Kurcewicz-Skrzetuska. . . . .	57
---	----

### **Małgorzata Dobkowska**

Godło / Znak. . . . .	64
Nagranie. . . . .	64
Dionizje małe . . . . .	65
Wystawa u „karnego” . . . . .	66
* * * od czego ten klucz . . . . .	67
* * * upadła mi kiedyś do rąk gwiazdka . . . . .	68

### **Marek Dobrowolski**

* * * miałas być wiecznym słońcem. . . . .	70
* * * w moich prognozach. . . . .	70
* * * i spełniło się . . . . .	71
* * * trawa żyje . . . . .	71

### **Józefa Drozdowska**

Matylda. . . . .	73
*** Z uszu moich kotów . . . . .	73
Scena z Aniołem . . . . .	74
* * * Każda chwila dorzuca blasku. . . . .	75
* * * Lato już dopełniło się . . . . .	76

**Jolanta Dzienis**

Z górki na pazurki .....	77
Na saneczkach .....	78
Marcowa marzanna .....	79
Marcowa marzanna .....	80

**Eligiusz Dymowski**

Wyznania Jacquesa Brela do żony .....	82
Do Włodzimierza Tetmajera słowo .....	82
Alegoria trwania .....	83
Requiem dla Haliny Poświatowskiej .....	83
Notatki z pewnych rekolekcji .....	84
Z Pieśni nad Pieśniami. ....	84
Milczący Anioł .....	84
Staruszkowie z M2 .....	85
Ojciec w szpitalu .....	86

**Jerzy Fryckowski**

Wyjazd do rodziców .....	87
Fioletowe szlafroki naszych matek .....	88
Nasze matki płoszą śmiechem wiewiórki .....	88
Trzeci pogrzeb Sarbiewskiego .....	89
* * * Pierwszy zwątpił pies. ....	89
Zaproś mnie .....	90

**Krystyna Gudel**

Do Pani I. ....	92
Tryptyk październikowy .....	94
We dwoje .....	96

**Izabela Iwańczuk**

Telefon .....	98
Przedpokójwojna .....	98
Orkan .....	98
Idą święta / rabat na świat .....	99
Tło .....	100
Przed czterdziestką ziemia obraca się szybciej .....	100
Hit za hitem .....	101

Jutrznia autsajdera .....	101
Szachownica .....	102
<b>Jacek Juskiewicz</b>	
Bestia (fragment powieści „Jager”).....	103
<b>Julia Kaczmarzyk</b>	
Wspomnienie?.....	110
Jestem.....	110
W zamknięciu .....	111
Przebudzenie .....	112
Obok was .....	113
Wiersz.....	113
<b>Hanna Karaś-Karp</b>	
Z cyklu: Wileńskie pisanie.....	114
Fragmentarycznie.....	114
Już można mówić głośno.....	115
Warszawa 2010 .....	116
Jeźdźcy Apokalipsy.....	117
Milczący .....	117
96 par oczu. ....	118
Kioskarka z budki Agory.....	118
Na skrzyżowaniu.....	119
<b>Jan Leóńczuk</b>	
*** Niebo ciężkie od aniołów .....	120
*** cud zmartwychwstania dokonywał się .....	120
*** Tylko pod krzyżem .....	120
*** Na kalenicy .....	121
*** To tylko wers przystanął .....	121
*** W kopułach świątynnych .....	121
*** wyżłoczone wieże .....	122
*** w prostocie swojego serca.....	122
*** Hospody pomyłuj .....	122
*** W nadziei niczym niezmaczonej.....	123
*** aniołowie czuwają w świątyniach .....	123
*** Hospody pomyłuj!.....	123



*** odloty pożegnalne ptaków .....	123
*** w Domu Bożym .....	124
*** święty Mikołaj .....	124
*** przy krzyżach .....	125
*** Święci .....	126
<b>Piotr Malinowski</b>	
Prolog .....	127
<b>Grzegorz Nazaruk</b>	
*** posiała owies .....	131
*** kamienną miną .....	131
*** wicher ciosa na grani .....	132
<b>Barbara Noworolska</b>	
Pani .....	134
Zachód .....	135
Erotyk .....	135
<b>Janina Osewska</b>	
List od Łucji z Carteret, 1996 rok .....	137
List od Łucji z Carteret, 1999 rok .....	138
<b>Krystyna Perkowska-Mazerska</b>	
Raj .....	139
<b>Hubert Piętka</b>	
Pycha .....	152
Przemienienie Pańskie .....	153
Najoczywistsza, najprawdziwsza .....	153
*** Moja klaso .....	155
Łza Boga .....	156
Do poety!	
– w rekordowo upalny dzień lata .....	158
<b>Mirosław Pisarkiewicz</b>	
Bruno Jasiński rozmawia z Bogiem .....	159
Carlebach .....	160
George Sand zakłada sukienkę .....	160
List do Jacka Kaczmarskiego .....	162

Lautreamont .....	162
Mostar. ....	163
Obłąd .....	164
<b>Ks. Rajmund Ponczek</b>	
Wieczory poezji. ....	166
Mowa do Hioba o wolności. ....	166
Leżenie krzyżem .....	169
Plan działania .....	170
<b>Edward Przebieracz</b>	
Diogenes. ....	172
Judasz .....	172
Krzyż. ....	173
Prośba. ....	173
*** kiedy umiera człowiek .....	173
Wigilia .....	174
Z teologii krzyża .....	174
Maryja. ....	175
Bartymeusz .....	175
<b>Edyta Poskrobko</b>	
*** oczyszczam mój świat .....	176
*** Kobieta jak nostalgiczne westchnienie .....	176
*** Polityczną poprawność wierszy .....	177
*** Słońce jak rozpalony parowóz .....	177
<b>Marcin Powichrowski</b>	
Poezja, czyli pamięć i ocalenie.....	179
Wypowiedzieć rzeczy niewypowiedziane.....	182
Opowieść o rzeczach bezcennych.....	185
<b>Edyta Sawicka</b>	
Dziewczynka w czerwonej sukience [Fragment] .....	188
<b>Bożena S. Bart</b>	
Kurtyna. ....	192
<b>Erazm Stefanowski</b>	
*** nie biczuj się .....	202

Owoc miłości . . . . .	203
Łotr . . . . .	203
Triduum . . . . .	204
Zupełnie niezyciowy przerywnik życiowy . . . . .	205
<b>Józef Suchocki</b>	
Ku obronie . . . . .	208
U stóp Matki . . . . .	209
Kochać . . . . .	209
Ojczyzna . . . . .	210
Ślady . . . . .	211
Kazałeś nam kochać . . . . .	212
<b>Regina Świtoń</b>	
Ziemio Podlaska . . . . .	213
Podróż magiczna. . . . .	214
W podlaskim dworku. . . . .	214
Do Jaskranki . . . . .	215
*** noc szaroperłową iluzją opada. . . . .	216
*** noc szaroperłową iluzją opada. . . . .	217
<b>Krzysztof Jan Wądołowski</b>	
„Kwiaty zerwane wienią” . . . . .	218
Wrócisz do mnie wiosną, gdy zakwitną magnolie . . . . .	219
Napisać chciałem wierszyk dla Tosi . . . . .	220
„Kapłan z wiatykiem” . . . . .	221
Bywałem nieraz w Krynkach. . . . .	221
<b>Lech Wilczek</b>	
O uczuciach zwierząt . . . . .	224
Rysunki. . . . .	229
<b>Wojciech Załęski</b>	
Rysunki. . . . .	237
<b>Ks. Andrzej Ziółkowski</b>	
*** Czym sól posolić . . . . .	245
*** być złotym liściem na ramionach drzewa . . . . .	245
*** Uczucie to struny duszy tręcane. . . . .	246
*** by zajrzeć po latach . . . . .	246

* * *	dwa światy spotkały się na zwykłym drzewie .....	247
* * *	Jest taki czas kiedy tchórzostwo .....	247
* * *	brzozy.....	248
* * *	Twoją jest zieleń wśród drzew ukryta.....	249
<b>Laureaci konkursu literackiego .....</b>		<b>250</b>
	Krystyna Gudel .....	252
	Bożena Matwiejczuk .....	253
	Regina Świtoń .....	255
	Józef Banasiak .....	256
	Jolanta Maria Dzienis .....	258
	Janina Jakoniuk .....	259
	Marek Krysiwicz .....	261
	Bogusława Wierzbicka .....	263
	Zyta Gieleżyńska .....	265
	Noty o autorach .....	271

## Janusz Andrzejczak

### Do Jana

Na nic już zda się  
moje spojrzenie  
po horyzonty sine  
kochane moje Podlasie  
Podlasie moje jedyne

Tak mi w tej mgle  
powłóczystej znikasz  
że nie znajduję nawet  
twego błędnego ognika

Oddałbym swój gotyk  
za twoje drewniane płoty  
za twego prostego człowieka  
by się od niego uczyć  
pokornie czekać

Dałbym się przypiąć  
ciałem i duchem  
nawet i łańcuchem  
do wyniosłego krzyża  
którego zasiał  
od Mielnika do Wізajn  
duch Podlasian

W brzezynie dziki łubin  
na łące naparstnica  
bodaj i bym się w tym

zgubił  
zanim się pozachwycił

Dałbym się twoim zniewolić  
łąkom wodom lasom  
by mniej bolało  
boli  
że nie ma mnie nad Biebrzą  
pod dębem jak parasol

Do źródeł mi do studni  
gdzie ogród krzyż altana  
trzeba mi  
do Łubnik  
do  
Jana...

### **Gdy kiedyś...**

Kiedyś wyruszę na Podlasie  
chatkę odnajdę Wołoszyna  
zamieszkam w niej i jeśli da się  
wszystko od nowa pozaczynam

Że nie wytrzymam nie dam rady  
będą mi huczeć cztery kąty  
na to gazetę z dna szuflady  
wyjmę z lat wczesnych pięćdziesiątych

Przez chwilę wczytam się w minione  
by i w to ogniem nie inaczej  
będę spoglądał jak czas płonie

a ja w tym będę pogrzebaczem

Do kubka który bardziej sitem  
należę wody lasem świętej  
spiję kroplami co ukryte  
co naj z wszystkiego niepojęte

I tylko będę nasłuchiwał  
co zwierz szsześcił co wiatr nawiał  
skąd pieśń się niesie tęskna tkliwa  
skąd duch tchnie wieje  
prawosławia

### **Ostatni jaśmin**

Jeszcze gdzieniegdzie kwitnie jaśmin  
pod lipcowego nieba strzechą  
otacza wonią drzwi do baśni  
w ów czas co jak kukułcze echo

Po babci pozostała chata  
mgła w jesień z niej się snuje polem  
by z końcem czerwca świtem lata  
stać jaśminowym się aniołem

Jak motyl żuczek liszka królik  
połóż się pod nim słodko zaśnij  
niech cię przygarnie niech przytuli  
ostatni może w świecie jaśmin...

## Halina Alfreda Auron

### Z nadzieją

[Daruni W.]

wiosna  
rytmy ulicy dotyka wyścig szczurów...  
gonisz z bagażem stresu, rozliczeń, spalin  
... wpadnij nad Narew tu  
radość zieleni, słońca, kwiatów koloryt  
z przydrożnych trzcin świeży oddech ziemi,  
kiedy wiatr żarem odsłania ramiona  
pięknieją usta i  
oczy, jak przedtem miłość - ta pierwsza  
kiedy falą przybliża diamenty  
... poprawiam kapelusz w lustrze wody  
cichutko – my przebrani muzyką  
brodzimy jeszcze ku wyspie zarannej

*10.03.2004r.*

### W niewinnym...

w niewinnym Ogrodzie Oliwnym  
niełatwa głębia cierpienia  
Osamotniony  
dla odkupienia grzechów  
całego świata



dzwony dzwonią  
modlitwą wiary świętej  
każdemu z nas  
płynie sprawiedliwa Miłość

*10.02.2015r.*

## **Sejneńska Królowo**

[Daruni]

Matko Boża wędrująca  
w zakolach rzeki Marycha  
na szlaku moren czołowych po łąkach  
i wrzosowiskach o zapachu mchów,  
świerków, w kłosach zbóż i macierzanki...

Jesteś tak cierpliwa o łagodnych oczach -  
przytulasz odrzuconych, ubogich, strapionych,  
oplątanych jesienną samotnością  
rozpostartym szeroko płaszczem...

Sejneńska Madonno  
zanurzona w mocy Trójcy -  
zawsze łapię oddech nie po kryjomu  
u wrót Twojego Ołtarza i...

błagalno – dziękczynny szept  
– bądź pochwalona Królowo nasza  
i świata

*20.10.2014 r.*

## U brzegu różańca

Rodzicielko Pięknej Miłości,  
Lilio Biała o włosach zboża  
zawsze jesteś moją Gospodynią  
darów mądrości i pokoju

Cudowna Królowo Ludźmierska,  
Sejneńska, Częstochowska,  
kiedy kości i oczy się kurczą  
wracasz gesty uczynne aniołom,  
aż się ukwieca każde serce i usta

przy stole kuchennych zmagani  
dzielisz kruszynę ziarna zawsze  
w blasku oczu Twoich codzienność  
staje się tak, jak powietrze – normalna

u brzegu różańca ziemskiego  
przy wrotach piotrowych  
– raz jeszcze poproszę – ochroń mnie  
... chociażby szeptem

*10.01.2015 r.*

## Przez chwilę

nad ranem  
krople herbaty uwodzą  
wirują  
dotykają brzegu dłoni  
od raję do piekła

krople żalu, radości i wstydu  
krople zachwytu płomiennej zadumy  
zawłaszczają wszystko, co najważniejsze,  
jak ptak czarodziejski nad niebem dzieciństwa  
wędrują  
ku modlitwom codziennego zmagania

*30.10.2014 r.*

### **Nierozgarnięta**

a jednak przemykam ulicami  
wśród wieżowców, ogrodów, domków  
tam i tutaj  
w obecności kamer - podglądana  
nie rozumiem  
tatauaży rozmazanych w ciebie,  
słownictwa z piekła rodem,  
empatii skierowanej ku sobie,  
reklamy „trzy w jednym”...  
a jednak słyszę  
... przecież nic się nie stało  
... tak jakoś samo wyszło  
... piekła nie ma z reguły  
wszystkim wszędzie trzeba wszystko wybaczać ...  
  
między straganami jasność wyblakła  
- zawsze na krótkiej smyczy przemykam  
... nierozgarnięta

*2.02.2015 r.*

## Nasz dom

[Gieni i Leszkowi A.]

stary znajomy śpiew ptasi  
w ogrodach zieleni Zapiecka dotyka nieba,  
rozbija skały ponad doliną  
w deszczu i w słońcu

przy stole przeliczam płóche zadziwienia –  
psalm ptasich uniesień

*13.06. 2014. Zapiecek k/Wasilkowa.*

Lato...

rozsmakowało się kolorami  
pachnącego groszku  
z wiatrem w dzikim winie rozpoznając  
mowę ptactwa - pasjans układa  
z obłoków przed burzą...

między Tatrami  
a Bałtykiem pośród podlaskich pól  
kłosy zbóż w bruździe ściśniętej dłonią,  
jak diamentowy ptak  
na właściwym dnie strumienia

wtulić się w każdy ślad lata  
...żeby być

*27.07.2014 r.*

## Nadbiebrzańskie dary

[Emilce]

bez względu na dalszą drogę  
ramiona otworzyć szeroko,  
zatrzymać ciepło barw  
w tęczy słońca z zapachem deszczu  
brodzić do woli, do syta  
w rozległe przestrzenie traw

gdzieś tutaj w otulinie ziół – Biebrza  
dziko – kapryśna roztańczona,  
niezapominajki powabne unosi,  
wplata w szmaragdy chmur...

rozpływają się krople wody  
przed tratwą Twoje szesnaście lat  
nieco dalej znaczony szelest minionych  
słowik przelicza bez względu na meandry  
zdumienie, zachwyt  
...dar życia

*20.04.2015 r.*

## Janina Bagińska

### Pamięci lustro

Rodzinny album przejrzeć,  
album pamięci otworzyć,  
wspomnienia przywołać,  
korytarze szkolne przemierzyć.

Upływ czasu – czy  
obszedł się z nami łaskawie,  
czy piętno zaznaczył  
na twarzy?

Zdjęcia pożółkły –  
wspomnienia bledną.  
Czy pamiętać warto?

Trwają, wryły się w pamięć.  
Zapomnieć nie można,  
nie warto!

Dawniej nieważne,  
dziś barwę zmieniło,  
pierwszeństwo zyskuje,  
myśli pobudza, nurtuje.

Spojrzenie za siebie.  
Obrazy, twarze, na których  
wzrok zatrzymuje się dłużej,  
z łzą wzruszenia, zastygłą w oku.  
Inne jak lekki powiew gałązki  
na wietrze,

tu mgnienie oka wystarczy.

Album zapisany w pamięci,  
spojrzenie za siebie –  
pamięci lustro.

## **Panta rhei**

Dni z nocą czasem się dzielą.  
Mgłiście, szaro...  
Zagubiły się kolory.  
Szkoda barw, zapachów lata,  
minionego czasu szkoda.  
Myśli gonią, gonią,  
ciągną w przeszłość.  
Zatrzymać, zawrócić?

Czasu nie cofniesz,  
przeszłości nie zmienisz.

*Panta rhei.*

## **Wspomnienia**

krople nanizane  
na nitce pamięci  
z serca wychodzą  
do niego prowadzą  
mgłą się snują  
co oczy zasłania  
kadry utrwalone  
na siatkówce oka

melodie przeszłości  
zapisane  
na nieco zdartej płycie  
lub dysku ucha  
wygładzone,  
upiększone  
mniej lub więcej  
warte pamiętania

### **Barwy jesieni**

Barwny szal świat otula.  
Mlecznym woalem łąka przykryta.  
Sumaki czerwienią pałają,  
winorośl ogniem altany oplata.

Jarzębiny jak pochodnie płoną.  
Brzozy, lipy, klony,  
ścielą dywan złotem tkany.

Oranże, brązy, czerwienie,  
tęcza kolorów.

Iglaste – zimne, wyniosłe,  
nie zważają na nowe trendy,  
nie hołdują tej modzie.

Jesień ludzkiego życia,  
mało w niej kolorów.  
Cisza, melancholia,  
nostalgia, srebro włosów.



## Jesienne myśli

gdy jesienne dni nastaną  
wspomnienia sypią się jak liście  
barwne zszarzałe mokre  
szeleszczące zdeptane  
jak miniony czas

melodia przeszłości  
nie wróci  
razem z zielenią drzew

tylko one wracają  
pożółkłe zmurszałe  
kartki albumu pamięci

\* \* \*

z okna  
widok niewielki  
maleńki skrawek życia

samochód przemknie  
ktoś szybko idzie  
nadrabia czas stracony

ten zaś przystanie  
kogoś zagadnie  
opóźnia zegar czasu

gromadkę dzieci  
uśmiech unosi  
nie znają trudów życia

kwiatek zakwitnie  
zazieleni się trawka  
ktoś o nią zadba  
zanim zszarzeje

za oknem tętni życie  
im niedostępne  
w marzeniach  
wspomnieniach  
zwiedzane skrycie

od okna do okna  
jesienny walc myśli

### **Tam gdzie cisza**

Miasta ciszy,  
spokoju, zadumy.  
Tam myśli uparcie  
dążą w miniony czas.  
Przypominają -  
oni byli, są wśród nas  
wspomnieniem  
o kimś kochanym,  
znanym, nieznanym.

*Z pamięci o nich  
tożsamość nasza utkana jest...\**

\* K. Capek

## Danuta Bartosz

### TYTUŁOWE SKŁADANKI W MALARSTWIE RAPSY:

#### NUMBER 2

W Seulu miałam *Sen nad morzem*. Poruszam się jak zbłąkany pies.  
W utraconej Przestrzeni *Skaleczone miasto*. Siedzę na gruzowisku  
*Ostatniej Wieczery*, witam apostołów, których nie ma.  
Za mną krzyczy czarna ściana ciszy.

(Przyjacieli) Judasz wydaje drugiego Judasza, trzeci Judasz  
*Głosem z zaświatów* przypomina, w Labiryncie życia bez srebrników  
i nitki Ariadny każdy jest *Przeegrany*. *Oko Cyklonu* nie jest Okiem  
Opatrzności.

Morze traci swój kolor. W tafli lustra *Senne przestrzenie* odbijają  
Pejzaż miejski. Szukam siebie na brzegu cienia. Znajduję *Spód Parasola*,  
zawieszam nad sobą. Mam dach nad głową. Nie jestem bezdomna. Wszędzie  
jestem u siebie, choć świata wokoło już nie ma.

W Mieście nocą, zamykam bramę, W *Morskich pejzażach Rapsy* zatrzymuję  
Ludzi, potem przerywam dialog morskich inspiracji, których nie było.  
W *Klubie Pacyfik Blue* kolejny obraz podaje mi łapę - mnie, bezdomnemu  
psu z *Wozem Drzymały* nad głową.

PS

*Tancerka z Moulin Rouge*, której Zawsze śniła się *koreańska pomarańczowa jesień*, nie wróciła do swojego kraju.

## PRZYWITANIE DNIA

Jak fala morska *Przyptyw* i *Odptyw* tchnienia ducha zmysłów.

Dwie epoki i *Cywilizacje* zatracając sens istnienia  
Zostawiają *węzeł gordyjski*. Nie rozwiąże go barwa  
*Palety*, ona go tylko obnaży.

Czy *Ona* jest pytaniem, czy odpowiedzią?

Jak każda *Kompozycja* ma wiele twarzy.  
Ta niewypowiedziana do końca – najtrwalsza.

## MORSKIE INSPIRACJE

O brzasku *Barwy morza* niebiesko-żółto-różowe  
łańcuchy na plaży (jak *Odleżyny Pana P.*)  
nie zwiastują *Morskiej katastrofy*

*Bitwa morska* nie ma sensu, jeśli umiera ból  
a on rodzi się, gdy przychodzi miłość

## WĘDROWNE PTAKI

*Nikosowi Chadzinikolau w 5. rocznicę śmierci*

Odlatując ze swoich pól i gniazd  
przekraczają horyzont  
nieznanej ziemi  
W walizkach  
poukładane zamiary  
wiara w ufność losu

Serce bije dwutaktem  
Morza Egejskiego i Bałtyku  
Rozsypane po świecie  
dwie Ojczyzny  
– jedna Matka

Wybór  
goryczy ze słońcem

Kim jesteś  
tęsknoto życia  
w ludzkiej doskonałości?

### **Miasto manufaktur i rzek**

18 strumyków  
ukryte w podziemnych kanałach  
biegną do Neru  
Bałutka, Dobrzyńka i Jasień  
przedzierają się ścianą zapomnienia  
znikają w korycie i pojawiają się znowu  
chcą być pierwsze  
wszak bez wody  
energii napędu maszyn  
nie może być maszyny parowej  
„Białej Fabryki” Ludwika Geyera  
Żywicielki Łodzi

### **„Łódzki Luwr” – Pałac Izraela Poznańskiego**

Twarze portretów chcą o coś zapytać  
Przy stole przeszłości i teraźniejszości

żał za tym czego już nie ma  
nadzieja na to co jeszcze będzie

W Sali balowej gwar rozmów  
Szelest kreacji walc i menuet  
Rytm melodii tonie w ścianach  
zagłuszając szum zapomnienia

W dali słyhać pracę manufaktury  
Oczy prząsniczki szeroko otwarte  
pod bandażem ryzyka i niepewności  
pełnie bezdomna odpowiedź

Twarze obrazów omijają mnie wzrokiem  
(jak w życiu jeden nie widzi drugiego)  
Niebo wysoko w murach pałacu  
dogoniło zamysł Izraela Poznańskiego

Idę zobaczyć Ner Łódź manufaktury  
i film o Maksie Aszkenazym z powieści  
„Bracia Aszkenazy” Izraela Joszuy Singera  
Zobaczę w nim twarz budowniczego Pałac.

## Juliusz Batura

### Żaboludki

#### Baśń dla dziadków i ich niesfornych wnuków

[Fragment]

Życie toczyło się na pozór normalnie. Dorośli jak senne roboty ruszali w codzienne pochody. Potem wyrażały się z domów dzieci, spieszące do szkoły. Potem dzieci wracały do domu. A potem był szczyt komunikacyjny. Pod wieczór wychodzili spacerowicze ze swoimi psami, które zostawiały mnóstwo kupek na wydeptanych trawnikach. Dzień, jak co dzień. Po nim znowu dzień, jak co dzień. Ale to tylko pozór. Pod jego powierzchnią, pod powierzchnią pozoru, w niedostępnych i ciasnych przestrzeniach następowała zagadkowa ekspansja.

Pierwszy sprawą zainteresował się emerytowany detektyw Alojzy Kiść. Prywatnie był miłośnikiem mitów i baśni. Wiele czasu spędzał w parku na ławeczce z pełną torbą kolorowych książek. Wzbudzał zainteresowanie dzieci. Zatrzymywały się, żeby się przyjrzeć charakterystycznemu staruszkowi. Potem zaczynały rozmowę. A na koniec wpadały w sidła przyjaźni.

Piegowata dziewczynka, nabrawszy do staruszka zaufania, zwierzyła się z niecodziennego spotkania.

– Proszę pana, on wylazł z kranu, kiedy tato odkręcił zepsute sitko. Wyciekła zielona guma do żucia, a z niej uformował się ludzik podobny do żaby. Cały goły i zielony – powiedziała dziewczynka.

Ponieważ nie była to pierwsza podobna opowieść, Alojzy Kiść sprawą bardziej się zainteresował.

– Czy wtedy byłaś w domu sama? – zapytał.

– Tak! Wszyscy gdzieś sobie poszli, nawet Amelka – potwierdziła dziewczynka.

– To by się zgadzało – mruknął detektyw.

– Czy się go przestraszyłaś?

– A skąd, on był śmieszny i wesoły. I stroił miny. Dał się pogłaskać... A na koniec nurknął sobie do zlewu – rozgadała się pytana.

– Czy w zlewie była woda? – ciągnął przesłuchanie Alojzy Kiść.

– Och nie, on nurknął do dziury w zlewie...

Po rozmowie detektyw coś gorączkowo zanotował w grubym notesie. Szybko wrócił do domu i długo poszukiwał jakichś informacji w Internecie. Światło w jego pokoju zgasło dopiero nad ranem.

Następnego dnia próbował zamieścić w tutejszej gazecie artykuł mówiący o niecodziennych spotkaniach z żaboułdkami. Najpierw przyjęto go życzliwie. Ale zaraz potem, unikając jego wzroku, dziennikarze kategorycznie odmówili druku artykułu. Gestykulowali między sobą porozumiewawczo.

– Przepraszam – powiedział detektyw.

– Miałem nadzieję, że zostanę potraktowany poważnie – burknął. I wyszedł.

Potem napisał list do swojego ucznia, który zdążył już zrobić karierę i został ministrem. Minister zadzwonił natychmiast.

– Witam. Jak zdrowie – zaczął. - Twój list mnie zaniepokoił i wprowadził w zakłopotanie – wyłożył kawę na ławę.

– Czy jesteś pewny, że z tobą wszystko w porządku?

W miarę wyjaśnień i wskazań rozmaitych źródeł życzliwy minister z zadziwieniem zauważył, że ma do czynienia z genialnym wariatem albo zwariowanym geniuszem.

Zachowując dystans do rewelacji, obiecał, że na urlopie za dwa miesiące zajmie się sprawą. Zgodził się też, by przez ten czas Alojzy



Kiść przysyłał mu kolejne listy. Ale nie obiecał, że na nie niezwłocznie odpowie.

Niezniechęcony detektyw zbierał od dzieci, bo dorośli nic nie wiedzieli i nic nie słyszeli, kolejne doniesienia w sprawie. Sporządził statystyki i stosowne mapy. Prognozował i to trafnie, gdzie w nowych miejscach pojawią się Żaboludki. Zdaniem Alojzego Kiścia pierwsze wiarygodne relacje pochodziły z Gdańska. Najwcześniejsza data zbiegła się z czasem rozładowania japońskiego statku, który przywiózł tysiąc nowiutkich samochodów.

Dlatego detektyw uznał, że niezwykła migracja miała swe źródło w Japonii.

Niestety pewnego dnia, kiedy duszne powietrze zatrzymało się nad miastem, kiedy wszyscy meteoropaci poczuli się źle, Alojzy Kiść po prostu umarł. Umarł, bo był naprawdę starym staruszkciem i kiedyś musiał umrzeć. Na jego pogrzebie była garstka znajomych. Detektyw nie miał rodziny, był starym kawalerem. Przyjechało też kilka czarnych limuzyn z rządowymi rejestracjami. Ochroniarze zabraniali robić zdjęcia. Jakiś biznesmen zapewniał ministra, że będzie sponsorował dochodzenie:

– Panie ministrze, tylko zaklinam – moje nazwisko musi być tajemnicą, wtedy pokryję wszelkie koszty badań. Powtarzam, wszelkie koszty...

Minister wymownie uściśnął mu dłoń.

Uroczystość trwała krótko. Czarne limuzyny pospiesznie rozjechały się w różnych kierunkach, żeby nie wzbudzać sensacji. Garstka znajomych Alojzego Kiścia rozeszła się z ociąganiem.

Kilka listów dotarło do gabinetu ministra już po śmierci detektywa. Zawierały zeznania naocznych świadków spotkań z żaboludkami, opisy okoliczności, podpisy i zaszyfrowane adresy dzieci. Nie przemysławszy sprawy minister pokazał listy współpracownikom.

Potem wypadki potoczyły się szybko. Ktoś napisał anonim. Pojawili się nieznani dziennikarze. Aktyw jego macierzystej partii, Ludowej Partii Uporczywego Postępu, witał go nieszczerymi uśmiezkami. Po dwóch tygodniach minister złożył prośbę o dymisję na ręce pana premiera. I nagle stał się bardzo osamotnionym bezrobotnym ministrem. Człowiekiem nikomu niepotrzebnym. Niepoważnym. Gorzej, poczuł się skompromitowany.

Nie podjął żadnej pracy, rozstał się z żoną, napisał list pożegnalny do dzieci, zostawił karty bankomatowe i numery kont, i zniknął. Policja w całym kraju poszukiwała go żywego lub umarłego, ale go nie znalazła. Ustalono tylko, że pan minister w jednym z listów otrzymał klucz do mieszkania Alojzego Kiścia i że z pewnością tam był. Znalezione odciski palców i ślady jego butów. Partia wykreśliła eksministra z listy swoich członków. Jakiś bogacz odgrażał się, że poda go do sądu za zmarnotrawienie pieniędzy. Ale wystraszył się, że może być posądzony o korumpowanie władzy, więc się wycofał.

Obszarpany, nie umyty i pachnący pleśnią na odległość, zarośnięty na twarzy jak sam zbój Sarka Farka, jegomość zastukał do drzwi domku na przedmieściu. Drobna staruszka otworzyła drzwi.

– Kim pan jest? Przepraszam, ale nie mam pieniędzy na datki. Resztę z emerytury oddałam w kościele.

– Pani Amelio to ja eks..., eksminister. Proszę mnie wpuścić. Ukrywam się.

– Pan Jarek?... Czy pan wie, że według prasy nie żyje pan od pół roku? Wszelki duch Pana Boga chwali! Proszę wejść.

Po wielomiesięcznym ukrywaniu się w lasach i noclegach w domkach na działkach pan minister wreszcie zaryzykował. Po dłuższych przemyśleniach wybrał dom pani Amelii na miejsce azylu.

Kiedy się wykąpał, uczesał i przebrał w ubrania świętej pamięci męża pani Amelii, zasiedli do skromnej kolacji.

Minister nie wiedział jak zacząć. Rozważał wszelkie skutki swoich słów. Aż tu nagle gospodyni sama wyjaśniła sytuację:

– W tej walizce ma pan zapewne bezcenne archiwa detektywa Kiścia, nieprawdaż? – zagaiła staruszka.

– Na Boga, skąd pani to wie?! – wykrzyknął minister Jarek.

– No wie pan, w moim wieku czyta się w gazetach między wierszami. I jeszcze powiem panu, że mam dwie wnuczki Kasię i Asię, pozycje w archiwum detektywa Kiścia xzp/62/wim 21 oraz czk/31/wim 73. Może pan sprawdzić w swojej teczce.

Minister o mało nie dostał zawału. Kiedy zaczął się jąkać, pani Amelia podała mu łyżeczkę waleriany.

– W jakich gazetach? – jęknął minister. – Kupowałem wszystkie. Musiałem przy tym nabywać tanie wina dla niepoznaki. Ileż kłopotów sprawiało rozmienianie grubszych pieniędzy.

Wysypał z teczki papiery, otworzył podwójne dno i pokazał ładnie ułożone cegiełki z samych dwustuzłotowych banknotów.

– A o tym nie pisali? – zapytał.

– O szczywanym lobbyście, który nabierał wszystkich, aż sam został nabrany? Nie szukał mnie? – zasyczał minister Jarek.

Pani Amelia powiedziała, że właściwie czyta tylko gazety pisane przez jej wnuczki. Wnuczki utrzymują kontakty z żaboludkami. A żaboludki wiedzą wszystko. Wystarczy odkręcić kran, a już jakieś ucho słyszy i kojarzy fakty.

Wnuczka pani Amelii – Asia wybrała się na spacer do zaniedbanego parku nieopodal domu. Zazwyczaj, w ciepłe letnie dni, wylegiwała się na trawie i patrzyła w chmury. Jesienią było to niemożliwe. O tej porze dokarmiała kaczki, pływające w zarośniętej sadzawce – pozostałości

większego niegdyś stawu. Przez metalową rurę wciąż sączyła się woda zasilająca ten zdziczały akwen. Asia zjrzała do wystającej z ziemi rury i dowcipnie zawołała:

– Hop hop, jest tam który? Odezwij się!

Wtedy z rury chlusnął większy strumień wody, a potem, jak korek z szampana wystrzeliła zielona kulka. Wpadła do sadzawki i zaraz potem uformowała się w zgrabnego żaboludka.

– A to ty – z lekkim zawiedzeniem powiedział zielony stworek.

– Już myślałem, że mam coś ciekawego do roboty...

Dziewczynka opowiedziała żaboludkowi o pojawieniu się w ich domu dziwnego gościa. Na co stworek odparł, że o wszystkim wie od Kranowego, który siedząc w rurach wodociągowych wszystko słyszał i przekazał innym.

Asia zauważyła na czole stworka wyraźną pojedynczą zmarszczkę.

– O, masz zmarszczkę! – zawołała pokazując palcem.

– Mam – powiedział żaboludek – to znaczy, że niedługo będę musiał rozpuścić się na dobre.

– Rozpuścić na dobre? – powtórzyła dziewczynka.

– Co masz na myśli?

Pytany wyjaśnił, że żaboludki praktycznie się nie starzeją, są niezmiennie. Ale przychodzi taki dzień, że na ich czołach pojawiają się pojedyncze zmarszczki. A to oznacza, że w kilka dni potem się rozpuszczą i przestaną istnieć.

Asia zmartwiła się tym bardzo. Ale tym bardziej zaciekała się, jak i skąd biorą się Żaboludki. Czy rodzą się jak ludzie i zwierzęta? A może jak żabki – ze skrzeku złożonego w wodzie?

Żaboludek nie potrafił albo nie chciał jej tego wyjaśnić. Prosił natomiast, żeby dziewczynka znalazła jakieś naczynie i wraz

z odrobiną wody przeniosła go niepostrzeżenie do płynącej przez miasto wielkiej rzeki.

– Ja muszę tam się dostać. Tymi rurami (wskazał otwór, z którego wypadł) tam nie dotrę.

Dziewczynka ukryła stworka pomiędzy łodygami tataraku i pobiegła w głąb parku. Przemierzając alejki rozglądała się, czy gdzieś nie pozostawiono plastikowych butelek. Dojrzała wreszcie odpowiedni pojemnik w koszu na śmieci. W podskokach wróciła nad staw, wesoło podśpiewując jak wiosenny ptaszek.

– Czy to się nada? – zapytała żabuludka.

– Odkręć i daj powąchać – rzekł stworek.

Asia przybliżyła otwór butelki do kartofelkowatego noska Żabuludki. Ten zasapał rytmicznie, parsknął i wyszeptał:

– Cudowny zapach, jak landrynki... Nabierz wody, a ja potem zanurkuję do środka. Tylko pamiętaj, masz schować butelkę pod płaszczem, żeby mnie nie zauważyli... i nie złapali....

– A kto chce cię złapać? – zdziwiła się dziewczynka – przecież w ciebie nikt nie wierzy... pleciesz.

– Oni są straszni, duszą, kroją, rozciągają, męczą... – kontynuował zielony.

– Kto? – jeszcze bardziej zdziwiła się Asia.

– Naukowcy, naukowcy – ci dranie – wycodził żabuludek i wstrząsnął się na całym ciele.

Kiedy zielony stworek wślizgnął się przez ciasny otwór butelki – do środka, dziewczynka zamknęła ją zakrętką i ukryła pod połą płaszczyka. Postanowiła nie wsiadać ani do autobusu, ani do tramwaju, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Pieszko wędrowała przez całe niemal miasto. Szła zdecydowanie, choć bolały ją nóżki. Ręce mdlały od długiego trzymania butelki. Wreszcie stanęła na środku wysokiego mostu. Wiał silny i zimny wiatr. Asia rozejrzała się na obie strony.

Nikogo nie było. Odkręciła zakrętkę i oparła butelkę o balustradę. I tak stała dłuży czas.

– Co się dzieje? O co chodzi? – z butelki wynurzyła się i zaokrągliła zielona główka.

– No rzucaj. Rzucaj. Nie możesz mnie zatrzymać, nie jestem twoją zabawką. Rzucaj!

Dziewczynka zepchnęła butelkę z poręczy. Patrzyła, jak pojemnik spadał ku mętnej szarobrunatnej wodzie. Na koniec pojawił się biały rozprysk. Żaboludek razem z opakowaniem zniknął w odmętach. Asia rozplakała się. Wracała chlipiąc pod nosem. Jakaś wyperfumowana tęga pani zatrzymała ją. Pytała, czy się nie zgubiła, czy ktoś nie zrobił jej krzywdy. Chciała dziewczynkę zaprowadzić na policję. Asia, pokazując najbliższy blok, skłamała, że tam mieszka i uciekła spod opieki damy.

Ledwie żaboludek wy dostał się z butelki i poczuł nurt rzeki, uformował się w zieloną kulkę. Ta z kolei rozciągnęła się jak cygario i przewęziła się w dwóch miejscach. Na koniec zielona masa rozdzieliła się na trzy kulki, a te uformowały się w trzy nowe żaboludki. Nikt tego nie widział!

Czy na pewno?

Żaboludek nie mógł się spodziewać, że w przybrzeżnych łozach, przykryty, górą kartonów z opakowań lodówek i telewizorów, wylegiwał się kloszard, znany w swoim środowisku jako Sałata.

– Ale mnie Malina spił – zamamrotał.

– Zaraz zaraz, przecież to niedziela, a w soboty nie pijemy. Cie choroba dętka, to jak to te trzy żaby...? – rzucił przed siebie pytanie.

Sprawdził zawartość kieszeni. Były puste. Sałata zrobił smutną minę i skulony ruszył w kierunku sklepu monopolowego. Doszedł. Zatrzymał się przed drzwiami i jął przyglądać się badawczo mężczyznom wchodzącym i wychodzącym ze sklepu. Kiedy do drzwi

zbliżył się staromodnie ubrany brodacz w jesionce z postawionym kołnierzem, ruszył za nim. Staął obok przy ladzie i przyjrzał się nieznanemu. Próbował spojrzeć mu w oczy, ukryte za ciemnymi okularami.

– Artysta – pomyślał.

Kiedy nieznamy poprosił o czterogwiazdkowy koniak, Sałata rozpoznał znajomy głos. Rozpromienił się najszczerzej jak umiał:

– Jareczku, to ty?

– Nie znam pana – burknął pan Jarek.

Sałata nie dawał za wygraną: – Jaruś, co tobie, nie poznajesz kumpla?... A kto ciebie dopieszczał na działkach jajecnicą i jabołem, kiedy byłeś chory, no kto?... Panisko się zrobiłeś. Już nie szanujesz człowieka w człowieku...

Indagowany pospiesznie zabrał butelkę i resztę, i wyszedł ze sklepu. Za nim jak cień podążył kloszard.

– Jaruś, kopsnij resztę na granata, miałem zwidy, muszę wyleczyć nerwy... No bądź człowiekiem!

Eksminister, bo to był właśnie on, nagle się odwrócił:

– Zamknij się! Dostaniesz sznapsa i się nie znamy, jasne?!

– Jaruś, ja bym dziś nie pił, zrozum – nerwowy jestem... to przez to zielone świństwo...

I nieco płacząc wątki, Sałata opowiedział eksministrowi, jak dziewczynka w różowym płaszczku rzuciła do rzeki butelkę, jak wypłynęła zielona galareta i jak się z niej uformowały trzy żaby. Pan Jarek nie dał po sobie poznać, że ta opowieść go poruszyła. Zaprowadził kloszarda w odległy zakątek parku. Wyjął z kieszeni futerałik ze srebrnymi kieliszkami i poczęstował luksusowym koniakiem. Na koniec, za przyrzeczenie, że Sałata raz na zawsze się od niego odczepi, oddał mu całą butelkę.

Kiedy eksminister uwolnił się od towarzystwa, przemyślał sprawę. Odwiedził sklep z zabawkami, cukiernię i kwaciarnię.

– Pani Amelio! Dziewczynki! Zrobimy dzisiaj święto żaboludków – pan Jarek postawił na stole w kuchni kolorowe torby.

– Przynieście miskę pełną wody – dodał.

Asia i Kasia migiem spełniły polecenie. Eksminister włożył dłonie do jednej z toreb i zaczął coś nakręcać. Słychać było wyraźne terkotanie. Dziewczynkom uszy zrobiły się większe, a oczy zaokrągliły z ciekawości. Nagle pan Jarek włożył do wody dwie plastikowe żabki, które z zapałem ochlapały twarze pochylonych nad miednicą. Wszyscy czworo wesoło się roześmieli. Potem odstawili miednicę na szafkę, a na stół wyłożyli zawartość pozostałych toreb. Pani Amelia otrzymała piękny kaktus w ozdobnej meksykańskiej doniczce. Dziewczynki wyłożyły na talerzyki różne rodzaje ciastek. Ich babcia przyniosła szklanki do soku. Atmosfera sprzyjała opowieściom o żaboludkach. Wspominali i fantazjowali dwie a może i trzy godziny. Rozbawiona pani Amelia sięgnęła po mandolinę. Zagrała. Wszyscy zaśpiewali znane piosenki biesiadne. Stroili przy tym najdziwniejsze „żaboludkowe” miny.

Następnego dnia założyli Tajny Związek Przyjaciół Żaboludków i otworzyli wielką księgę, którą zatytułowali „Tajna Historia Żaboludków”. Zaczęli spisywać wszystko, czego się o tych stworzeniach dowiedzieli i domyślali.

Kiedy po kilku miesiącach księga została zapełniona, Pani Amelia uroczyście włożyła ją do starej, zabytkowej, malowanej skrzyni i zamknęła na klucz. Zaś klucz ukryła w sobie tylko znanym schowku.

Tego dnia pan Janek wydawał się nazbyt poważny. Był przesadnie powściągliwy, ale zdecydowany. Ze swej sypialni wyniósł dwie walizki i postawił w przedpokoju.



– Drogie panie – oświadczył uroczyście – przemyślałem całe swoje dotychczasowe życie. Uporządkowałem sprawy, które mogłem uporządkować. Postanowiłem udać się na emigrację zarobkową do Irlandii, a może jeszcze dalej. Musimy się pożegnać...

Asia, Kasia i ich babcia były tak zaskoczone nagłą decyzją eksministra, że nie zaprotestowały. Po kolei zaczęły się żegnać. Roztargniona pani Amelia przyniosła mu ze spiżarni dżem, korniszony i pigwówkę. No i się wzruszyła. Nim ochłonęły, pod dom zajechała taksówka, a pan Jarek szybko się w niej usadowił. I odjechał.

Nie minął tydzień, a przyszły niespotykane w Polsce ulewę. Nie to żeby jakieś oberwania chmur, powodzie albo zawalenia się budynków. Nic podobnego. Po prostu drobny deszczyk padał i padał nieprzerwanie przez następny tydzień. Wszyscy złapali katar i siedzieli w domu.

Tuż przed zmrokiem z rozmaitych zakamarków, rur, beczek, krzaków, piwnic, rynien i Bóg wie jeszcze z czego zaczęły wyłaniać się tysiące, a może nawet setki tysięcy zielonych stworków. Asia i Kasia przykleiły nosy do szyby okna. Patrzyły jak urzeczone.

– Mnóstwo! Jejku, ale ich dużo! Co to będzie?

Mrowie żaboludków okręgało dom pani Amelii. Poczęły wdrapywać się do okien, wnikać do piwnicy, przedostawać się kominem wentylacyjnym. W końcu w mieszkaniu pojawiła się jedna wielka kałuża. Pani Amelia załamała ręce:

– Co ja teraz biedna pocznę?

Nagle jeden z żaboludków, który niczym się specjalnie od reszty nie wyróżniał, powiedział:

– Przepraszamy za najście. Przyszliśmy po księgę. Tylko ją weźmiemy i już nas nie ma...

Asia i Kasia desperacko usiadły na malowanej skrzyni. Ale ich babcia poddała się woli żaboludków. Odnalazła klucz i otworzyła skrzynię. Chmara napastników rzuciła się do wnętrza i społem wyniosła „Tajną Historię Żaboludków”. Potem z radosnym śmiechem to olbrzymie stado ruszyło ku wyjściu. O dziwo drzwi się same otworzyły. Kiedy w mieszkaniu zrobiło się pusto, powrócił jeden żaboludek. Zrobił kilka śmiesznych grymasów, podskoków i ewolucji, po czym rzekł:

– Bardzo, ale to bardzo za wszystko dziękuję. Dziękuję wszystkim uczestnikom tej historii. My Żaboludki zachowamy was we wdzięcznej pamięci na wieki.

Uklonił się i pobiegł za resztą.

W cudowny sposób cała woda, naniesiona przez stworki, zniknęła. Ustał też deszcz za oknem. Pokazało się rozgwieżdżone, nocne niebo. Pani Amelia wraz z wnuczkami stanęła w otwartych drzwiach. I stało się dziwo. Jak grad meteorytów albo wielkie sztuczne ognie sfrunęły z nieba świetlne kule. Taczały się po łące i zbierały w siebie brykające żaboludki. Największa pochłonęła księżę. Potem jak na jeden znak wszystkie uleciały w niebo. Dziewczynki natychmiast poczuły się senne, więc pani Amelia zaprowadzała je do łóżek. Wszystkie trzy natychmiast zasnęły.

Wczesnie rano, kiedy gospodyni krzątała się w kuchni, ze zdziwieniem zauważyła, że drzwi domu przez całą noc były otwarte na oścież. Z niewiadomych przyczyn otwarty był malowany kufer.

– Złodzieje – pomyślała..., jęła sprawdzać czy coś nie zginęło. Wszystko było na swoim miejscu. Żeby się uspokoić, włączyła radio. W porannych wiadomościach donoszono o niespotykanym zjawisku meteorologicznym albo kosmicznym. Zaproszeni do studia eksperci spierali się o to, czy mięliśmy do czynienia z piorunami kulistymi (w niespotykanych ilościach), czy też z UFO. Pani Amelia odruchowo

nakręciła dwie plastikowe żabki – zabawki jej wnuczek. Mechaniczne łapki zaterkotały z zapałem. Akurat w tym czasie dziewczynki obudziły się ze snu i zeszły do kuchni. Zwróciły uwagę na terkokące żabki, a zaraz potem zauważyły otwartą skrzynię.

– Gdzie nasza księga! – zawołały obie.

– Jaka księga? – zdziwiła się pani Amelia, najwyraźniej dotknięta amnezją.

– Jak to jaka? Babciu przecież razem ją pisałyśmy. Razem z panem Jarkiem! – zawołała Kasia.

Starsza pani była kompletnie zdezorientowana, ale zachowała zimną krew. Pomyślała, że wnuczki szykują jakiś żart. Asia zrozumiała, że coś jest nie w porządku:

– Babciu ty nie pamiętasz żaboludków i „Tajnej Historii Żaboludków”. Wczoraj wszystkie odleciały w niebo, w świetlnych kulach. Nie rób mi tego, powiedz, że pamiętasz.

Pani Amelia zorientowała się, że dziewczynki mówią o zjawisku, o którym donoszono w dzienniku radiowym. Uśmiechnęła się i na wszelki wypadek powiedziała:

– Ach tak, o tych świetlnych kulach mówiono w radiu.

– Naprawdę?! – radośnie zawołała Asia.

– A widzisz..., były..., były żaboludki – zawołała triumfująco.

[...]

## Irena Batura

### Z opowieści Teściowej Heleny

#### Pory narodzin

##### I

Mówisz

*Matka wspominała*

*– Ciebie urodziłam w Kwietną Niedzielę*

*w niespokojnym roku 1926*

*młodsze Witolda*

*jak kartofle kopali*

*Wandę*

*– jak ksiądz po kolędzie chodził*

*Walentynę*

*– jak sadzili kartofle*

Mówię

*Wasze dzieci przynosiłyienne zapisy*

*nie pachnące kwiatami*

*drzewami i ziemią*

Po kilkudziesięciu latach przekładam daty

Walentyna odchodziła

jak liście zaczęły się złocić

Witold – wśród ostatnich aromatów choinek

przed Środą Popielcową

w narewzkowskim kościele

Ale Ty Mamo

przekąźniczko innych miar czasu  
zostań długo z nami  
i opowiadaj...

## II

Żyję z zapachem pokosów pszenicy  
rżeniem koni  
odgłosem wozów  
o kołach z żelaznymi obręczami

Babka mówili  
– *bo w czas żniw*  
*Matka cię rodziła*  
*w pięknym roku nadziei*  
*na dobre plony z pól*

Daj mi Ty o imieniu niewypowiedzialnym  
dobrą porę na odejście  
przy wygaszonych komputerach  
w czas pełni księżyca

*Augustów 17 listopada 2014*

## Kiedyś w Siemianówce

### I

*Kumo wiecie*  
*Gienia zgrzeszyła!*  
*Rosół z gołąbka ugotowała*  
*Takie nieszczęście!*  
*Gołąb to ptak anielski*  
*nie tej ziemi się należy*

*Pójdzie Gienia do piekła  
takie świętokradztwo!  
Pomódlmy się za całą rodzinę  
wszak wszyscy jedli*

**II**

*– Ech kumie Iwanie  
napijcie się jeszcze ze mną  
Luba mnie nie chce  
ona nikogo nie uważa*

*– Kumie Matwieju  
mnie będzie chciała  
załóżcie się ze mną  
na karczmę co tu stoi  
tak i ona przyjmie mnie do łóżka*

*– Ech Luba  
przez ciebie nie śpię  
twoje łóżko mi się marzy*

*– Kumo Wiero  
wasz mąż mnie nachodzi  
spokoju nie daje  
mego łóżka mu się zachciało*

*– Kumo Lubo – będzie miał*

*Noc przeszła szalona*

*– Obudź się Iwanie  
u kumy Luby lepiej  
niż w swoim łóżku?*

– *Ech kumie Matwieju  
karczma jeszcze stoi  
który z nas wygrał?*  
– *Kumie Iwanie  
Jak ja jestem rad  
że Luba cię nie chciała*

### III

*Izaak czy ty chory tak długo  
że ty kur przed szabasem do rzezaka  
na ubój nie przynosisz?*  
– *Rebe parobka Jaśka co tydzień  
wysyłałem z kurą do Narewki*  
– *Nie Izaaku  
ty wielki grzech masz  
czas ci pokutować*  
  
– *Jasiek – co ty z kurami robił?*  
  
– *A to sztuka kurę zabić  
jak wasz rzezak to robi?*  
– *Aj waj Jasiek  
przez ciebie  
cała moja rodzina grzeszyła!*  
  
– *Ale nikt od tego nie umarł  
a na Osowym  
tak dobrze poleżeć na trawie  
po co do Narewki się trudzić?*

2 stycznia 2015

## Ballada o mękach kochania

Przyjeżdża co tydzień  
w niedzielę  
mój brukarz Stasio  
Ja Hela – kucharka  
szykuję gościnę  
myję izbę  
nacieram ciało kwietnym aromatem  
Pod ścianę ustawiam podarunki  
Prosił o nie  
nie chce być dłużny dziewczynom  
Są mu potrzebne na noce  
po dniach  
gdy ziemia i kamienie  
oddają mu swą moc

Żadna z chętnych kobiet  
nie może się skarżyć  
że ją zaniechał

tylko...  
musi być wolny  
dla Heli kucharki  
Nie może jej wziąć  
na każdą noc tygodnia  
Matka nie pobłogosławi  
– *Ech ukochana*  
Tak mówi każdej niedzieli

Tylko ksiądz pogroził w kolędę  
– *nie dam rozgrzeszenia*



*nieobyczajnie żyjesz  
co niedzielę kochanka przyjmujesz*

*Ech Helu, Helu*

*Powiem ci – jako życzliwa sąsiadka  
– bierz na każdą noc innego kochanka*

*Ksiądz da rozgrzeszenie*

*A może ziemia uwolni cię od niedoszłej teściowej  
i ją sobie zabierze*

I tak się stało

Żyli razem długo i szczęśliwie  
w związku pobłogosławionym

*19 października 2015 r.*

## Eligiusz Buczyński

### franz k.

– a dłonie?

do czego nam dłonie

skoro rozmawiamy ze sobą  
przez klatkę

ptak który śpiewa  
uwolnij mnie

i człowiek który odpowiada  
że nie może

bo nadal ją kocha  
dwoma palcami

wsuwając ziarenko  
na przeżycie

### henry m.

nigdy bym się tego po sobie nie spodziewała  
że tak bardzo kochając

znajdę jeszcze niezaspokojone miejsca  
przestrzeń i tęsknotę w swym sercu

ten głód mój miły uwiódł mnie  
więc zawahałam się i poszłam

wróciłam aby się przekonać  
że naprawdę jesteś

**carl gustaw j.**

jak mogłam dotrzymać ci kroku  
nie znając miary ile jestem w stanie ci dać?

powiedziałeś poświęcenie daje zwycięstwo  
podziwiałam twój upór twój wigor

męską wiarę w zwycięstwo  
za tobą szłam

i w tym pozornym szaleństwie  
wszystko miało swój porządek

swoją wartość i kolej - - -  
dziś wśród nowych przyjaciół

oglądamy noc oglądamy gwiazdy  
szukamy zbieżnych punktów

pozorny ład pozorny spokój

pozornie wszystko wypiętrza się w triumfalny łuk  
pod którym rany odejdą w sen

*Wiersze pochodzą z przygotowanego do druku tomiku „Konik morski”.*

## Urszula Cioch

### Zegar

Zegar bije trzy razy. Za oknem panuje idealna cisza i ciemność. Noc na pozór koi wszelkie dzienne cierpienia. Jagoda jak zwykle od paru już lat budzi się w tym momencie i najpierw przez jakiś czas słucha tykania. Potem otwiera oczy i zaczyna wylapywać w ciemności zarysy przedmiotów: najpierw okno po lewej stronie z przerośniętym drzewkiem szczęścia na parapecie. Szczęścia, myśli z ironią, a zegar zdaje się to potwierdzać. Tak, tak. Tak, tak. Potem duża trzydrzwiowa szafa po prawej i zaraz obok niej drzwi do sypialni. Tak. Jagoda lekko przekręca się na bok i teraz w ciemnościach rozpoznaje zarys niewielkiej komódki stojącej po jej stronie łóżka. Na niej stoi mała nocna lampka, którą Jagodzie zrobił ojciec jeszcze w dzieciństwie i zdjęcie Piotra. Natychmiast niczym tsunami zwalają się na Jagodę wspomnienia, które aż ranią swoją radością i beztróską; kolorowy świat, a w jego centrum Piotr, jej bohater, chłopak, mężczyzna, mąż i ojciec jej dzieci. Nie było rzeczy niemożliwych. Tak, tak, odzywa się zegar ironicznie, żeby nie zapomniała się w tym locie do świetlanej przeszłości. Cholera, Jagoda zaczyna się wściekać. Wszyscy mi żałują nawet tego szczęścia, które przeminęło. Łącznie z zegarem.

– Niech cię szlag – odgraża się szeptem.

I jak zwykle od paru już lat cicho wstaje, zdejmuje z krzesła wcześniej przygotowany koc, przechodzi na palcach do przedpokoju i ostrożnie zdejmuje zegar ze ściany. Powoli, dokładnie, może nawet czule zawija go w koc, a potem tuląc w ramionach jak noworodka przenosi do łazienki i kładzie do wanny. Tak co noc.

Rano znajdzie go jak zwykle syn, który wstaje najwcześniej do pracy.

– Mamo! Dlaczego nie wywalisz w cholerę tego zegara?! Przecież to jakieś kosmiczne jaja w tym domu się dzieją. Czy wszyscy ludzie są nienormalni czy tylko my?

Jagoda wtedy zrywa się jak na alarm w obawie, że Michał sam wyniesie w końcu zegar na śmietnik. Szybko rozwija go z koca i wieszka z powrotem na ścianie. Dzień się zaczyna i nie ma czasu żyć. Trzeba lecieć do pracy, cieszyć się, że ją ma, a nie jak tylu ludzi bieduje, potem zakupy, obiad zrobić, po obiedzie posprzątać, jeszcze pranie, a przydałby się porządek w piwnicy, no a jeszcze może trochę pomidorów w słoiki, bo wszyscy je tak lubią, gdzieś tam w przelocie poczyta trochę, no i tak wczoraj przyszło z biblioteki upomnienie, oczywiście wszystko na niej wisi nawet i to. Jagoda ucieka do sypialni i zaczyna płakać. Trzyma w rękach kurczowo fotografię Piotra i bezgłośnie powtarza: dlaczego, dlaczego? To zdjęcie zrobiła na Krywaniu, Piotr ma włosy długie do ramion, rozwiane, śmieje się do niej w głos, a ona już na całego szlocha, bo jest stara, samotna i tak bardzo za nim tęskni. Nawet nie wie, kiedy usypia, pada po prostu.

A potem zegar znów wybija trzecią w nocy. Jagoda wsłuchuje się w ciszę, która panuje za oknem. Nie chce otwierać oczu. Może jeszcze usnę, myśli. Tak, tak, akurat usniesz, tyka z ironią stara bestia.

– Jagoda! Patrz, co zdobyłem! – Piotr cieszył się wtedy jak dziecko.

– Co to? – z ciekawością odwijala koc, w który był zawinięty.

– Stary, śląski zegar – odpowiedział z dumą – do naszego domu. To zamiast pierścionka.

Jakim sposobem to wszystko minęło? Zastanawia się Jagoda, kiedy znów zdejmie zegar i położy go do wanny. Idzie wtedy do kuchni i tam próbuje oszukać bezsenność pozorami zwykłej krzątanimy. Zmywa, poleruje kafelki, po raz kolejny ustawia naczynia w szafkach albo myje lodówkę.

Słyszy trzask drzwi wejściowych. Do kuchni zagląda najpierw roześmiany Michał.

– Mamo, ojciec znów zaczął popalać pod domem – udaje zgorzzonego – nie słyszałaś, jak wychodził?

Dobre pytanie, myśli Jagoda. Dlaczego nie usłyszała, kiedy Piotr wyszedł? Nagle zniknął z jej życia ten roześmiany chłopak. Kiedy? Czy to było wtedy, kiedy musieli zamknąć sklep i pożegnać się z marzeniami o byciu panami samych siebie? Wtedy, kiedy zaczęły się wieczory spędzane przez niego nad atlasem świata i puszką piwa, jej bezradność i pretensje, kurczące się oszczędności, praca poniżej ambicji i kwalifikacji, ale jednak praca, to grzech przecież tak narzekać w dzisiejszych czasach, tyle biedy dokoła i ludzie mają naprawdę problemy, daj spokój, daj spokój, jak ja bym chciał mieć chwilę świętego spokoju.

Jagoda nic już nie mówi, niech zapanuje wreszcie ten święty spokój. Rano wstaje, leci do pracy, potem zakupy, obiad. Michał oświadczył, że wyjeżdża do Anglii, ma już nagrany pracę u kumpla.

– Odkuję się i wracam – obiecuje.

Jagoda wpada w popłoch. Teraz zostanie sama, myśli.

– Mamo, przecież masz tatę, nie zostajesz sama – pociesza ją syn.

– Tak, tak – kiwa głową Jagoda.

Tak, tak, tyka zegar ironicznie i bezlitośnie przerywa o trzeciej w nocy sen. Przez chwilę Jagoda zastanawia się nieprzytomnie, gdzie jest. Nie mam siły na to wszystko, dociera do niej rzeczywistość, nie dam rady zdjąć tego zegara, nie dam rady słuchać jego tykania, nie dam rady go wyrzucić na śmietnik, nie dam rady...

– Leż – mówi nagle Piotr – ja zdejmę.

– Ale...- Jagoda cała sztywnieje ze strachu, że może go wyrzuci.

– Nie bój się.

Piotr wstaje i powoli idzie do krzesła, gdzie leży koc. Potem ostrożnie zdejmuje zegar ze ściany i zawija jak noworodka. Otwiera drzwi do łazienki i wkłada go do wanny. Wtedy zapada cisza.

\*\*\*

Moje ręce  
przesypują kolorowe szkiełka.  
W pudełku po czarnych groszkach  
szczęście błysnęło  
niebiesko, zielono, brązowo;  
kolana obtarte – nieważne.

A potem ciągle przychodzi ktoś,  
komu wydaje się, że to ja na pewno:  
bla, bla, bla...

Ja? Na pewno?  
Aha.

Wieczność pulsuje,  
jest przeogromna i wielowymiarowa.  
Urzeka i ciągnie jak woda,  
badacze ustawiają się do niej w kolejce.

Czasem zamykam oczy  
na gwiazdy.  
I co z tego, że stoi tu śmietnik.

\*\*\*

uczę się na błędach  
innych,  
odpowiadam na zadane pytania  
i przechodzę dalej.  
czasami krótki przystanek  
w czymś wspomnieniu.  
lato.  
wszystkich dręczy upał,  
potem deszcz.  
niektóre dzieci marzą  
o śniegu i sankach.  
idę  
i wciąż mnie nie ma  
na właściwym  
miejscu.  
ot biedna,  
stara  
wariatka.

\*\*\*

po narodzinach może przyjść  
tylko śmierć  
w międzyczasie ruch ręką w stronę  
pudełka z kremem do twarzy



## Apoloniusz Bogumił Ciołkiewicz

### Sędzia Helena Kurcewicz-Skrzetuska

Osoby:

Prokurator: Józwa Butrym

Obrońca: Onufry Zagłoba (herbu Wczele)

Rzędzian z Wąsoszy – Woźny

Dwaj ławnicy – statyści

Świadkowie:

Aleksandra Bilewiczówna

Kiemlicze

Ulrich von Jungingen

Kuklinowski

Wołodyjowski

król Jan Kazimierz

**Narrator** objaśnia:

*Sala sądowa. Na ławie oskarżonych Andrzej Kmicic, obok niego siedzi obrońca Onufry Zagłoba, herbu Wczele, prokurator – Józwa Butrym Beznogi, świadkowie*

*Woźny Rzędzian z Wąsoszy: Powstańcie, bo prześwieatny trybunał nadchodzi! Rozprawę poprowadzi sędzia Helena Kurcewicz-Skrzetuska.*

*Sędzia: Proszę siadać. Dziś przed Trybunałem Królewskim w Białymstoku będzie rozpatrzona sprawa pana Andrzeja Kmicica. Stawił się oskarżony doprowadzony z aresztu.  
(do Kmicica)*

Proszę się przedstawić!

*Kmicic:* Jam jest Andrzej Kmicic, chorąży orszański.

*Sędzia:* Proszę podać wiek.

*Kmicic:* Wiek siedemnasty.

*Sędzia:* Prosiłam o pański wiek, to znaczy, ile pan ma lat?

*Kmicic:* A, dokładnie nie pamiętam, ciągle walczyłem, nieraz dostałem po łepetynie, miałem prawo zapomnieć. Ale chyba jeszcze czterdziestki nie doszedłem.

*Obrońca:* Wysoki Sądzie, niech Sąd ma litość dla mojego klienta. On aktualnie trzeźwy, nie wie, co mówi.

*Sędzia:* Panie Zagłoba, oskarżony powinien być trzeźwy.

Udzielam głosu panu prokuratorowi, którym jest Józwa Butrym.

*Prokurator:* Oskarżam Andrzeja Kmicica o to, że :

1. spalił miejscowość Wołmontowicze, wioskę w powiecie poniewieskim województwa trockiego, a jej mieszkańców kazał wymordować;
2. porwał pannę Aleksandrę Bilewiczównę;
3. współpracował ze Szwedami, a to przecież plugawe plemię heretyckie;
4. bez pozwolenia władz zmienił sobie nazwisko na Babinicz i posługiwał się nim przez lat kilka.

*Sędzia:* Czy oskarżony zrozumiał treść aktu oskarżenia?

*Kmicic:* Zrozumiałem, ale odmawiam składania zeznań.

*Sędzia:* Ma pan takie prawo. Panie Rzędzian, proszę wezwać pierwszego świadka.

*Rzędzian otwiera drzwi i woła:*

Świadek Kiemlicz!

*Do Sali wchodzi stary Kiemlicz, a za nim wpychają się dwaj synowie.*

*Sędzia:* Proszę świadka, co to ma znaczyć, kim są ci dwaj młodzi ludzie?

*Kiemlicz:* To moi synkowie, prześwietny Trybunale, Kosma i Damian. Bałem się ich zostawić samych w domu.

*Bracia:* Ociec, prac?

*Kiemlicz:* Synkowie moi, tu się nie pierze, tylko sądzi.

*Sędzia:* Panie Kiemlicz, proszę się przedstawić.

*Kiemlicz:* No, Kiemlicz jestem i tyle.

*Sędzia:* Pana imię i wiek?

*Kiemlicz:* A, ten co pisał o nas, znaczy się, Sienkiewicz Henryk, zapomniał podać, to i ja nie pamiętam. Zresztą niech synkowie powiedzą.

*Synowie:* Ociec ma rację!

*Sędzia:* Czy świadek Kiemlicz zna oskarżonego?

*Wszyscy trzej:* To pan pułkownik Kmicic!

*Sędzia:* To w końcu chorąży czy pułkownik?

*Stary Kiemlicz:* My nie wiemy, my prości ludzie. Ale pan Kmicic jest niewinny.

*Sędzia:* Od takich stwierdzeń jest sąd. Co świadek ma do powiedzenia w sprawie pana Kmicica?

*Stary Kiemlicz:* Że to pan pułkownik.

*Sędzia:* I co jeszcze?

*Kiemlicze:* Wszystko.

*Sędzia:* Dziękujemy świadkowi. (*Kiemlicze siadają na krzesłach*). Panie Rzędzian, proszę wezwać następnego świadka, Ulricha von Jungingena!

*Rzędzian:* Świadek Ulrich von Jungingen proszony na salę!

*Wchodzi Ulrich w krzyżackim płaszczu.*

*Sędzia:* Proszę się przedstawić.

*Ulrich:* Jam jest wielki mistrz Zakonu!

*Sędzia:* Pana wiek?

*Ulrich:* Początek piętnastego.

*Sędzia:* Ile pan ma lat?

*Ulrich:* Odmawiam odpowiedzi. Stoję ze swoim wojskiem pod Grunwaldem, Jagiełło mi depta po piętach, nie mam czasu na udzielanie wyjaśnień. Potem za sześćset lat będą mówić, że uciekłem z pola bitwy. Nigdy, wolę zginąć!

(Wychodzi z sali)

*Sędzia:* Istotnie ten świadek mógł nic nie wiedzieć w sprawie pana Kmicica, zupełnie inna epoka. *Do Rzędziana:* Panie Rzędzian, proszę wezwać kolejnego świadka, Michała Wołodyjowskiego.

*Rzędzian* woła przez drzwi: Świadek Jerzy Michał Wołodyjowski!

*Wchodzi Wołodyjowski w zbroi:*

*Sędzia:* Prosimy świadka o przedstawienie się.

*Wołodyjowski:* Jak to, Helenko, nie poznajesz mnie, przecież ja z Twoim mężem Janem...

*Sędzia:* Panie Wołodyjowski, tu jest sąd i proszę zwracać się do mnie „Wysoki Trybunale”.

*Wołodyjowski:* Mnie tam łatwiej obracać szablą niż językiem.

*Sędzia:* Co świadkowi wiadomo w sprawie?

*Wołodyjowski:* Co mam mówić? Jędrak jest w porzo. Debeściak, jak mówił o nim Ketling. Ja też jestem tego zdania, Helenko, to znaczy Wysoki Sądzie...

*Sędzia:* A co świadkowi wiadomo o przestępstwach oskarżonego?

*Wołodyjowski:* Jakie tam przestępstwa, ot, poszalało się trochę w młodości. A co do zasług...

*Kmicic:* Milcz waść!

*Obrońca:* Przepraszam, Wysoki Trybunale, mój klient jest trochę nerwowy i bardzo skromny.

*Sędzia:* Zatem o jakie zasługi świadkowi chodzi?

*Wołodyjowski:* To ja już nic nie będę mówił, jeśli Jędrak nie chce...

*Obrońca:* Niech zginę ja i pchły moje! Panie Michale, niech pan ratuje Jędrka, bo tu mu zaraz dadzą ćwiarteczkę albo dożywocie.

*Wołodziejowski:* Panie Zagłoba, a od czego masz pan język w gębie?

*Sędzia:* Proszę świadka, należy zwracać się do trybunału.

*Wołodziejowski:* Wysoki Trybunale, obiecałem jednej białogłowie, że ją będę bronił przed zbójami. Czy mogę już iść?

*Sędzia:* A idź waćpan, tylko mężnie się spraw. (do Rzędziana): Proszę zawołać następnego świadka, pana Kuklinowskiego.

*Rzędzian:* Świadek Kuklinowski wzywany na salę!

*Wchodzi Kuklinowski*

*Sędzia:* Nazywa się pan Kuklinowski.

*Kuklinowski:* Tak, Wysoki Trybunale, a ten oskarżony to używał fałszywego nazwiska Babinicz, a poza tym naraził mnie na tortury.

*Obrońca:* Zaraz, ale podobno to waść pierwszy zaczął przypiekać Jędrka.

*Kuklinowski:* Ja tak tylko żartowałem. Widzę, że to cyrk, a nie trybunał.

*Sędzia:* Panie Rzędzian, proszę wyprowadzić świadka.

*Rzędzian wypycha Kuklinowskiego z sali, wchodzi zaś w tym czasie król Jan Kazimierz*

*Zagłoba:* O rety, król!

*Król:* Joannes Casimirus rex!

*Sędzia:* Prosimy, miłoścyw panie, prosimy siadać.

*Król:* Jam tylko przyszedł rzec, że Andrzej Kmicic jest niewinny. Ratował mnie w górach, a co najważniejsze – wysadził w Częstochowie wielką kolubrynę szwedzką!

A teraz łaskawie usiądę.

*Bilewiczówna:* Jędreku, nóg twoich nie jestem godna całować!

*Sędzia:* Trybunał udaje się na naradę. Wyrok zostanie wydany po tejże naradzie.

### **A teraz reklama:**

*Dziecko 1:* Firma Skawiński & Company proponuje ekspresowe kursy zawodowe. Na początek zdobądź zawód latarnika. Masz zapewniony spokój i ciszę, potem możesz w samotności przygotowywać się do kolejnych egzaminów.

*Dziecko 2:* Czaderskie teksty raperskie i występy hip-hopowe proponuje firma „Janko Muzykant.” Dla polonistów i osób z przytępionym słuchem 10% zniżki! Po odbiorze tekstu reklamacji nie uwzględniamy.

*Dziecko 3:* Bezpieczne wycieczki do Egiptu i Sudanu organizuje firma „W pustyni i w puszczy”. W programie wycieczki mamy strzelanie do gumowego lwa oraz przejażdżkę na platformie o kształcie słonia. Na wypadek spotkania z ludożercami wystawiamy zaświadczenie o braku przydatności do spożycia.

*Dziecko 4:* Ekspresowe usługi hydrauliczne świadczy przedsiębiorstwo z nieograniczoną nieodpowiedzialnością „Potop”. Jeśli mieszkasz na dziesiątym piętrze, dotrzemy, gdy woda zacznie lać się na parter. W ten sposób poszerzamy front robót naszej firmy.

*Dziecko 5:* Masz kłopoty z odzyskaniem długu? Hałaśliwy sąsiad nie daje Ci spać? Dresy piją alkohol pod Twoim blokiem? Pomoże Ci firma „Ogniem i mieczem”. Wszelkie zlecenia załatwiamy na poczekaniu. Prowadzimy także firmę pogrzebową.

### **Koniec reklamy!**

*Woźny:* Proszę wstać, sąd idzie!

*Sędzia:* Wyrok w imieniu Jego Królewskiej Mości. Trybunał Królewski po rozpatrzeniu sprawy Andrzeja Kmicica vel Babinicza skazuje go na dożywotni związek małżeński z Aleksandrą Bielewicz.

*do publiczności* Proszę siadać. Obecny tu pan Kmicic swoim postępowaniem dowiódł, że w kawalerskim stanie nie będzie mógł się utemperować. Dlatego trybunał oddaje go pod żeńską kuratelę. To wszystko, rozprawę uznaję za zakończoną.

*Wszyscy podchodzą do Kmicica, składając mu gratulacje. Zagłoba woła:*

Zgadnijcie, kogo tu teraz najbardziej brakuje?

*(po krótkim milczeniu)*

Oczywiście, księdza!

*(znów chwila milczenia)*

Żeby dał ślub... Konkordatowy, oczywiście!

**KONIEC**

## Małgorzata Dobkowska

### GODŁO / ZNAK

pikanie klikanie  
w internecie kopanie  
a ja mam dość

chcę nosić różę na ramieniu  
zamierzam nosić różę na ramieniu  
przeniknąć słońcem  
w wietrze biec śpiewać  
i krzyczeć pełnym głosem!

mam dziką różę na ramieniu  
rośnie mi wolna róża na ramieniu  
niech oplecie gąszczu promieniami  
dotknie serca chłodu pochodniami  
i zapłacze zaśpiewa głośno  
moja piękna wolna dzika róża!

### NAGRANIE

„Gili czyli wierszyk  
to złoto, brylant”  
Papusza do J. Tuwima

„jak się przed pieśniami schowam”  
- nieretorycznie pyta Papusza

bo one siedzą u Papuszy w głowie



za chustą urosłą w kwiaty  
za kolczykiem z dębianek  
bo one siedzą w borze przycupnięte  
na drodze spracowanej miedzy  
w krzewach jak bielaki ukryte  
„i prosiątka leśne – jeże”  
hen hen za rzeką także dokazują  
niczym dzikie konie  
w oparach w rozwidleniu zakłęć  
na manowcach gładkich  
mokrądlach

nie ma nie ma ucieczki  
przed nadchodzącą swobodną pieśnią  
jej rosnącą potęgą w czaszce  
wigorem jej okrzyku

unoszą się ona z polnego ogniska  
błyska ogniem krzaku smugą  
linią wąską i krętą  
wiatr pędzi ją prosto na nas  
wbija pod skórę serca  
drobnymi prętami żaru  
i już wiesz pamiętasz  
śpiewasz póki oddechu

## DIONIZJE MAŁE

„przepiórki w płatkach róży”  
przepiórki w sarkofagach  
glazurowane na gniazdach

w rosie na stołach od pani matki  
w rogach zżętych pól  
z chlebkiem na kamieniu  
w kręgach

uciekajcie uciekajcie wędrownie

łakomi młodzieńcy  
z wieńcami na głowach  
wiszą nad wami  
ze sztućcami  
w liściach winorośli  
nienasyчени żądni  
dalszych wzruszeń  
bachusi

### WYSTAWA U „KARNEGO”

„Święci w samolocie” w ilości 10 jednostek  
(jeszcze ludzkich?)

w długich pastelowych sukniach z brodami a jakże  
wyglądają przez okrągłe okienka - bulaje  
przepływają nad pokratkowanymi ukośnie  
geometrycznymi lasami Beskidu

patrzą a tu Nikifor na kopule latarni  
patrzą a tu Nikifor na szczycie pięknej willi z drewna

szykowny galant w ciemnym ubraniu  
uginą nóżkę w tańcu  
macha cylinderkiem kłania się

obejmuje zjawę codzienne marzenie  
cudną pannę młodą w jaśniutkim welonie

och wesoły Nikifor w towarzystwie na dachu  
ach radosny Nikifor w podskokach w galopce  
niespełniony sen na obrazie  
odfruwa w obłoku pastelu

*IX 2014*

\* \* \*

od czego ten klucz  
w kieszeni  
od jakiej furtki  
ogrodu  
o którym zapomniałeś

oddaliły się sady  
minęły oparem zasnuły  
przebrzmiała ich wesoła  
brzęcząca piosenka

płatki łąz zranione  
leżą na zwilgłej trawie  
bezwładne w nieładzie  
dotykasz ziemi  
sprawdzasz  
i też płaczesz

\* \* \*

upadła mi kiedyś do rąk gwiazdka  
nie wierzyłam w szczęście  
okazało się – słusznie  
nie tkwiłam w tabelce

cieszyłam się cały weekend  
naiwna jak dziecko  
po czym piłam i piłam  
podany kubek  
gorzycy inwektyw  
z małą kostką cukru  
(sprzedaż powiązana)

Bładaczki od gwiazd  
o twarzy Katonów  
patrzą z irytacją  
czy ciągle psuję wewnętrzne  
mechanizmy rynku  
gorliwie spełniam wymóg marketingu

na spotkaniach przeważnie  
kulę się pod wzrokiem  
mrzonek konfrontacji  
a moje swobodne koniki – litery  
hasają dzikie po przestrzeniach strony  
wolne od cudzych lian

ja mała mrówka  
nadal rzucam snami  
w koła wehikułów

toczonych na drodze

z tyłu pozostaje wyrafinowana  
gra w biznes klasy  
wciąż przebywam w stadium  
małopodwórkowej rysowanej kredą

rzucam pierwsze szkiełko  
załamuje się pryzmat  
chowa lśnienie klejnot  
pod kątem promykiem nęci  
słońce wabi  
kolor mani  
szczepi

skaczę rozbryzguję tęczę  
witajcie chryzantemy i jesienne włosy  
łuki  
hej niebo niebo  
i szansa i piekło  
korytarz dla żab

## Marek Dobrowolski

\* \* \*

miałas być wiecznym słońcem  
eksplodującym wulkanem  
cieplem  
i błogosławieństwem  
dla ludzi  
zwierząt  
i roślin

nadszedł zmierzch  
zdrajca  
zamienił cię  
w księżyc  
świecący zimnem  
blady  
bez rumieńców pożądania  
ze swą ciemną  
nieznaną stroną

\* \* \*

w moich prognozach  
znowu zanosি się na płacz  
w porywach rześisty  
rozmyte oczy  
jak kałuże  
ulewają przy każdym kroku  
wspomnień

serce spowiła poranna mgła  
nie dopuszcza światła  
jakby zmierzch

jakby już tylko  
zmierzch

\* \* \*

i spełniło się  
zatarły się mirażę marzeń  
wszystko wessała  
ozonowa dziura  
jak niszcarka  
która potrafi pociąć niematerialne  
i opaść kwaśnym deszczem  
potem wszystko płynie  
po powierzchni bruku  
i wpada do kanalizacji

pozostały  
pogniecione wiersze

\* \* \*

trawa żyje  
choć nie widać  
czuć tu poezję  
która wzorem polnych myszy  
niewidocznie opanowała łąkę

płodzi się i rozłazi  
po lesie  
po polach  
czasem wejdzie pod strzechy  
nieproszona  
a gdy już zagości  
to nie do wypędzenia  
nie pomoże pułapka z serem  
ani straszenie dymem

poezja  
jak myszy i trawa  
jest wieczna



## Józefa Drozdowska

### Matylda

*mojej kotce*

Matylda, nie królowa,  
ale chodząca z miękkością i sprężystością królowych.  
Matylda, nie święta,  
ale niosąca w oczach przestrach przed złem jak u świętych.  
Kotka biała niczym śmierć,  
balansująca na granicy:  
tak i nie.  
Kotka biała jak życie  
przed zapisaniem pierwszych liter: a i b.  
Kotka, która weszła w moje istnienie  
po śmierci przed śmiercią.  
Jej szary puszysty ogon  
jest zaprzeczeniem całej bieli wiersza  
i początkiem nowej myśli  
nie tak jednoznacznej,  
jak by chciały tego królowe i święte.

*Augustów, 31.10.2005 r.*

\* \* \*

Z uszu moich kotów  
gdy głaszczę je nocą  
sypią się iskry  
A może to przycupnęły za ich uszami

gwiazdy bym więcej nieba mogła posiąść  
Jak ich nie kochać  
i jak ich nie głaskać?  
To nic że opalają mi palce u dłoni  
człowiek nie może  
przecież pozostać nocą samotny  
Sny nie dałyby usnąć szczęśliwie  
jedno serce – to takie niekompletne  
takie nieprawdziwe

5.06.2011(*noc*)

### **Scena z Aniołem**

Nieznana mi z imienia dziewczyno,  
Patrząca ukradkiem zza muślinowej firanki  
Na cień skradający się w bramie;  
Być może to anioł odwiedza  
Tutejsze kamieniczki,  
Wypatrując w facjatkach  
Dziewcząt, czeszących włosy przed snem?  
Na obdaszku sąsiedniej bramy  
Kot zamiauczał a potrącona dachówka  
Czerwienią posypała się na pergole  
Osrebrzoną modlitwą z łez.  
Na moment zagapiłem się na strumyk Gayle  
I zegar na wieży Schinkla zdumiony przystanął.  
Tak - wiem, że wszystko to jest jak nierealne,  
Dlatego zamykasz szybko okno,  
By niegdysiejszy stukot kół pociągu, niesiony  
Po kostkach brukowych aż pod twoje drzwi

Z zieleni Veronese'a utkane, zamilkł.  
I by brzmienie śmiechu panien stojących  
W nim na wiele lat przed tobą  
Nie przypominało ci się, gdy uśniesz.  
Nieznana mi z imienia dziewczyno  
Zaproś go więc na swoje poddasze  
Ocienione szeregiem bram i lip.  
I więcej już się mnie nie lękaj!

*wrzesień-październik 2007 r.*

\* \* \*

*Matyldzi i Maurysiowi*

Każda chwila dorzuca blasku  
oczom moich kotów  
Na tle majowych jesionoklonów  
o jedną toń są zieleńsze  
I widzę figlarnie zwężone  
ciemne ich źrenice  
całe wtopione w zieleń  
Wypoczywam na niej  
lecę się z ran zimy i ciała  
czekając na cud

*Augustów, 10.05.2010 r.*

\* \* \*

*Mojej żółtookiej kotce Matyldzie*

Lato już dopełniło się. Z oczu mojego kota osypują się  
płatki jaskrów. Czasem zdaje mi się,  
że szemrze w nich jeszcze tojeść, ale czy to nie złudzenie tylko?  
Niekiedy dzwonią w nich główki przelotu,  
a o wibryssy nastroszone wiatrem ociera się, brzęcząc, lucerna.  
To już jesień. Tylko patrzeć, a kobierzec z brązowych liści  
zakryje szczeliny jego źrenic.

*Augustów, 2007 r.*

## Jolanta Dzieńis

### Z górki na pazurki

Zima zapanowała na dobre! Dzieci szaleją na śniegu. W ruch poszły sanki, narty i łyżwy, na każdym podwórku porządku pilnują bałwanki, śmiesznie, czasami nader oryginalnie ustrojone. Nie każdy jednak zimowy dzień sprzyja zabawom na świeżym powietrzu.

U mnie dzisiaj za oknem szaleje wichura; wprawdzie śnieg przestał padać, ale wiatr kręci młynka tym, który już zdążył zaspy utworzyć. Między blokami zawirowania są tak duże, że ciężko otworzyć drzwi klatki... Dzisiaj nie odważyłabym się na nocne spacerki!

Za to wczoraj, gdy nie mogłam zasnąć, żadne zaś domowe sposoby nie działały, łącznie z zaparzoną melisową herbatką, ani kieliszkiem czerwonego wina – w jakiś czas potem, kiedy zawiodła nawet nudna lektura, którą mam zawsze pod ręką na takie właśnie przypadki, a zegar wybił północ, poczułam raptownie nieprzewartą chęć wyjścia z domu. Przy drzwiach leżał wysłużony plastikowy liść, na jakim w zamierzczłych czasach szalała moja córka, wygrzebany dnia poprzedniego, w ramach generalnych porządków, z bokówki. To on nasunął mi iście szatański pomysł... Postanowiłam pojechać z górki! Wprawdzie w pobliżu mam tylko niewielkie wzniesienie, okupowane w dzień przez dzieciaki, ale lepsze to niż nic...

Już zapomniałam jaka to przyjemność!

Zjeżdżałam i wdrapywałam się i znowu zjeżdżałam... Ach, było cudnie!

Kiedy wracałam do domu, zaczął padać śnieg. Grube płatki tańczyły wokół mnie, a ja rozłożyłam ręce i wirowałam razem z nimi w podmuchach wiatru...

Spałam po tym wszystkim, jak zapewne wszyscy się domyślają,  
twardo i bez snów...

### **Na saneczkach**

Kiedy śnieg zacina grubymi płatkami,  
I gdy mróz wraz z wiatrem szaleją w zawody,  
Tęsknisz za lekkimi u ramion skrzydłami  
To sen jest powszedni, czyś stary, czy młody!

Skrzydła nie urosną, wiem dobrze, niestety,  
Lecz zaradzę zaraz tej niedogodności,  
Wyciągam więc sanki z ogromnym impetem,  
Z nimi zawojuję Śnieżnej Pani włości!

Teraz tylko górki dość stromej mi trzeba,  
Po horyzont białym puchem otulonej,  
Wdrapię się na sam szczyt, gdzie dosięgnę nieba,  
I pomknę w przestworza lodem wysrebrzone!

Wiatr i mróz niestraszne, choć chłoszczą po twarzy,  
Śnieg zakleja oczy, widzieć nie pozwala,  
Lecz to jest to właśnie, o czym zawsze marzę,  
Ten lot w dół szalony, co radość wyzwala!

Gdybym jeszcze mogła sama wzlecieć w Słońce,  
Dzierżąc niepokorną w dłoniach wichru grzywę,  
Choć snom o lataniu nigdy nie ma końca,  
Wierzyć chcę, że bez nich też jestem szczęśliwa!

## Marcowa marzanna

Czy jest coś bardziej stresogennego od jesiennej, rozmazanej słoty? Oczywiście, że jest!

Nic mnie bardziej nie wprowadza w nastrój przygnębienia niż szare, deszczowe, lodowato zimne (brr!) przedwiośnie! Walczę z tym uczuciem bezustannie, czyli walczę sama ze sobą, a że podobno pozytywne myślenie pomaga, trzymam się cały czas całkiem nieźle... Kilka dni temu, nie bacząc na ulewny deszcz i porywisty wiatr, poszłam na spacer do pobliskiego lasu. Ubrałam się ciepło, narzuciłam granatową, nieprzemakalną pelerynę, przywiezioną niegdyś z Eftelingu, taką z czerwonym kłaunem Pardoesem na plecach, wciągnęłam gumowce i odważnie stawiałam czoła rozkapryszonej aurze. Peleryna to był dobry wybór, parasolki nie utrzymałabym w ręku. Całe szczęście, że wiatr wiał mi w plecy, dzięki temu szybciej dotarłam, ba (!) prawie dofrunęłam do lasu.

Cóż mogę powiedzieć...

Nie kwiaty, wychylające się spod resztek śniegu, tam na mnie czekały, tylko błoto, grząskie i głębokie. Dziwię się, że nie zgubiłam w nim kaloszy! Nogi rozjeżdżały mi się w cztery strony świata, ale to mnie nie powstrzymało, przeciwnie, złość na sytuację i trochę na swoje nieobliczalne pomysły, pchała mnie do przodu. Brnęłam dzielnie brzegiem ścieżki po szarej, zeszlórocznej trawie, ohydnie śliskiej, obszcenicznie owijającej się wokół kostek.

Otulała mnie cisza...

Nie było nic słyhać oprócz gęstego szelestu kropli deszczu na gałęziach drzew, zawodzenia wiatru w ich koronach i oczywiście ssącego mlaskania błota, towarzyszącego każdemu krokowi. Było obrzydliwie. Kilka razy zamierzałam zawrócić, ale wydawało mi się, że za którymś z zakrętów czeka na mnie zakłeta polana, a na niej jednak jakieś dzielne, szalone roślinki, które odważyły się osobiście

pożegnać zimę... Niestety, na żadną, ku ogromnemu rozczarowaniu, nie natrafiłam.

W pewnym momencie, gdy zorientowałam się, że poszłam nie tą ścieżką, postanowiłam definitywnie przerwać spacer. Wybrałam drogę na skróty i dobrze zrobiłam. Niespodziewanie wyszłam na brzeg bezimiennego ciekłu wodnego, porośniętego wierzbawatymi krzewami. Nie powiem, żeby były obficie obsypane baziarni, ale niektóre gałązki miały jednak kotki! Od razu zrobiło mi się lżej na duchu, nie czułam już zmęczenia, ani zawodu. Te małe puszyste kuleczki, z kropelkami deszczu każda, odeгнаły wszystko, co złe. Wyciągnęłam rękę, żeby zerwać chociaż jedną, maleńką witkę, ale musnęłam tylko palcami ich wilgotną, gładką puszystość... i zrezygnowałam. Większą przyjemność sprawi mi bowiem wspomnienie tej chwili, niż gałązka marniejąca samotnie w wazonie na stole.

A dzisiaj rano zaświeciło słońce!

### **Marcowa marzanna**

W grząskim, lśniącym błocie zgubiłam kalosze,  
Kiedy? Nie pamiętam, może zeszłej zimy?  
Nie odzyskam zguby, chociaż o to prosisz,  
Dawno nie ma drogi, więc nią nie wrócimy...

Bose stopy ziębną w pozimowej ślocie,  
Lecz niedługo wiosna, pantofelki włożę,  
Słońce zaraz błysnie, będzie po kłopotcie,  
To niewielka strata, bywało już gorzej...

Kwaśną minę zgubię, w uśmiech się odzieję,  
Zawiruję w tańcu w wichrowych podmuchach,



Popatrz jak się pięknie dziś do ciebie śmieję,  
Perlitego dźwięku cała Ziemia słucha...

Czas szybko ucieka, niedosyt zostawia,  
Dzień do dnia podobny, choć się bardzo starasz,  
Do zmiany kanonów żarliwie namawiam,  
Na pewno się uda przewyciężyć marazm...

Popatrz więc mi w oczy, wykąp się w błękicie,  
Pomoże nam wiosna, co nadzieję niesie,  
Chmary snów tęczowych wniesie w nasze życie,  
Ma więcej kolorów, niż stubarwna jesień...

Sięgnij dziś po słońce, którym niebo świeci,  
Zaś do butonierki włóż Gwiazdę Zaranną,  
To ci chorą duszę na zawsze wyleczy,  
A smutek odpłynie z marcową marzanną!

## Eligiusz Dymowski

### Wyznania Jacquesa Brela do żony

*Dla K.*

Tak dawno nie byliśmy razem w Paryżu  
choć myśl wciąż ciągle ta sama  
by mówić do Ciebie bez końca:  
najdroższa moja...  
kochana...  
idąc po Champs-Élysées

### Do Włodzimierza Tetmajera słowo

Tu w Bronowicach już jesień –  
Panie Włodzimierzu

Dywany z liści  
ścielą wydeptane ścieżki  
po nich ludzie się śpieszą  
i nie wiedzieć czemu

Stary sąsiad chochoł  
zagląda przez okno  
pewnie chce raz jeszcze zobaczyć Wesele  
co śni się po nocach  
jak wolność stracona

Czas niekoniecznie  
wszystkie goi rany

Choć nad Rydlówką księżyc  
rumieni swe lica  
wracamy na Pasternik  
tam gdzie święta cisza

### **Alegoria trwania**

Tyle w nas ciszy  
co i żalu

łez i uśmiechu  
po połowie

z zachodem słońca  
cień nie gaśnie

i marzeń  
nie zabijesz nożem

### **Requiem dla Haliny Poświatowskiej**

kto potrafi  
pomiędzy miłość i śmierć  
wpleść anegdotę o istnieniu

*Dnia dzisiejszego*

H. P.

Przychodzę na Twój grób  
zapalić świecę  
z modlitwą miłości miłosiernej  
pewnie  
Ciebie to już nie dziwi

bo dobrze wiesz  
jak boli serce w ciemnościach

*Częstochowa, Cmentarz św. Rocha*

### **Notatki z pewnych rekolekcji**

Szukam cię Prawdo w czystym źródle  
bo przejrzystością masz być całą

i kiedy już cię prawie widzę  
znów we mnie stajesz się zbłąkaną

*Porszewice k/Łodzi, 5. 05. 2014*

### **Z Pieśni nad Pieśniami**

*Kim jest ta, co się wyłania z pustyni... (3, 6)*

wiosną  
jej zamyślona w oknie twarz  
odbija jasność nieba

łzy jak jaskółki  
zwiastują  
burzę lub szczęście

### **Milczący Anioł**

*Ewie Demarczyk*

zamilkł Czarny Anioł  
jakby struny pękły

i głosu wydobyć nie może  
nie chce  
nie musi  
wystarczy że jest  
i w ciszy swojego sanktuarium  
z motylami tańczy walca  
jak przed laty w Paryżu

## **Staruszkowie z M2**

Przyrzekli być z sobą do końca  
i razem dzielić łożę  
chodzili na spacer  
grali w golfa i karty  
na weselach śpiewali  
niepobożne pieśni  
i wciąż byli jak dzieci  
naiwni  
zapatrzeni w siebie  
tacy delikatni

umierali cichutko  
że wszyscy płakali  
żyli nadzwyczaj normalnie  
bo tak się po prostu kochali

*Kraków, lipiec 2015*

## Ojciec w szpitalu

Na białej sali najbardziej zdradzają kolory pizam.

Obolałe kroplówki milczą zawstydzone.

Dzień i noc zawsze takie same, aż strach jest policzyć,  
ile wody w Wiśle do rana upłynie,

nim krew na nowo ożyje  
na widok ciepłych promieni słońca przed lekarskim obchodem.

*Płock, lipiec 2015*

## Jerzy Fryckowski

### WYJAZD DO RODZICÓW

Weźmy parasol  
może padać  
pajęczyną drutów  
ocalimy nasz świat  
dwa plus dwa

dzieci w bezpiecznych fotelikach

wypada wypastować buty

krawat zawiązać tak  
jak lubiła matka  
żadnych smutków  
woskowych masek

kwiaty i znicze

kupimy na miejscu  
podejdziemy  
97 schodów  
poparzymy palce  
bo wiatr nie uznaje zapalek krótszych niż życie

ciasto zjemy po powrocie

w kawie  
utopimy łyży

psu zakażemy wyc

## FIOLETOWE SZLAFROKI NASZYCH MATEK

Ciągle unoszą się w drzwiach szpitalnych wind  
i cieplejszą stroną osiadają na naszych dziecięcych główkach  
ostrzyżonych wysoko do pierwszej komunii

nie potniemy ich w paski i nie uciekniemy przez okno  
jak pokazywali w zagranicznych filmach

przed naciśnięciem guzika „bliżej nieba”  
nauczą dłonie składać do modlitwy  
i widzieć w portierze anioła stróża

jutro przyniesiemy odświętną sukienkę  
i odbierzemy dokumenty

## NASZE MATKI PŁOSZĄ ŚMIECHEM WIEWIÓRKI

Widziałem jak nasze matki  
zamieniały tabletki przeciwgruźlicze w orzechy laskowe  
i nikt nie uznał tego za cud  
gdy w parku dzieliliśmy się nimi z wiewiórkami

Mieliśmy zwyczaj przyjeżdżać bez zapowiedzi  
nie baliśmy się strajku kolejarzy  
bo słowo to było im obce jak owoc kiwi

Tylko matki z żołądkiem zaciśniętym niczym pięść  
żałowały że wyrzuciły szynkę kotom  
a my będziemy ją znali tylko z zapowiedzianych wizyt

Finałem wszystkich opowieści było czesanie siwych włosów matek  
półki na pętli nie zaczął wyc klakson ostatniego autobusu



do którego siedzeń przyklejaliśmy się spoconymi ze strachu plecami

W tygodniu wracaliśmy do prób naszych pierwszych spowiedzi  
przyznawaliśmy się do oddania orzechów wiewiórkom  
ale Pan Bóg chyba tego nie rozumiał

### TRZECI POGRZEB SARBIEWSKIEGO

Coś uczynił zaborcy łaćński poeto,  
skoro wykrada nocą twoje nędzne zwłoki?  
Czyś swoją pieśnią carskim zagrażał karetom  
będąc w zimnych podziemiach władzy kolcem w oku?

Czy wileńską uczelnię okradłeś z mądrości,  
wywozłeś ją do Rzymu w hołdzie papieżowi?  
Za co więc na twym czole laur pysznie gościł?  
Nie mógł car przez to sypiać, Paskiewicz się głowił.

Pod cmentarną aleją grzebią w tajemnicy,  
a szczątki są zbyt polskie, wystają spod gleby.  
Nie słyszy już Warszawa kozackiej konnicy,  
ale nadal się wstydzi zbyt późnych pogrzebów

\* \* \*

Pierwszy zwątpił pies  
gdy kwiaty na sukience okazały się sztuczne  
a miesięczna krew spływała krzyżykami w kalendarzu  
kwitło tylko przekwitanie  
jaskry nie miały szans z jaskrą  
agrest ranił palce i nie był kwaśny

sok z porzeczek udawał krew i rzucał się na czoło  
chińskimi podróbkami Lady Makbet

Tylko szpaki nie dały się nabrać  
wydłubały adres z danych wrażliwych  
strachowi na wróble zostawiły oczy  
bo mokre spojrzenie brzmi dumnie

tamtego lata nie było lata  
tylko burza prawdziwa jak strach syna  
i bezwstydną nagość przed rozkładem jazdy

ktoś musiał wierzyć w powrót

### ZAPROŚ MNIE

Zaproś mnie chociaż raz do Starego Bielska  
w skromnym kościółku przywróć pamięć gdy smok był mi uległy  
a obok święta Urszula płynąc po Renie  
białą chusteczką dzieliła nasze pocałunki na dwoje  
Abudanti – alegoria obfitości sypnęła tylko błyskotkami  
pazłotkiem po gorzkiej czekoladzie  
z którego w dzieciństwie robiliśmy sobie złote zęby  
by dorównać radzieckim wyzwolicielom  
podaruj klimat Norwida i zabierz na ulicę Cyprysową  
gdzie jest odrzucenie starających się o rękę  
Zamień się w Julię i czekaj aż drzewa przemówią  
a łąza znad planety sięgnie naszej bielizny zamiast grobu  
zaprowadź do domu tkacza snuj osnowę swoich codziennych kłamstw  
o wspólnym obiedzie i łyżwach z naszą córką gdy wszystko już  
zamarznie

pokaż krosno nicielnicowe i czółenko które uśpi mnie w te wszystkie  
noce

gdy nie będę mógł się do ciebie dodzwonić

bo w jego ramionach jesteś poza zasięgiem

Na nasz ostatni bal zaproś mnie do sali reductowej

być może któraś z moich łez dogoni kroplę potu Zbyszka Cyganiewicza

i jeszcze raz zewrzemy się w uścisku

szepniemy banalne *kocham i żegnaj*

a twoja umierająca matka

rzuci ręcznik i podda nas wszystkich

## Krystyna Gudel

### Do Pani I.

I

Pragnę uprzejmie donieść,  
że u nas raczej po staremu.

Jesień tego roku wyjątkowa.  
Las pęczniej obfitością,  
sąsiedzi skosili drugą otawę,  
podniebni wędrowcy rozleniwieni,  
sejmikują z opóźnieniem.  
Może już Pani wie, że u farmera  
padł cały chów niosek  
i ktoś potrącił koguta Antosiów,  
co obsługiwał wszystkie kury.  
Frankowej wypadł ostatni ząb.  
Teraz łatwiej włożą jej sztuczną  
szczękę, życzyła sobie mieć  
uzębienie na ostatnią drogę.  
Nepomucen też chyba zaniemógł,  
bo raz deszczu nadto, to znów za mało.  
Pietrkowej zużyła się zapaska,  
ziół na strychu coraz mniej.

I byłoby wszystko w miarę,  
gdyby nie ten stary dwór,  
co go nikt nie chce. Nawet  
sójka stamtąd się wyniosła,  
bzwowych kiści jak na lekarstwo.  
Dąb, na którym opiera się ganek,

też chce odejść, tylko kto będzie  
prowadził kronikę rodu?

Może Pani ma jakieś „chody”  
u Najwyższego. Niechby chociaż  
malwy kwitły w wirydarzu,  
a zachodzące słońce niech nie  
krwawi nad kruszejącym murem.

Zasylam pozdrowienia z uroczej  
podlaskiej krainy, z nadzieją  
na świt kolejny i dziękczynienie  
o zachodzie.

## II

Z niepokojem donoszę,

że kobieta w różowym kapeluszu  
znów stała pod krzyżem, a Chrystusa  
Frasobliwego dopadły korniki.  
Pociesza go dzika malwa,  
niezwykle urodziwa.

Niedawno babciną krajkę pogryzły  
mole, choć pachniała lawendą.  
Co może oznaczać taki precedens?

I jeszcze starej poetce złamało się  
pióro. Czyżby napisała już  
wszystko, co napisać powinna?

Jeżeli możesz coś zrobić, to zabiegaj,  
aby tej młodej wolontariuszce wciąż

śmiały się oczy, a wnuczek zanotował  
numer telefonu babci w swoim smartfonie.

Przeprowadź staruszkę przez  
Błękitną Krainę, *gdy czas się dopełni.*

Obiecuję zadbać o jej kota,  
bo tylko tyle mogę.

## TRYPTYK PAŹDZIERNIKOWY

### I

#### Nad morze

słońce zstępowało  
z antypodów leniwie

na linii horyzontu  
czupryny buków  
w kolorze tango

żelazowa czerwień  
wśród dębowych koron

klony w smakowitych  
odcieniach cynamonu  
z domieszką ugru

mazurskie serpentyny  
jak w kłajdoskopie  
bawią się chwilą

za oknem auta  
przeznaczenie

## II

### Nad morzem

w twoich źrenicach  
bursztynowe refleksy

dłonie w uścisku  
wzmocnione przeżywanie

w akwamarynowy przestwór  
wdzierają się odważne myśli

kradną dziki zapach  
w kolorze magenta  
wydmy nie poskarżą

pochylone sosny ślą  
ukłony od morza  
szepcą zasłyszane modlitwy

a może to echo  
powtarza imiona  
tych co nie wrócili

## III

### Znad morza

nasyceni królewskim błękitem  
wymykamy się falom  
co jak kariatydy władają  
zniewoloną duszą

obecności musi  
wystarczyć na długo

zasmucone jawory  
zwieszają skrzydlate nosy  
brzozy w spizowo-  
koniakowym zdumieniu

wielobarwne widowisko  
przybiera płową szatę

na krawędzi dnia i nocy  
bezszelestnie

mgielna zaporą opada

### **We dwoje**

Na dwóch pieńkach olchowych  
siedli sobie we dwoje.

„Ja ci włosy poprawię,  
a ty patrz w oczy moje.”

On odgarnia jej kosmyk,  
ona daje mu rękę.

On podsuwa jej kubek  
i poprawia sukienkę.

Z polifonii wiosennej  
wyłuskują kantaty;  
falset, dyszkant, bel canto,  
choć to są różne światy.

Pod pułapem błękitnym  
kluczem płynie nadzieja.

On jej coś obiecuje,  
ona go rozwesela.



Jednym kubkiem się dzielą,  
w jedno miejsce wpatrzeni.  
Myślą, ile im dane  
być we dwoje na ziemi.

Żeby tylko ten kubek  
mógł im jeszcze posłużyć  
wiele zim, tyleż wiosen,  
jeszcze długo i dłużej.

## Izabela Iwańczuk

### Telefon

rana o rany!  
wystraszeni esesmani  
będą straszyć esemesem  
będą leczyć aloesem kaktusem amolem  
alo alo współczesnym krokusem symbolem  
halo halo

### Przedpokójwojna

po wojnie  
przedwiośnie dowolne  
wojna za ścianą  
w połowie rozebraną  
kamienie na szaniec  
świata koniec  
armia krokusów  
trajektoria nagich snów  
z lotu ptaka  
strategia wschodu słońca  
dowódca zapatrzył się  
na delikatny księżyc

### Orkan

panią Miecią  
zastąpi Ksawery

zawieje zamiecie  
w uszach  
i wszędzie  
pod dywanem  
pasemka promyki  
połamane drzewa  
garstka śniegu  
rzutnik słońca  
na twarz

### **Idą święta rabat na świat**

chorujesz na mnie  
dwadzieścia procent mniej  
na chory świat  
pięćdziesiąt procent taniej  
na tv led laptop tablet  
na miłość najlepsze gratisy miłości  
na miłość nie ma sił  
na filmową piosenkę  
na wszystko gratis  
tylko u Boga  
przymglone światło promieniuje  
w cztery strony  
z telebimu nieba

### Tło

deszcz śnieg słońce  
odbite w okularach  
szybko zachodzi mandarynką  
marynarka nóż szermierka  
kamizelka moro szaro  
czapka spodnie pas  
bojówek pijany świat  
konwojem na wojskowo  
w oficerkach obowiązkowo

### Przed czterdziestką ziemia obraca się szybciej

delikatne jak makijaż  
słońce bawi się ze mną  
ukryte za wieżą  
kręcą mnie młode klubowe kawałki  
stokrotki spacerów popołudnia rozlane zmęczeniem  
whisky z pepsi i lodem  
wszechobecne modne tenisówki  
z białą podeszwą  
wokół własnej osi  
wiruje duet nóg w legginsach  
z napisami jak dwukolorowy t-shirt  
zwyżkujące libido oraz prywatny mistycyzm  
krem odżywczy od loreal paris  
jedwab do włosów w spray-u  
w grzonym winie słońca bieg mój niezłomny

w słuchawkach sony egzotyczny motyw  
chwilowo świat statystyczny  
niedawno ktoś umarł w sms-ie  
e-mail o pogodzie  
Bóg wie która  
znajomość na facebooku  
wyluzowane czyjeś urodziny  
wydarzenia lajki ściemy w komentarzach  
kilka fotek ze spotkania autorskiego

### **Hit za hitem**

niebo płacze niegrzecznymi  
teledyskami grzesznych gwiazd  
promocja pośladków trwa  
maślane croissanty dnia  
przyspieszają reklamami każą  
wąchać storczyka mini  
otwierać adwentowe czekoladki  
kosztować ptasie mleczko  
o smaku balonówki  
owocowe półksiężycy galaretek  
lizać choinkowe sople

### **Jutrznia outsajdera**

przed wschodem słońca  
jedzie za chlebem  
wita się z mistrzem

idzie w osobne miejsce  
przynosi karton słów  
układa je w niewielkich odstępach  
robi przerwę obserwuje resztę  
staje na palcach schyla się  
otwiera następny karton  
ścisza radio  
wyplata swoją jutrznię

### **Szachownica**

nie wiadomo co będzie do zrobienia  
kto na którym polu stanie  
kto z czym wyskoczy  
czyje nerwy puszcza oczko  
co przyjedzie co odjedzie co powiedzieć  
kto zawita kto zapomni kto zapyta  
kto odpowie dokąd pójdzie  
kto popełni błąd co zazgrzyta  
co na jutro co na dziś

ile słońca tyle krwi  
ile potu tyle drwin

## Jacek Juskiewicz

### Bestia (fragment powieści „Jager”)

Jagerowi śniło się, że widzi za oknem swojej izby poruszającą się dłoń, a na tej dłoni wgłębiony napis *Bestia* – jakby wypalony na desce – brązowy, okopcony, irracjonalnie wpleciony w spękania dłoni lub też jak ornament z henny na rękach i nogach berberyjskiej kobiety z Marrakeszu. Widział, jak ta dłoń z napisem wolno uderza w szybę okna. Słyszał też w tym śnie dźwięk, przypominający klaskanie, tak jakby dłoń uderzała płasko o tafłę zimnego jeziora. Dźwięk w tym śnie przebijał się natarczywie do rzeczywistości. Do rzeczywistości, w której mężczyzna utrudzony dniem trwał w niebycie nocy, bezwładny ciałem i nieobecny duchem. Dźwięki przenikające ze snu do świadomości Jagera wyrwały go z głębokiego letargu. Ale obraz i dźwięk ze snu trwały nadal, sen i rzeczywistość spojone były w jednię. Nadal widział i słyszał, to co we śnie zdawało się być snem, a teraz snem nie było. Dźwięk i obraz trwały nadal, tak jakby sen się nie skończył, a przebudzenie było tylko jego częścią.

Widział wypisane na dłoni imię oddalające się i zbliżające do okna wraz z dłonią, na której było wyryte. *Bestia*. Widział rozpryskującą się z hukiem na drobne okruchy szybę i lodowatą ciemność, wnikającą dymną smugą do wnętrza chaty. *Bestia*.

W mrocznej izbie oczy bestii, jak dwa połyskliwe, smoliste diamenty przeszywały na wskroś Jagera – niczym rytualne noże wycinające serce ofiary. Przerażliwe zimno zmateralizowanego zła zdławiło gardło i obezwładniało ciało. Dusza zapadała się w przepaść czarnej otchłani pionowym tunelem zasysającym w głąb nicości. Lęk. Paraliż. Niesłychana trwoga narastająca falą, której kulminacją mogła być już tylko śmierć. Nawet krzyk wydawał się w tej chwili ponad

siły Jagera, pomimo że rozsadzał ciało i umysł. Zaciśnięte dławiącym uściskiem gardło i kolana bestii, wbijające się w piersi, nie dawały szans na uwolnienie krzyku. Zło kryształami lodu wnikało w żyły mężczyzny, wypełniało komórki ciała, które traciło z wolna ciepło życia. Czuł, jak przegrywa walkę, której nawet nie miał siły podjąć. Gorączkowe myśli po omacku szukały jakiegokolwiek oparcia, jakiegoś ocalenia. Usta bezwiednie poruszały się w rytm modlitwy, ale czuł, że jest za słaby, aby utrzymać ten oręż.

Był bezbronny, ale paradoksalnie miał świadomość tego, że bestia nic mu nie może zrobić, dopóki się na nią nie otworzy i nie podda we własnym wnętrzu. Wiedział, że dojdzie do krawędzi śmierci i zanurzy się w nią, ale jeżeli wytrwa, to nie umrze, pomimo że będzie czuł tak, jakby umarł.

Jego walka z bestią mogła opierać się tylko na trwaniu w tym, kim jest i z kim jest. Tylko świadomość bycia w swej nieskażonej formie była ratunkiem Jagera. Musiał stanąć w prawdzie o sobie, przed sobą i stać się jak dziecko, które leży w ciemności i czeka na ojca. Czuł, że zanurzył się w otchłań śmierci, jak we mgłę ciekłego azotu, który ściała tkankę, aż do wnętrza kości i ścięgien. Krew bryła lodu zatrzymała się w komorach serca i ciągle spadała w otchłań z bezwładną wolą życia. Ogarnęła go czerń bestii, która pazurami wczepiła się w jego serce, ale nagłe szarpnięcie poderwało go do góry. Żył. Zachłysnął się oddechem, jak topielec wyrwany z wody i uwolnił w końcu krzyk, który zabrzmiał jak płacz dziecka po narodzinach. Oddychał szybko i głęboko, uspokajając rozszalałe serce, które ponownie ruszyło, tłocząc krew w zlodowaciałe żyły. Z piersi zniknął ciężar bestii, a smuga czarnego dymu wypłynęła z izby na zewnątrz chaty.

Jager wyszedł z izby raniąc stopy okruchami rozbitego szkła. Zataczał się jak pijany chłop, wychodzący nad ranem z karczmy. Szedł do lasu po mokrej trawie i mchu, które znieczulały pokaleczone



nogi. Zanurzył się w mrok lasu, idąc znaną sobie ścieżką, bardziej instynktownie niż celowo i z rozmysłem.

\*

Szara wilczyca przemknęła pod oknami chaty i wtopiła się w leśną gęstwinę, idąc tuż za Jagerem. Jak szary cień z pochylonym łbem rytmicznie stąpała z gracją wśród roślin i drzew, wnikając jak wąż w zagłębienia terenu, klucząc między wzniesieniami i zwalonymi pniami zmurszałych drzew. Czuła zapach krwi z pociętych nóg, idącego przed nią człowieka, która znaczyła leśne runo, jak trop zranionego przez myśliwych łosia, którego zagryzła nie tak dawno temu. Ale po łosiu pozostały tylko białe kości, których nie dały rady skruszyć wilcze szczęki i niejadalne łopaty. To był czas sytości wilczej rodziny. Teraz musiała częściej polować, bo zdobycz była najczęściej drobniejsza, jakiś ptak lub zając, czasami padlina. Apetyt wilcząt był coraz większy. Szczenięta były dobrze wykarmione, rosły i napawały dumą serce matki. Ale cały czas poświęcała na zdobywanie pożywienia i tropienie zwierzyny. Trzy małe wilczki były takie zabawne w swych dziecięcych próbach walki o dominację w gnieździe. Toczyły niestanne bijatyki z częstymi przerwami na ssanie matki i sen. Ale nawet przez sen podskakiwały i warczały, śniąc niestanną przygodę rozpoczynającego się życia – życia zabójców i ściganych przez ludzi złoczyńców. Ale o tym jeszcze nie wiedziały. Nieświadome dzieciństwo, które skończy się z chwilą zagryzienia pierwszej ofiary.

Oslabiony mężczyzna zdawał się być łatwą zdobyczą. Wystarczył tylko jeden skok do gardła lub mocny chwyt za kark, a słodka ciepła krew zabulgocze w wilczym przełyku jak wino.

Ranny bardziej na duszy niż ciele Jager usiadł pod pochyłą brzozą, rosnącą na skraju polany i oparł głowę o jej łaciaty pień. Zamknął oczy i zdawał się spać, ale to nie był sen. Spod przymkniętych powiek

splywały łzy, złościąc na ogorzałych policzkach dwie strużki. Dwa oczyszczające źródła, zmywające piętno śmierci, w której otchłani Jager został zanurzony. Nie był świadomy tego, co się wokół niego dzieje. Nie było to ważne z punktu widzenia człowieka, który umarł i nadal żyje. Jakże to paradoksalnie mogłoby zabrznieć w uszach zwykłego człowieka, który nie czyni nic poza zapychaniem własnego brzucha. Ale Jager nie należał do takich ludzi. Bardzo często zdarzało mu się zapomnieć o konieczności spożywania choćby jednego posiłku w ciągu dnia. Jego nieżyjąca już babcia powiedziałaaby, że żyje tylko wiatrem i słońcem.

Z kieszeni wyjął drewniany różaniec, który kiedyś podarowała mu nieznamiona staruszka. Powiedziała wtedy: „To jest twoje ocalenie”. Ścisnął w dłoni paciorki i wspominał tamten dzień, gdy szedł polną drogą nad brzegiem jeziora przez las źródłiskowy. Klęcząca przy wiejskiej kapliczce kobieta zawołała go wtedy po imieniu. Nigdy wcześniej jej nie widział i nigdy potem już nie spotkał. Czas i cierpienie zatarły tamto wspomnienie, ale teraz odżyło na nowo, a zwłaszcza słowa kobiety.

Gdy trzymał w dłoni różaniec, poczuł jak wypełnia go pokój, a serce wycisza się i wyzbywa trwogi i cierpienia. Zaczął modlić się dość niezadarnie i niepewnie, tak jakby robił to dopiero po raz pierwszy w życiu.

\*\*

W pewnej chwili mężczyzna drgnął usłyszawszy trzask gałązki w niewielkiej odległości od siebie. Otworzył oczy i starał się przeniknąć wzrokiem ciemność nocy i mrok lasu. Czuł obecność jakiejś żywej istoty tuż przed sobą. Po chwili poczuł na swych stopach dotknięcie czegoś szorstkiego i wilgotnego. Jakieś stworzenie lizało jego poranione stopy. Pochylił się i dostrzegł szary cień wilczycy, która troskliwie zlizywała krew i przyklejony do stóp mech. Jager

położył dłoń na wilczym łbie i pogłaskał ją z wdzięcznością. To nie była bestia. To była wilczyca, którą spotykał na swoich ścieżkach, gdy wędrował po bagnach i lesie. Znali się dobrze od wielu lat. To ona ocaliła go kiedyś od śmierci, którą chciał mu zadać opętany przez bestię ojciec.

Wilki nie są bestiami. Nawet najbardziej źli i bezwzględni ludzie nie są nimi w pełni, bo zło bestii jest nieogarnięte. Nawet seryjni zabójcy, zabijający swoje ofiary w najbardziej wymyślny, wyrafinowany i okrutny sposób, nie są jej wcieleniem. Są jedynie jej niewielkim roztworem. Kroplą esencji rozpuszczoną w duszy człowieka. Tak silne jest skondensowane i esencjonalne zło. Żaden człowiek nie jest w stanie być bestią w pełni. Gdy bestia pokonuje człowieka i wchodzi w jego duszę, to człowiek jest tylko jej mieszkaniem i narzędziem. Myśli, słowa, czyny i uczucia podporządkowane są bestii. Taki człowiek patrzy na świat jej oczami, tracąc właściwe sobie spojrzenie oraz potrzebę czynienia i poszukiwania dobra.

To oczy zdradzają ludzi, w których mieszka bestia – mają oczy, jak smolista otchłań, przerażająco ciemne, o połysku węgla. Jager widział już takie oczy u ludzi, w których bestia mieszkała, a dzisiaj zobaczył samą bestię. Nie pokonała go, ale wiedział, że będzie ciągle próbować, że przyczai się i skoczy do gardła, gdy będzie się tego najmniej spodziewał.

Ludzie boją się wilków – budzą w nich przerażenie, choć tak naprawdę niewiele osób miało z nimi bezpośredni kontakt. Wieczorami w wiejskich chatach snuje się opowieści o wilkach, stawiając je na równo z wampirami i wilkołakami. Jager pamiętał z dzieciństwa, jak babcia w świetle naftowej lampy opowiadała przerażające historie o wilkach. Strwożony i zasłuchany w szept babci, patrzył na cienie snujące się po ścianach chaty, poruszane drgającym płomieniem lampy. Wyobrażał, że to krwiożercze pyski

wilków, pożerające dzieci wykradzione z kołyski lub rozrywające na strzępy wracającego ze szkoły małego chłopca, po którym został tylko drewniany tornister i nóżki w bucikach. Jager nie mógł wtedy długo zasnąć. Wsłuchiwał się w ciszę nocy, drżąc cały pod pierzyną na myśl, że za chwile usłyszy wycie wilków, nawołujących do ataku na ich wieś. Wyobrażał też, jak mógłby dokonać bohaterskich czynów, walcząc z wilczymi watahami. Myślał, że gdyby miał strzelbę, to mógłby ratować innych ludzi od wilczych kłów. Wszyscy by go podziwiali i dziękowali za bohaterstwo. Miałby też dagerotyp zrobiony przez wędrownego fotografa, na którym stałby dumny w otoczeniu wieśniaków, a pod jego stopami leżałyby zabite wilki. Trzymałby na tym zdjęciu w dłoniach strzelbę i patrzył prosto przed siebie, ale tak jakby trochę ponad głowami ludzi, jak bohater. Całymi dniami biegał z drewnianą bronią, wystruganą przez dziadka. Podwórkowy burek znudzony był już ciągłą rolą zabijanego wilka. Czasami dla odmiany Jager brał go jako psa myśliwskiego i ganiał po łąkach, bawiąc się w tropienie wilków, których w tamtej okolicy było dość dużo, ale nigdy nie zbliżał się do lasu ani do bagien. Zresztą do bagien nikt się nie zbliżał – były przekłete.

Wilki czyniły znaczne szkody wśród zwierząt domowych, ale ataki na ludzi zdarzały się dosyć rzadko, jedynie podczas srogich zim, gdy wilki łączyły się w watahy, należało uważać i unikać samotnych wycieczek. Ale takie było prawo natury – wilki i ludzie były jej częścią.

Ludzie boją się wilków, lecz nie boją się bestii, która czyha na każdego, w każdym dniu i każdej nocy. Wydaje się im, że bestia nie istnieje, że jest tylko mitem. I to jest największą siłą bestii, ponieważ nie wierzy się w jej istnienie. Ludzie wieczorami nie opowiadają strasznych historii o bestii, która jak lew ryczący krąży i pragnie pożreć każdego, kto jest na drodze do światła. Ludzie bardziej boją się

wilków zamykając przed nimi szczelnie drzwi chat, obór i chlewów, a pozostawiają otwarte drzwi duszy i serca przed bestią.

Jager wsłuchiwał się w odgłosy nocy, opierając brodę na kolanach. Na stopach czuł ciepło ciała leżącej wilczycy. Wilgotne powietrze niesło ukojenie i wyciszenie, którego tak teraz potrzebował. Musiał wejść w głąb siebie, aby otworzyć się na światło. Musiał rozświetlić swoją duszę i serce światłem życia. Tylko w głębi swego serca i na jego dnie mógł zatrzymać się i słuchać odwiecznego słowa, które jest i które przychodzi.

\*\*\*

Ktoś, kto obserwowałby z boku człowieka i wilka, mógłby przypuszczać, że wilczyca została przez Jagera oswojona. Jednak tak nie było. Nie wychował jej od małego szczenięcia i nie uratował z sideł kłusownika, jak najczęściej bywa na początku przyjaźni człowieka z dzikim zwierzęciem, a tak naprawdę zależności dzikiego zwierzęcia od człowieka.

A co tak naprawdę rozumiemy pod pojęciem „oswojenie”? Czy to nie porozumienia, czy też łańcuch niewoli łączący zwierzę z człowiekiem? W przypadku Jagera i wilczycy była to raczej nie zrozumienia. Ani mężczyzna, ani wilczyca nie wkraczali w obszar roszczeń. Potrafili być obok siebie, a jednak każdy z nich w zupełnie innym świecie zdefiniowanym odmienną świadomością istnienia człowieka i wilka. Wilk nie był oswojony, jak bywa oswojony lew lub słoń w cyrku. Jager nie uczył jej żadnych sztuczek ani nie wymagał posłuszeństwa. Nie karał i nie nagradzał. Czasami dotykał jej sierści i patrzył w dzikie oczy, ale na krótko, na tyle, na ile dotykał kory drzew i łodyg trawy. Na tyle, na ile patrzył na ruch skrzydeł ważki i na pszczołę zbierającą z kwiatu lipy pyłek. Wadera była tylko jednym z elementów natury, w której zanurzony był Jager, a Jager był jednym z elementów natury, w której zanurzona była wilczyca.

## Julia Kaczmarzyk

### Wspomnienie?

Kroczy,  
otulona suknem cienkim.  
Może z paru łez.  
Wątpła,  
pragnie znów zachwycać,  
To ona,  
ciepło wczorajszego poranka,  
niepostrzeżenie spogląda.  
Czujesz to?  
Istota stęskniona dotyku,  
oddechem przypomina o sobie.  
Nie widzisz tego...  
Ocean żalu pochłonie ją,  
serce pozostawi na pustkowiu,  
by ucichło,  
niczym zapomniana melodia.  
Jej myśli krążą wokół dwóch słów:  
„Kochaj mnie”.

### Jestem...

Zamknięta pośród ścian,  
niczym zwierzę.  
Uwaga, bo gryzę!  
Krzyk,  
wściekłość w mych oczach.

Na czterech nogach kroczę,  
jak furia.  
Uwaga, bo drapię!  
Zagłada.  
Jam zimno przesywające, blade.  
Niepowstrzymana, gwałtowna  
Jak kwiat więdnący  
od środka gniję.  
Dookoła karaluchy  
pełzają po mnie.  
Pożerają chorą kobietę.  
Może przez okno?  
Zniknę.  
Uwolnię się od robali.  
Uciec nie mogę.  
Ja, więzień umysłu.  
Ktoś na mnie spogląda.  
Czyżby to najwyższy?  
Widzi we mnie człowieka,  
nie bestię.  
Błagam o zrozumienie!  
Proszę o przebudzenie.

### **W zamknięciu**

Stoisz na ulicy pokrytej mgłą,  
gęstą i przenikliwą.  
Dokąd zmierzasz?  
Nagły powiew wiatru.  
Czujesz go,

chłód.

Dreszcz przesywa twe ciało.

Dookoła cisza przeraźliwa,

a ty ani drgniesz.

Stoisz niczym głaz,

kamień ciężki, którego nikt nie ruszy,

lecz w twym umyśle wojna się toczy.

Myśli twoje rozproszone jak mgła.

„Co zrobić?”

„W którą stronę uciec?”

Nigdzie nie odejdiesz wędrowcze zagubiony w świecie.

Pokrywa cię rdza.

Za późno.

Ludzkie ciało dusza opuszcza

wraz z nią nadzieja.

## Przebudzenie

**B**łask widoczny z oddali,

delikatny, drżący z bólu.

Chłodny blask przeszłości.

Wzniósł się w górę i czeka.

Zastygł niczym kropla żywicy zamknięta w kamieniu.

Senne światło spogląda okiem troski.

Zrozum jego spokój,

poczuj jego płomień,

który kieruje ku tobie.

To coś więcej niż ciepło.

Poczuj jak budzi cię do życia!



## Obok was

Rozkwitają co dzień,  
niczym nieprzerwany sen,  
w nim nucą swą melodię.  
Uśmiechem wypełniają całych siebie.  
Żyją ze sobą  
patrzą na siebie  
bez żalu,  
bez urazy,  
szaleni...  
A ja?  
niczym naga ściana lęku  
stoję.  
Zimna,  
bezbarwna.  
To ja,  
mur osamotnienia  
chowam się z obawy  
przed odtrąceniem  
Nieśmiałość skradła mi tożsamość.

## Wiersz

Unoszą się nade mną poezje znakomite.  
Nie ma sposobu się od nich uwolnić.  
Ujawnić je przed okrutnym światem?  
Ludzie niewrażliwi na kunszt są.  
Oni nie słuchają, nie czują jak ja.  
Może lepiej odrzutek odejdzie w zapomnienie z wierszem,  
który umrze wraz z nim,  
gdyż nikła jest szansa poety na zrozumienie.

## Hanna Karaś-Karp

### Z cyklu: Wileńskie pisanie

*Romkowi Mieczkowskiemu*

#### **Fragmentarycznie...**

Jeśli Wilno to zaraz Ostra Brama,  
litanijne zawodzenia, płomyki świec,  
sonety, szepty.  
Redaktorzy tego nie lubią.  
Nic na siłę, o Wilnie nie trzeba pisać wierszy,  
Za Wilnem nie trzeba wzdychać,  
wszyscy wzdychają.  
Wypychają swoje walizki słowami  
i biegają po uliczkach ze starymi mapami.  
Zagubieni, wszystkie nazwy zmienione  
i język litewski wrzyna się w stopy.  
O Wilnie trzeba fragmentarycznie,  
na palcach.  
Jak gość nie w porę, ze spłoszonym spojrzeniem,  
krótkim oddechem, bo nie do siebie.  
Zanim minie starówka rozjeżdżona przez  
nerwowych kierowców -  
W swoich jeepach.  
Ktoś przed Ostrą Bramą zaczepił:  
- Pani tak ładnie mówi, od razu słychać,  
że nie tutejsza,  
może pokój chce wynająć, niedaleko?

Zanim rozsypie się to miasto do końca,  
w profilu staruszki, tutejszej obcej...  
Zanim ktoś powie, nic z was ani z nas  
tu nie zostanie.  
Przyszli teraz mądrzejsi, więc może naprawdę  
lepiej zalepić wszystkie  
Stare słowa czarną szeroką taśmą?  
Zastawić ulice, zabarykadować nocą wszystkie bramy  
i wierzyć w ducha przyszłości, który  
Wyśpiewa miastu lepsze pieśni za lat dwieście?  
Ale Duch nie będzie duszą niczyją,  
Skomle coś, wściekły na niegodziwość,  
Starca bijącego dziecko laską po stopach.  
Miłosierdzia i zmiłowania nie będzie,  
I wierszy nie będzie .  
Na wspomnienie sprzed lat,  
zostaną reklamy burgerów  
o zapachu wileńskiej szynki.  
Po ulicach rozlegnie się uniwersalny chichot historii  
i wprawi przechodniów we wspaniałą nastrój.  
Pogoda tylko, jak zwykle na początku maja,  
pozostanie wietrzna.  
Chmury nad Wilnem przewalą się jak dziś,  
jak szczyty alpejskie zimą...

### **Już można mówić głośno**

I miało nas nie być. Miała być cisza zatrzaśnięta,  
Nie jak wieko trumny, ale niebo, złowrogie.

Miało nas pochłonąć to miejsce. Ten jar.

To czarne koło powracające.  
Kto nas przeklął, oddał na zatrąę.  
Czy otwierając usta zawsze będziemy umierać?

### **Z cyklu: Smoleński szok...**

#### **Warszawa 2010**

To nie punkt na ziemi,  
To czas, który przyprawia o dreszcze.  
Czas, który płonie,  
wybucha i zatrząskuje cynkowaną trumną.

To miasto płacze,  
I boli pod mostkiem i mostem,  
Wstrząsa łuną na Krakowskim Przedmieściu.  
Światło i szum w głowie bolesny.  
Krzyk w ścisku kolejnego wołania milczenia.

Kolejne zwycięstwo w ciszy,  
popiele, w  
wirowaniu katedry.

Gorąca dłoń, którą ściskam.  
Idę razem  
Mocna – bez słów.

Dotykam nieznanego ramienia,  
potykam, ktoś mnie podtrzymuje...  
Korowód trumien, dziesiątki lawet,  
Co to za czas...?

Warszawa 21.04.2011

## Jeźdźcy Apokalipsy

To nie jest strach  
To tylko jeźdźcy Apokalipsy  
Na swoich warczących motorach  
Objawiają, że ulicami Warszawy  
Eskortują rzędy trumien  
Teraz już widać, kto tu rządzi.

## Milczący

Na Krakowskim Dźwigający  
Otulony biało-czerwoną  
Przepasaną kirem  
Wznosi dłoń do góry  
I wciąż milczy...

Słońce zalewa  
Szerokie ulice  
radość dziecka toczy się jak kula wzdłuż ławki  
Na słupach czarnych uśmiechają się teraz do siebie  
Lech i Maria  
patrzą sobie w oczy  
I tacy już zostaną na zawsze...  
Milczący...

Ich już nie ma  
Nie dają nam znaków  
Nie skrzypią podłogi  
Nie otwierają się szafki  
Nie pękają lustra

Odeszli przykryci mgłą  
Która zasłoniła oczy, usta –  
Wszystko

### 96 par oczu

96 par czujnych oczu  
96 ust  
96 zastygłych uśmiechów  
Zapatrzonych ponad horyzont  
Na ptaki i dumne obłoki  
Na przestrzeń utkaną z powietrza  
96 oczu wpatrzonych w miejsce docelowe  
Zostawiło nam las czarny  
Dudniący każdej nocy coraz głośniej

### Kioskarka z budki Agory

„Proszę nie palić zniczy pod kioskiem”  
Napisała na kiosku kartkę kioskarka.  
A dym i tłumy  
Ciągną tu – Jacyś niepozberani  
Czy to był ich swat czy brat?  
Blokują przejścia całymi godzinami,  
Nie mogą pracować.  
Wieczorem nie da rady otworzyć drzwi,  
Żeby kogoś nie potrącić.  
Ta narodowa histeria.  
To nie do zniesienia.  
Biorę urlop i wynoszę się stąd.  
Kiosk będzie otwarty za miesiąc.

## Na skrzyżowaniu

Krakowskie Przedmieście skrzyżowane z ulicą  
Gen. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza  
Zderzyli się wędrowcy, pielgrzymi, przybysze, podróżni,  
zagubieni, osieroceni, zostawieni,  
cisi, zaskoczeni, oniemiała, pytający,  
wołający, wryci, nierozumiejacy,  
ośmieszani, przegonieni, popychani, odprawieni,  
odpędzeni, wygnani...jeszcze tu wrócą?

## Jan Leończuk

\* \* \*

Niebo ciężkie od aniołów  
dotykało grzesznej ziemi  
aby zakwitły łąki i lasy  
by kobierzec wabił  
majakami życia

w cerkiewnych kopułach  
zagnieździły się jaskółki  
wysłuchiwały jutrzni  
zanim ziemia uniosła powiekę

\* \* \*

cud zmartwychwstania dokonywał się  
składano żałobne chusty u wezgłowa  
aniołowie złotem pisali na niebie  
hymny pochwalne  
tylko kamień bezczynnie  
leżał u wejścia do grobu

\* \* \*

Tylko pod krzyżem  
życie rozświetlone blaskiem  
Zmartwychwstania



Odtąd ścieżka  
Wyprowadzona z dzieciństwa  
Czuwa niczym źrenica  
Opatrzności

\* \* \*

Na kalenicy  
dzwonnicy  
hufce aniołów przysiadły  
niczym jaskółki  
modlitewnie śpiewały  
budząc zastygłe sumienie  
  
i serce dzwonu  
wyśpiewywało radosne alleluja

\* \* \*

To tylko wers przystanął  
Nadsłuchując rozmowy serca

\* \* \*

W kopułach świątynnych  
światło serca  
oczekiwało  
Zmartwychwstania

Wybielone światłem  
niczym dziecięca wiara

zapatrzona w nurt rzeki

\* \* \*

wyzłoczone wieże  
tęsknotą prowadzą ku niebiosom

pozostał zapach kadzidła  
i nadzieją otwarte bramy raj

\* \* \*

w prostocie swojego serca  
zatrzaśnięte dotąd wrota  
roztworzyły nadzieje  
Bóg nie zapomina dziękczynienia  
o świętej przestrzeni  
między wyniosłymi sosnami  
I maleńkim bławatkiem

pośród szyszek spadających  
jak paciorki różańca

\* \* \*

*Hospody pomyśluj*  
Modliły się krzyże wokół cerkwi  
nad zapomnianymi grobami  
w leśnej głuszy

odpowiadało echo

i dzwonki liliowe  
choć bezdomne trwały  
w oczekiwaniu  
przy leśnej ścieżynce

\* \* \*

W nadziei niczym niezmaconej  
błękitniały krzyże  
i wiatr wyszeptywał modlitwy

\* \* \*

aniołowie czuwają w świątyniach  
niczym serca żarliwej wiary  
aby każda chwila  
odnalazła ukojenie  
w Bogu

\* \* \*

*Hospody pomyśluj!*  
Boże zmiłuj się nade mną!  
i nad moimi splątanymi dniami  
wędrowania

\* \* \*

odloty pożegnalne ptaków  
niczym akatyst

położony na zamilkłym już sercu

bezmowny  
pełen nadziei

a Dobry Bóg odczyta pragnienia  
złożone w ofierze nieba

\* \* \*

w Domu Bożym  
Księga nad Księgami  
nieustannie wertuje swoje karty

święci z napisanych ikon  
uwalniają się ze złocen'  
przysiadają na progach  
chałupinek  
by wysłuchiwać radości i smutków  
codziennego żywota

i przywracać wiarę

\* \* \*

święty Mikołaj  
wspierając się na biskupim pastorał  
przeprowadzi  
przez wzburzone fale życia

Święty Włodzimierz  
ze swoją babcią – świętą Olgą Mądrą  
powędrują raz jeszcze

na ziemi ukraińskiej  
aby tamować upływ krwi  
niewinnej

a święta Eufrozyna Połocka  
zanim pokłoniła się swoim życiem  
w klasztorze  
Ziemi Świętej  
pielgrzymowała  
aby wiara nie pozostawała  
tylko martwym obrzędem

i wielu świętych mniszek i mnichów  
niosło jarzmo utrudzenia  
w modlitwie

Boże zmiłuj się nad nami  
błagały spierzchnięte wargi  
u świątynnych wrót  
nie tracąc  
nadziei  
wiary  
i miłości

święta Ireneo  
z córkami  
wyprasza nam łaski u Boga Na Niebie

\* \* \*

przy krzyżach  
które butwiejąc nie tracą boskiej mocy  
czuwają żarłoczne korniki

ale i one  
swoją modlitwą  
prowadzą w głąb  
nieśmiertelnego serca

\* \* \*

Święci  
są z nami  
każdego dnia  
dyskretnie opuszczają  
sklepienia cerkiewne  
aby stanąć na chyboliwej kładce  
wyciszyć burzę  
oddalić morowe powietrze  
sierotom  
przywracają ciepło domu  
  
w kadzidlanych dymach  
odczytują wersety  
ze świętych ksiąg  
  
i tak mijają dni

## Piotr Malinowski

### *Fragment większej całości (próbka pisarstwa)*

#### **Prolog**

Wieczorami zazwyczaj chodzę na spacer. Mam swoją trasę, jedną, którą dobrze znam. Podążam nią od bardzo dawna i zdawać by się mogło, że znam ją jak własną kieszeń. I w rzeczywistości tak było, bo gdybym robił za przewodnika, to mógłbym opowiadać o niej godzinami. Ale niczego nie można być pewnym.

Tego wieczora wyszedłem jak codzień z domu, skręciłem w lewo, do lasu i poszedłem ścieżką. Ściółka była na tyle sucha, że dźwięk trzaskającego igliwia pod stopami po prostu mnie irytował. Tego lata było nadzwyczaj gorąco, a do tego przez cały lipiec nie spadła ani kropla deszczu. Wokół mnie rozciągał się las, a poza nim nie było nic niezwykłego. Nie był gęsty, więc z łatwością ujrzałem, że zaraz będę poza nim i znajdę się na zielonej polanie, równie suchej jak on. Jak wszystko. Niekiedy myślałem o zmianie trasy na bardziej interesującą. Po prostu na taką, która odbiegałaby od mojej codziennej rutyny – drzew. Ale zawsze gdy pojawiała się taka myśl, odganiałem ją argumentami, których sam nie rozumiałem. Powtarzałem sobie, że jeśli pójde w drugą stronę to już nie wrócę do domu, że coś się stanie albo po prostu się zgubię. Ale przecież żadna trasa nie jest pewna i na każdej może się coś stać.

Rano jak zawsze, zadzwoniłem do matki, tylko po to, aby dowiedzieć się czy żyje. Od dawna nie utrzymywałem z nią bliższych kontaktów. Czulem, że nie jest mi to potrzebne. Może wydawać się to dziwne, ale nie było żadnych tragedii, które mogły do tego

doprowadzić. Po prostu, wszystko działo się z czasem, który dla nikogo się jeszcze nie zatrzymał. Ja nie byłem wyjątkiem. Przywitałem się z nią, spytałem co tam u niej słychać, czy wszystko dobrze. I w gruncie rzeczy to wszystko. Pożegnałem się i tyle. Nie ukrywam, że jeśli usłyszałbym od niej słowa typu: „Tomek, mogłabym do Ciebie przyjechać”, to bym się ucieszył, lecz chyba nie miałem na co liczyć. Podobnie chyba było w drugą stronę. Po prostu się bałem.

Niekiedy godziny biegną u mnie bardzo wolno. A to dlatego, że się nudzę, co zaprzecza wielu teoriom, bo podobno człowiek inteligentny nigdy się nie nudzi i zawsze znajdzie coś, o każdej porze dnia, co go zainteresuje. Oczywiście, istnieje wiele teorii na ten temat, ale jak dla mnie to wszystkie są durne, jeśli sam ich na sobie nie przetestuje albo jeśli ktoś ich na mnie nie wypróbuje. Jak dla mnie inteligencja wynika w pewnym stopniu z tego, jak postrzegamy świat i jak go interpretujemy. Bo na przykład, jeśli idę na spacer i spoglądam w niebo, to myślę sobie, jak to wszystko zostało stworzone. Może to natura, może to wielki wybuch. A może to jakaś siła wyższa. Tylko jaka. Uwielbiam filozofować, snuć teorię na różne tematy, ale czasami zadaję sobie pytanie: po co? Przecież jest tyle pięknych rzeczy, można cieszyć się życiem, więc po jaką cholere mam myśleć o tym, czego nie mogę dostrzec, nie mogę ich dotknąć. Ba! Nawet nie wiadomo czy istnieją. I jak dla mnie to właśnie to jest złoty środek. Po to, aby je odkryć.

### **Rozdział I, cz 1.**

– Przecież wiesz, że zawsze jesteś u mnie mile widziany i możesz przyjechać w każdej chwili – powiedziałem.

Tego wieczoru rozmawiałem akurat z moim serdecznym przyjacielem, z którym znamy się dobre piętnaście lat. Po studiach znacznie ograniczyliśmy kontakt, gdyż podjęliśmy naukę w dość dużej



odległości od siebie. Zapytał mnie, czy mógłby do mnie podjechać, bo niedługo i tak musi odwiedzić rodzinne miasto. Zgodziłem się bez namysłu, bo dawno go nie widziałem.

– Odezwę się do ciebie jeszcze w tym tygodniu. Jak będę miał chwilę czasu, to obgadamy szczegóły. Trzymaj się! – pożegnał się. Po tej rozmowie czułem, że będę miał udany wieczór. Byłem bardzo szczęśliwy, że wreszcie go zobaczę.

Zastanawiałem się, czy nie pójść dzisiaj na spacer, ale w końcu zdecydowałem, że wolę pooglądać telewizję. Cały dzień przesiedziałem w domu, nie wiedząc co ze sobą zrobić, a telefon od przyjaciela odebrał mi chęci na cokolwiek. Położyłem się więc na kanapie i do późnego wieczoru skakałem po kanałach. Przez całą noc nie zasnąłem.

Około trzeciej zaczęło mi się nudzić, ale kompletnie nie miałem zamiaru iść spać. Wtedy postanowiłem, że wyjdę na spacer. Pomyśl przyszedł nagle i bez dłuższego namysłu wstałem, poszedłem do przedpokoju i ubrałem się. Wyszedłem na dwór, wzruszyłem ramionami i ruszyłem. W głowie miałem tylko jedną trasę jednak nie miałem zamiaru jej zmieniać. Wiele razy chodziłem nią wieczorami, ale jeszcze ani razu o trzeciej nad ranem. Na wszystko musi przyjść pora, a widocznie dzisiaj był czas na nocny spacer. Szedłem powoli, nigdzie się nie spieszyłem.

Myślałem głównie o przyjeździe przyjaciela, ale też o rodzicach, studiach i życiu. Strasznie lubiłem rozmyślać o różnych sprawach. Oparłem się o drzewo i popatrzyłem w niebo. Wydawało się czyste, bez chmur, więc gwiazdy prezentowały się w całej swojej okazałości. Były piękne, a zarazem tajemnicze. Uśmiechnąłem się lekko i poszedłem dalej.

Droga przez las była prosta i nie dało się zgubić. Zresztą, wiedziałem jak iść. Jednak jedno mnie zastanawiało. Nie czułem strachu.

Potwornie bałem się ciemności i nigdy nie opuszczałem domu o tej porze. Nie wiedziałem, co dzisiaj się ze mną dzieło. Nie przejmowałem się tym za długo, bo byłem po prostu szczęśliwy. Wychodząc z lasu spojrzałem jeszcze raz w niebo i ponownie się uśmiechnąłem. Dalej droga prowadziła prosto do mojego domu. Przyspieszyłem kroku.

Dziesięć minut później byłem już koło moich drzwi, ale nie od razu je otworzyłem. Najpierw wciągnąłem głęboko chłodne powietrze, po raz trzeci zerknąłem do góry i dopiero wtedy postanowiłem wejść do mieszkania.

Poczułem na sobie kojące ciepło domowego ogniska, westchnąłem, zdjąłem buty i bluzę i udałem się do kuchni, żeby zrobić sobie ciepłą herbatę. Pomieszczenie nie było duże, ale wystarczające na moje potrzeby. Wstawiłem czajnik z wodą, wyjąłem z kredensu saszetkę i kubek. Gdy napój był gotowy, usiadłem na kanapie w salonie i nawet nie włączyłem telewizora. Przez całą noc nie chciało mi się spać, a w tym momencie nie mogłem myśleć o niczym innym. Musiałem jeszcze chwilę poczekać, bo zimna herbata jest niedobra, trzeba było ją wypić teraz. Nie zrobiłem jednak tego.

Zasnąłem, nie wiedząc nawet kiedy. Na dworze było jasno, a gdy spojrzałem na zegar, okazało się, że właśnie wybiła godzina piętnasta. Zerwałem się na równe nogi, kiedy sobie to uświadomiłem. Nie miałem dzisiaj żadnych wykładów na uczelni, ale i tak w takich sytuacjach wstawałem o wiele wcześniej. Kubek na stole stał pełny, więc najprawdopodobniej zasnąłem nagle.

Wstałem, nie wiedząc, co się dzieje i po chwili spostrzegłem, że strasznie boli mnie głowa i obie nogi. Coś było nie tak. (...)

## Grzegorz Nazaruk

\* \* \*

posiała owies  
okrasiała jajka  
przygotowała stół  
zaprosiła gości  
sześć srebrnych  
królików z Chin

tylko mi powiedz  
duszo jesteś jaka  
pusta na wpół  
czy pełna nicości  
w Wielką Noc Paschy  
czas wybaczenia win

\* \* \*

kamienną miną  
zamieniam w perzynę  
mojego serca  
misterne konstrukcje  
ewoluuję w kierunku  
posągu z bazaltu  
wypolerowanej skały  
i rozbijają się o mnie  
bałwany

tocząc pianę  
w dół po piedestale

nie spocznę  
nim stanę się biały  
i skały czarnej  
słowem  
nie powalę

\* \* \*

wicher ciosa na grani  
śnieżne zęby  
mknącymi igłami  
wyszywa  
na twarzy  
żywą czerwień

pionowo przez poziome  
smugi bieli  
zimowy szczyt  
przyzywa  
mnie z gardzieli  
szczelin wydając  
straszne dźwięki

potęga

założę bazę  
i przeczekam burzę

wychodzę rano

cicho i spokojnie  
jak płótno lniane  
śnieg wokoło leży

idę i strącam  
nizane na trawie  
lodowe diamenty

iskierka  
gwiazdeczka  
upadła na moją dłoń

## Barbara Noworolska

### Pani

Pochylona  
nad stertą zeszytów  
poprawia okulary  
spadający kosmyk  
i  
błędy dyktanda

prostuje  
sumy równań  
i  
drożyny życia

przechodzi z uczniami  
z klasy do klasy  
obarczona stertą klasówek  
cudzą troską  
czasem nadzieją

rok po roku  
dzień po dniu  
wędruje schodami  
wyżej dalej bliżej  
wciąż na nowo  
Aż do Końca

## Zachód

Ocean łąk  
tęskniąc do światła  
płyne w dal

na horyzoncie  
dotyka wreszcie  
nieba

pieści obłoki  
opuszkami traw  
gładzi świetliste promienie  
ustami z jedwabiu  
przyłgnie do błękitu

aż słońce  
w żarze zachodu  
kreską bledniejącą  
zatrzaśnie  
drzwi  
kosmicznej alkowy

## Erotyk

Rzeki łąk  
upojone  
pieszczotą słońca  
miękkim dotykiem obłoków

powoli  
otwierają

łona ziół  
roztulają pąki  
koniczyn  
by w zmysłowych szeptach  
i zapachach lata  
zwierzać słodkie  
tajemnice ziemi  
bezkresom błękitu.



## Janina Osewska

### List od Łucji z Carteret, 1996 rok

Piszesz, że poznałaś kobietę, która zburzyła twoje piekielko –  
takie przytulne i swojskie, w którym ból już nie boli  
(stary i nieszkodliwy), zniewaga nie znieważa,  
a miłość nie kocha.

Mówiła prosto, tak jak mężczyzna podaje rękę  
innemu mężczyźnie, odkrywała przed tobą oczywiste  
którego nie byłaś w stanie dostrzec.  
Spędziłaś wiele godzin na rozmowie z nią i paleniu marlboro.  
Potem, gdy odjechała, znowu zostałaś z bólem, który nie boli,  
zniewagą, która nie znieważa i miłością, która nie kocha.

Piszesz, że po kilku miesiącach zatelefonowała.  
Postarałaś się jednak, by rozmowa trwała krótko,  
ucięłaś ją szybko, jak sekatorem tniesz się  
gałązkę uznaną za zbędną. Myślałaś: ta kobieta nie ma powodu,  
by pamiętać. Przecież ma w życiu szczęście i miłość  
a w dodatku połączenia z Oregonem są takie drogie.

Chwilę po odłożeniu słuchawki wiedziałaś, że czas na tę rozmowę  
był tylko dla ciebie, jak wiersz z dedykacją i że ona już rozumie,  
jak trudno jest trwać dzień w dzień sama ze sobą  
oczekując na miłość, która nie boli i nie znieważa.

*Augustów, 10.12.2014 r.*

## List od Łucji z Carteret, 1999 rok

Wysłałaś swoją ulubioną opowieść „Footprints in the Sand”  
i kilka słów, które przechowuję latami:

List ciągle piszę, chciałabym powiedzieć ci o sobie.  
Chciałbym powiedzieć ci o sobie, ale  
składałam się z kawałków,  
których nigdy nie udało mi się pozbiierać i  
bez powiedzenia jednego mówienie o drugim jest trudne.  
Może dlatego zaczynam, nie kończę,  
leżą gdzieś początki, środki i końce.

Tuła się gdzieś niezapisane i to co w samotności  
wykrzykujesz fragment po fragmencie, a ja wciąż nie potrafię  
złożyć ciebie z tych kawałków jakby na dowód,  
że nienapisane zmierza ku nicości.

*18.12.2015*

## Krystyna Perkowska-Mazerska

### RAJ

Ostatni dzień lipca wydawał się podobny do innych; przepiękny, bezchmurny i tak upalny, że grzechem byłoby spędzać go w domu; ale taki nie był. Udowodnił, że grom z jasnego nieba może uderzyć w każdą pogodę.

W tym dniu grom z jasnego nieba wyrznął w ogród działkowy imieniem sławnego poety. Porażał każdego, kto tylko przekroczył bramę tego azylu zieleni i zapoznał się z dyktatem umieszczonym na tablicy ogłoszeń. W nim kazano działkowiczom zebrać manatki i wynieść się do końca sezonu. Ale nie powiedziano – dokąd, czym ludzi najgłębiej zraniono; potraktowano ich jak śmieci.

– Dokąd? Dokąd? Dokąd mamy wynieść grusze, jabłonie, altany, pergole?... – zdezorientowani działkowicze pytali jeden drugiego, stojąc na zielonej świeżo skoszonej dróżce, przed tablicą ogłoszeń.

– Może na balkon? – ktoś wysilił się na żart.

Nieudany, bo nikogo nie rozśmieszył. Tylko mocno pochylony mężczyzna odparł z goryczą, że nie każdy go ma. Na to staruszka w niebieskiej sukience uderzyła w płacz i zaczęła narzekać:

– Myślałam, że na emeryturze tu będę się relaksować. Tyle się natyrałam. Uzdrowiłam zatrutą glebę. W altanę włożyłam wszystkie swoje oszczędności. A teraz won?... Jak tak można?! – nie umiała się pogodzić.

Mniej więcej jej rówieśnik w wypłowiałej czapce, próbując ją uspokoić, poddał pod wątpliwość prawdziwość ogłoszenia:

– Na zapas nie ma czym się martwić. To pewnie jakiś żart – machnął ręką.

Jednak wkrótce nadszedł gospodarz ogrodu, jak zwykle w wielkim kapeluszu i jak zwykle grzecznie go uchylił, ale stwierdził basem nieśmiało, że to... p r a w d a.

Tym stwierdzeniem wśród działkowiczów wywołał najpierw rozpacz, potem złość, wreszcie chęć do walki. Szybko wyłonił się jej przywódca. Podzegał do buntu, wymachując muskularnymi rękoma i nie przebijając w słowach. Jego zapędy były odbierane różnie, przeważnie z poklaskiem. Ale najmłodsza ze stojących, Helena, proporcjonalnie zbudowana i dosyć wysoka blondynka, zareagowała inaczej. Przypomniała zebranym, iż buntowali się nawet wówczas, gdy ten ogród planowano za darmo przekazać im na własność; bo woleli rządzić i zdzierać składki. – Teraz też od razu się buntujecie. A zmiany niekiedy są konieczne – stwierdziła i odeszła w stronę swojej parceli, obojętna na ogólne zdumienie.

Po drodze rozważała, iż ostatnio coraz częściej zmuszała się, by jechać na działkę. Niekiedy czyniła to tylko dlatego, że odziedziczyła ją po Stefie, ukochanej babce ze strony przedwcześnie zmarłej matki. Ogród był pracowniczy i obwarowany różnymi ograniczeniami, które często nękały ją w szparze u drzwi altany w postaci *pilnych* zarządzeń, zamieniających śpiew ptaków w przymusowy warkot kosiarki. Szczególnie to wnerwiało, gdy zestresowana pracą z trudnymi ludźmi przychodziła tu spędzić czas na swój sposób. W takich chwilach nie czuła się jak u siebie.

Do ogrodu nie zachęcali i sąsiedzi, głównie emeryci. Codziennie przesiadywali na swoich *wychuchanych* działkach i strasznie się nudzili. Więc, gdy Helena tylko się pojawiła, narzucali jej swoje towarzystwo okłamując się, że ona właśnie do nich przyszła. Niektórzy byli wręcz natrętni i mimo zaawansowanego wieku, w rozmowach pozbawieni taktu. Jedni zanudzali ją swoimi historiami chorobowymi, drudzy wypytывali o jej sprawy osobiste. A, co gorsza, niektórzy *nowocześni*

mężczyźni, będąc żonaci, bezczelnie ją podrywali. To rozwścieczało, gdyż mogło popsuć sąsiedztwo. Zaś staroświeccy panowie wciąż ją, prawowitą i niemal czterdziestoletnią właścicielkę, pouczali, bo *ta działka nie ma gospodarza*. A ona, nie umiejąc się bronić, cierpliwie tego wysłuchiwała. Nie było to miłe. Jednak do sąsiadów już się przyzwyczaiła, nawet ich polubiła. Wprawdzie się narzucali, ale za to dawali poczucie bezpieczeństwa i pilnowali plonów. Dzięki temu kiedyś, co zasiała, to zebrała. Kiedyś.

Ale od kilku lat w ogrodzie się zmieniło. Zza wschodniej granicy zaczęli się pojawiać dzicy lokatorzy, a wraz z nimi kradzieże i zniszczenia; nie mówiąc już o *wonnej zapłacie*, jaką raz zostawili w altanie Heleny, na środku podłogi; gdy wiosną spakowała ich rzeczy i przypięła do nich kartkę z sugestią: *Zima Wasza, lato moje*. Łatwo nie ustępowali, gdyż na swych podróżach chcieli jak najwięcej zarobić. Czasem zachowywali się tak agresywnie, że nawet w dzień strach było tu przebywać. To głównie przez nich decyzja o likwidacji ogrodu Heleny początkowo nie zasmuciła, lecz zabrzmiała jak ulga.

Jednak gdy dotarła na miejsce i spojrzała na ocienioną winogronem altanę z ażurowym gankiem, na skąpaną w słońcu strzelistą gruszę, którą nazywała gotycką wieżą swojej świątyni dumania; gdy w jej pamięci jak kadry filmu przesunęły się spędzone tu chwile, te zwyczajnie piękne i ta wyjątkowa; szybko zapomniała o niedawno roztrząsanych minusach ogrodu. – To mam dać pod spychacz?... – spytała samą siebie z przerażeniem. Zaczęła się swej działce przyglądać od nowa, w jej oczach zakręciły się łzy. Wreszcie zrozumiała starszą panią z grupy działkowiczów sprzed tablicy ogłoszeń. – Dobrze, że babcia tego nie doczekała. Jak podczas upałów z moim zapasem rat żyć bez działki? I bez balkonu?... – zafrasowała się. Chodziła z kąta w kąt i czule żegnała się z każdym drzewem, z każdym krzewem, z każdą krzewinką i niemal z każdym listkiem

jak z członkiem rodziny przed wyjazdem w bezpowrotną podróż; zaś najczulej z miętą, wdychając jej boską woń. Nie potrafiła się z tym wszystkim rozstać, a nie miała bladego pojęcia, dokąd te skarby wywieść. Poczuli się zdruzgotana i płakała, płakała, płakała jak niejedno dziecko w pogotowiu opiekuńczo wychowawczym, gdzie ona była dyrektorem. Uspokoiła się dopiero po przypomnieniu sobie, że jeszcze nie dzisiaj musi opuścić to miejsce na zawsze. Otarła łzy i się rozmarzyła: – Gdybym była poetką, zamknęłabym ten ogród w wierszach. A tak, co pocznę? – Nie mając ani sił, ani chęci do pracy, postanowiła wrócić do domu. Przed blokiem, w którym na trzecim piętrze, w drugiej klatce mieszkała, zaświtał jej pewien pomysł...

Tak się szczęśliwie złożyło, że przed blokiem *Heleny* pojawiło się miejsce. Wiosną ocieplano ten budynek od zewnątrz i kompletnie zniszczono otaczającą go roślinność. Potem blok w różnych odcieniach błękitu wyglądał świeżo, zaś jego otoczenie fatalnie. Administracja obiecała po remoncie posadzić na rabatach róże, ale tego nie zrobiła. Mieszkańcy też się nie kwapili do odbudowy piękna. Byli oburzeni, że nikt ich o remoncie nie uprzedził i nie mogli zabezpieczyć roślin przed zniszczeniem. Machali tylko ręką tłumacząc:

– Nie warto nic robić. Nie wiadomo, co jeszcze tej administracji odbije. Może jakieś rury czy chodnik? Albo reklamacja jak w sąsiednim bloku? Przecież zawsze przetarg wygrywa najtańszy, a nie najlepszy.

Z tych narzekań Helena śmiała się z cicha widząc, ile w nich racji – jeszcze przed remontem obejście budynku nie wyglądało estetycznie: z sześciu rabat jedynie na dwóch rosło coś innego niż pety, plastyki i inne śmieci; a z balkonów, poza nielicznymi wyjątkami, wyglądała pustka lub suszące się szmaty. Skorzystała więc z tej okazji i zaproponowała administracji obsadzenie wolnych rabat swoimi roślinami, no co uzyskała zgodę.

Od połowy sierpnia przystąpiła więc do dzieła. Najpierw zbadała grunt na przybłokowych rabatach i się nim zachwyciła, gdyż nie licząc powierzchniowych zanieczyszczeń okazał się o wiele lepszy niż na jej piaszczystej działce – miał gliniaste podłoże. Trochę zakwaszona gleba od razu była gotowa na pikowanie bratków, pełników i niezapominajek; a wystarczyło do niej dodać kupnej ziemi i skorupki jaj, by uzdolnić pod resztę nasadzeń. Słowem: pole jak marzenie. – Nie trzeba będzie ciągle podlewać – Helena ucieszyła się i... dała sobie nakaz: *Czas na przeprowadzkę!* Pogoda sprzyjała. Bóg kocha odważnych.

Do piwnicy zwoziła dalie i kanny, a przed blok: róże, irysy, tawuły, michałki, bergenie i inne. Wszystko to sadiła, sadiła, sadiła. Najpierw przy swojej klatce, potem niemal wzdłuż całego bloku. Niemal, bo dyplomatycznie opuściła trójkąty wraz z wydeptanymi na ukos ścieżkami na rabatach różnych i te dwie rabaty, które już wcześniej były zagospodarowane. Zmachała się przy tym do ostatniej kropli potu, gdyż oprócz deszczów nikt jej nie pomógł. Wszyscy o to poproszeni, jak na zawołanie bardzo się gdzieś spieszyli, albo byli obłożnie chorzy, albo jeszcze zniechęceni:

– Tu nic nie będzie rosło – powtarzali jak mantrę. – A jeśli nawet coś urośnie, to i tak młodzież wszystko zniszczy.

Helena tutaj mieszkała zaledwie od dwóch lat i dopiero poznawała nowych sąsiadów. Ale jako pedagog znała się na ludziach i wiedziała, że każdy odważny pomysł na początku wydaje się szalony; zwłaszcza jednostkom słabym, na które ostatnio coraz większy urodzaj. Nie dziwiła się więc tej malkontenckiej litanii i pozornie wcale nie zwracała na nią uwagi. Jednak, wysłuchując narzekań na młode pokolenie, wpadła na myśl: *A gdyby tak dogadać się z młodzieżą?...* Postanowiła jej ostentacyjnie bronić przed krytykanctwem starszego pokolenia, gdy tylko nadarzy się okazja.

Raz, gdy podczas takiego krytykowania młodzieży przechodził obok niej największy łobuz mieszkający w jej bloku, nazywany *Obszczymurem*, huknęła z całej siły:

– Odczepcie się od młodzieży! A jaki dajecie jej przykład? Jak wy się wyrażacie? Jakie wy zostawiacie po sobie dziedzictwo?

I to był strzał w dziesiątkę. Od tego momentu *Obszczymur* zaczął jej się kłaniać, potem i inni młodzi ludzie. Stopniowo poprzez pochwały ich psów czy pojazdów Helena nawiązywała z nimi kontakt, starała się zapamiętać ich imiona. Jednak podczas zwracania się do nich wyraźnie poprzedzała je słowem *pani* lub *pan*. W ten sposób na przykład *Obszczymur* został panem Jackiem, który ma najpiękniejszego na osiedlu psa, za co Helenę obdarzał sympatią. Jego kumple temu się przyglądali, próbowała więc i ich zdobyć. Gdy rozmawiali przed blokiem, jak ona pracowała, udawała, że nie słyszy przez nich używanych przekleństw; zaś z wyrzucanych na rabaty petów żartowała: – To świetny bakteriobójczy nawóz – i zakopywała je do ziemi. Ale z młodymi sąsiadami prowadziła i pogawędki, w których między żartami przekonywała, iż na pewno nie chcieliby pochodzić ze slamsów; a to właśnie zadbana roślinność przed odnowionym budynkiem od nich się różni. Poza tym, ostrzegęła: – Ostatnio tlen z atmosfery raptownie znika i teraz jest go zaledwie dziewiętnaście procent. Dlatego wszyscy musimy troszczyć się o każdy centymetr sześcienny tego skarbu, gdyż jak dojdzie do szesnastu, to się udusimy.

– A ile procent tlenu było w starożytności? – spytała Magda, dziewczyna Jacka.

– Trzydzieści dwa. I wtedy ludzie żyli tysiąc lat, bo najważniejszym pokarmem jest powietrze – odpowiedziała Helena.

– To rzeczywiście możemy mówić o raptownym znikaniu tlenu – zaniepokoił się Darek, sąsiad z klatki *Heleny*.



Ona bardzo się ucieszyła zaangażowaniem młodych sąsiadów, przynajmniej w dyskusję. Wprawdzie niewiele po niej sobie obiecywała, ale pomyślała z nadzieją: *Na początek dobre i to*. Oni zaś wkrótce przekonali ją, że z tych morałów coś do nich dotarło, gdyż rośliny już mniej niszczyli, a czasami (choć sporadycznie) nawet podlewali wodą z osiedlowej studni; która na wszelki wypadek została pobudowana zaraz po wydarzeniach wrześnieowych w USA. Helena o jej istnieniu na osiedlu dotąd nie wiedziała i odkryciem, że z trzeciego piętra nie będzie musiała dźwigać wody, obciążając przy tym swój wodomierz, była dodatkowo zbudowana.

Jednak prawdziwego pierwszego przełomu, jeśli chodzi o współpracę ze środowiskiem, dokonała Zofia Zalewska, lekarka mieszkająca z rodziną na parterze, w czwartej klatce. Któregoś dnia podeszła do Heleny pracującej pod jej oknem i głośno wyraziła jej wdzięczność oraz podziw za to, co ona, podobno mająca dwa fakultety, robi. Wielce się tłumaczyła, iż jako chirurg szczególnie musi dbać o ręce i sama przy pieleniu roślin nie może pomagać; ale obiecała, że jej mąż, prawnik, będzie tę rabatę systematycznie podlewał. Zaprosiła też Helenę na weselny tort.

Przy torcie okazało się, że Zalewscy na skromne ślubne przyjęcie córki mieli zamiar wynająć lokal i w związku z tym nawet się zapożyczyć, mimo że mają duże i pięknie urządzone mieszkanie z balkonem typu loggia. Tak początkowo planowali, gdyż w trakcie przygotowań do tej uroczystości przed blokiem było obskurnie. Ale dzięki pracy Heleny zmienili zdanie i ich córka *wyszła z własnego domu*. – I to za Niemca! – podkreśliła z dumą lekarka. – Niech popatrzy na polskie blokowisko. Nie mamy czego się wstydzić. Dzięki pani... – powtórzyła z wdzięcznością w oczach i subtelnie pogładziła Helenę po ręku. Pokazała jej też ślubne zdjęcia. Na dwóch z nich ukwiecona fioletowymi kosaćcami rabata wprost z niebem gadała,

a na jej tle prześliczna młoda para wyglądała, jakby stała przed pałacem. – Prawda, że nie mamy czego się wstydzić? – dopytywała się Zofia. Helena przyznała jej rację. Ale nie tylko dlatego to spotkanie upłynęło w miłej atmosferze. Poza tym obie panie znalazły wspólne zainteresowania, kulturalne; które to odkrycie później zaowocowało ich dalszymi kontaktami – wspólnymi wyjściami do kina, teatru czy opery.

Inna sąsiadka, mieszkająca naprzeciwko Zofii Grażyna, patrząc na ich bliskość, chyba trochę im tego pozazdrościła; gdyż wkrótce wyraziła chęć przejęcia opieki nad rabatą pod swoim oknem. Helena na to chętnie się zgodziła. Wręcz odetchnęła z ulgą, bo jedna z wcześniej zagospodarowanych rabat ciągle zarastała chwastami – jej opiekunka zmarła, a nowy właściciel mieszkania po niej nie okazywał najmniejszego zainteresowania tym kawałkiem ziemi. Myślał, że to nie jego obowiązek, lecz administracji; nie myślał, jak taki układ przełożyłby się na wysokość czynszu. W tej sytuacji dla dobrego wizerunku całości trzeba było i tą rabatą się zająć. Grażyna, mimo że była laborantką, nie bała się ziemi i zwykle pracowała bez rękawic. Wręcz kochała ją. Z upodobaniem kruszyła grudki obnażonymi rękoma tłumacząc, że w pracy rękawice wystarczająco ją gnębią. Wygłaszała też morały na temat zdrowotnych cech gleby: może zawierać cenne naturalne antybiotyki, które teraz nawet nowoczesna medycyna eksperymentalnie hoduje w naturalnych warunkach, czyli w głębi ziemi. Opowiadała też o uzdrawiających glinkach i błotach; o tym, jak kiedyś ludzie zasypywali świeże rany piachem i jak szybko pod takim opatrunkiem one się goiły; o uzdrawiającym chodzeniu boso po zroszonej łące i tak dalej, i tak dalej. Swymi mądrościami skupiała wokół siebie ludzi i w ten sposób rozwiązywała problem samotności, który (z racji zdeformowanego biodra i w związku z tym nierównego chodu – tak uważała) już od dłuższego czasu

jej dokuczał. Teraz na rabacie, ubrana w luźną sukienkę i stojąca w miejscu, świetnie ten defekt maskowała. Prawie nie było go widać. Przekonana o tym, bez kompleksów i z powodzeniem pokazywała, co potrafi. Zaimponowała. Zwłaszcza, że rywalizowała z Heleną, jeśli chodzi o kompozycję nasadzeń. Ona zaś przy każdej okazji starała się pod tym względem oddawać Grażynie palmę pierwszeństwa, by podtrzymać ten niespodziewany, a jakże szlachetny entuzjazm.

Dzięki temu już w następnym sezonie Helena *swój nowy ogród* nazwała rajem, chociaż w nim zniszczeń i kradzieży było co niemiara. Ciągłe trzeba coś uzupełniać. Róże na przykład wszystkie znikają zaraz po nasadzeniu. Inne rośliny też mają powódzenie, choć mniejsze. Czasami gubi je chciwość, czasami dzika agresja, czasami zwykła głupota, a czasami nawet nadgorliwość. Tato-alkoholik wysyła córeczkę z wiaderkiem i szpadelkiem po koleus z nadzieją, że uda mu się go sprzedać na piwo. Zdradzana żona przed swoimi urodzinami posyła dzieci z nożem po kwitnące kanny (które na cięty bukiet w ogóle się nie nadają), chcąc mężowi zagrać na zazdrość. Dozorczynie, by pomóc, wrywa orliki myśląc je z chwastami. Właściciel psa nie widzi niczego złego w tym, że jego milusiński w grudniu odwraca peonię do góry korzeniami; dla niego kwiat to to, co w danej chwili kwitnie. Zdaniem pewnej babci, nic się nie stanie, gdy jej wnusia narwie sobie trochę kwiatuszków; będzie mądra – pozna kolory (będzie mądra sobie). Co gorsza, nastolatka, przechodząc obok rabat, zrywa pąki tylko po to, by od razu je wyrzucić. I... tak można wymieniać. Niekiedy Helenie aż ręce opadają. Ale i się podnoszą, bo patrząc na całość, widzi różnicę w porównaniu z poprzednim sezonem. – To raj! – cieszy się. – Już nie uryną przed blokiem pachnie, lecz floksem, maciejką, rezedą i miętą. A braki? Cóż, trzeba rozpoznać i spuścić z tonu, jeśli chodzi o rodzaj nasadzeń. Niestety nie jest to społeczność na poziomie róż czy kann, one najbardziej są kradzione i niszczone.

Ale koleus, który z nadmiaru podaży na rynku nie poszedł, już jest bezpieczny. Bezpieczne też są inne drobiazgi. Nimi więc trzeba uzupełniać, dosiewać, dosadzać, nawet sto razy. – Na szczęście jeszcze przez długi okres czasu miała skąd to brać.

Brała rośliny ze swojej działki. W tamtym ogrodzie konflikt ciągle wrzał, można więc było wejść i jeszcze coś wykopać. Jednak Helena sama się bała tam wyruszać, gdyż to miejsce już zdziczało. Dlatego zabierała ze sobą najbardziej zaangażowaną *blokową* młodzież. Ona zaś swoimi pięknymi gestami dowodziła, iż nie jest taka, jak ją malują; o ile ktoś zajmujący się nią pamięta, że raj to nie pochopne krytykanctwo, lecz mądra współpraca. Helena starała się o tym pamiętać i jej współpraca z młodzieżą układała się niezłe; stopniowo udawało się jej oswajać tych urodzonych mieszczuchów nie tylko z ziemią, ale i z dyscypliną.

Podczas jednego z ich wspólnych wypadów na działkę Jacek energicznie wykopywał byliny, a Magda je pakowała. Darek im pozazdrościł i spytał, czy ogromny jaśmin z rogu działki jest wonny. Po upewnieniu się, że tak; od razu chciał go wykopać i przytaszczyć na rowerze przed blok. Jednak Helena go powstrzymała. Był zdziwiony i niemal oburzony. Wyjaśniła mu więc, że na sadzenie drzew i krzewów przed blokiem trzeba uzyskać pozwolenie administracji.

– Dlaczego?! – spytał z irytacją.

– Dlatego, że w ziemi może znajdować się jakaś instalacja czy kanalizacja i gdyby tak każdy zasadzał, co chce i gdzie chce, mógłby ją uszkodzić. To z kolei spowodowałoby awarię dla całego osiedla lub nawet miasta. – Ale patrząc na smutną minę Darka, przypomniała sobie, że ma numer telefonu kierownika administracji mieszkaniowej i do niego zadzwoniła. Po wskazaniu właściwego miejsca na ten krzew uzyskała potrzebne zezwolenie.

Uszczęśliwiony tym Darek osobiście zasadził jaśmin na trawniku, w rogu, koło starego żywopłotu. Zaś administracja wkrótce obok tego krzewu, od strony trawnika, zabetonowała ławkę, która z żywopłotem utworzyła niedostępny złodziejom trójkąt. Słowem, wszyscy byli zadowoleni; a przy okazji młodzież pojęła, iż anarchia to nie najlepszy pomysł na współżycie.

Aż dziw brał Helenę na ogrom siły piękna. Jej sąsiedzi przy rabatach zaczęli chodzić wolniej, zatrzymywać się i rozmawiać. Wreszcie mieli co podziwiać i czym oddychać. Tak więc obok roślin rozkrzewiło się i sąsiedztwo. Zrozumiała, że ludzie w głębi duszy kochają piękno, jednak w znacznej większości już odwykli od ziemi. Nie tylko nie chcą jej dotykać, by sobie rąk nie pobrudzić; ale nawet nad nią się pochylać, by podnieść śmieci, które im upadły. Sami je rzucają. Uścielają ziemię plastikami i czym popadnie. Brzydzą się nią jak starą matką. Marzą o przeprowadzce na inną planetę. A przecież jeszcze niedawno, zastanawiała się, Mark Twain głosił, że człowiek rocznie powinien zjeść worek piachu. Zapewne miał na myśli mikroelementy. Worek? To chyba trochę za dużo, gdyż wtedy ludziom dokuczały pasożyty. A teraz ludzie?... Warzywa kupują tak wypłukane, jakby rosły na białej wacie. Wypłukane ze wszystkiego, co najlepsze. Czy to w ogóle jeszcze warzywa?... Nieważne, każdemu bardzo się śpieszy i nie ma czasu o tym myśleć? Ważne, że są czyste, bardzo czyste. I tak przeszliśmy, ubolewała, od chorób rąk brudnych do chorób rąk przesadnie czystych; bo najtrudniej jest o umiar. Ci z przesadnie czystymi rękoma widząc, jak inni za darmo harują na ziemi; wolą uspokajać swoje sumienia pochwałami lub dobrymi radami. Niekiedy bez wycucia; w momencie najmniej odpowiednim lub, co gorsza, dla użycia władzy. No cóż, myślała, ludzkich chwastów nigdzie nie brakuje.

Ale na rabatach Helena już inaczej postępowała z ludźmi niż na działce. Podziękowania przyjmowała. Rozmowy o niczym prowadziła chętnie. Jednak na komplementy panów odpowiadała bezosobowo: – To nie przedszkole. Nie brawa mi potrzebne, lecz pomoc – i wręczała im pustą polewaczkę. Czasami brali. Zaś rady i krytyczne uwagi wystrojonych dam kwitowała też radą: – Jak się paniom nie podoba, to proszę zakasać rękawy i posadzić po swojemu. – Odchodziły jak zmyte. Nie ma to jak doświadczenie. Już wiedziała, że *ogród* tutaj to nie tylko sadzenie, podlewanie i takie tam. To wieczna wojna, którą ona wciąż musi wygrywać.

Na szczęście niezbyt długo musiała wojować sama. Przed wyborami do zarządu spółdzielni mieszkaniowej administracja udzieliła Helenie nie lada wsparcia. Różne rabaty zostały otoczone dość dużymi płytami chodnikowymi, postawionymi na sztorc; zaś otaczające blok trawniki szczelnie obsadzone nowymi, ale pięknie już podrośniętymi berberysami. W ten sposób zablokowano dostęp do licznych ścieżek, które mieszkańcy wydeptali na trawnikach dla skracania sobie drogi. Ścieżki natomiast zasypano czarnoziemem i zasiano trawą. Na najbardziej uczęszczanych *prześciach* zabetonowano ławki. Co więcej, na trawniku w szczycie bloku, który nie sąsadował z ulicą, posadzono rzędem ładnych parę krzeczuszek. One w maju różowiły się własnym kwieciami, a od lipca wcześniej zasianym pod nimi fioletowym powojem; tworzącym przez całe wakacje bajeczne chmurki. Rozkochały się w nich dzieci, dlatego postawiono tam zakaz wprowadzania psów, by matki z pociechami mogły na trawie rozkładać koce. Dzieciarnia czuła się na nich jak przy ogniskach, gdyż pod krzeczuszkami płonęły się pomarańczowe aksamitki. Było naprawdę przytulnie. Nic dziwnego. To osiedle znajdowało się na spokojnej dzielnicy, więc nawet po drugiej stronie bloku hałas od wąskiej uliczki za bardzo nie dokuczał.

Wreszcie i seniorom osiedla taki stan rzeczy się spodobał. Nawet bardzo, chętnie więc go pilnowali. Zwłaszcza pewien emerytowany pułkownik, który w tym zajęciu znalazł sposób na używanie władzy i samorealizację. Pokochał je i wykonywał wręcz nadgorliwie. W każdym razie biada była każdemu, kto ośmielił się przejechać rowerem po żywopłocie lub inaczej dopuścił się wandalizmu. Każde tępił w zarodku; wzywał policję lub grzmiał na całe osiedle.

Dzięki zaangażowaniu wszystkich pokoleń *ogród* ładniał z każdym sezonem. Wzbudzał zachwyt. Obok tego bloku znajdowała się szkoła podstawowa i tędy przechodziły dzieci. W takiej scenerii łatwo było je przekonać, że Polska – to piękny kraj. Nieco dalej mieścił się dom pogrzebowy. Od strony rabat przybywający do niego ludzie zatrzymywali się i pytali ze zdziwieniem: – Czy tu jakiś kurort?...

Babcia Stefa by się cieszyła. A Helena na rabatach czuła się bardziej jak u siebie niż na działce. Jednak najbardziej cieszył ją fakt spontanicznego ukwiecania się rabat przed sąsiednimi blokami. Na lewo i naprawo rozdawała więc rośliny i ich nasiona, które na tej ziemi obficie wyrastały. Tylko jeszcze prosiła administrację, by broń Boże nie zorganizowała konkursu na najładniejszą rabatę, gdyż z ogrodu działkowego dobrze znała tego skutki, i była pełna nadziei na trwanie piękna stworzonego tak wielkim trudem. To raj, powtarzała. Choć wciąż oskubywany, ale raj.

## Hubert Piętka

### Pycha

#### I

Kiedy wydaje mi się,  
że wiem, co się stanie  
– chroń mnie przed pychą, Panie!

#### II

Kiedy jestem z siebie  
zbyt zadowolony  
– niech nie podążam w tę stronę!

#### III

Kiedy wydaje mi się,  
że jestem lepszy  
– niech erozja nie dotknie mojego wnętrza!

### Epilog

*Spraw, bym był prosty,  
w smutku radosny!  
Bym jasno trwał!  
– a gdy upadnę  
niech łaska Twa  
mną owładnie!*

*Dobrze żyć,  
jasno być!  
– pychę w twarz trzasnąć!*



*Na przekór znojom,  
otworzyć serca podwoje  
– Bogu do końca.*

## **Przemienienie Pańskie**

Dzisiaj Przemienienie  
– nie ma mnie

*cogito ergo sum*  
– nie jestem w stanie myśleć  
więc nie ma mnie

dzisiaj *przemienienie* mnie  
gdzie jestem?

gdzie jest Tabor?  
– upadam pod blokiem  
czwarte piętro  
dla mnie za wysokie

nie jestem  
nie myślę nic  
*cogito*  
*przemienienie*  
nic nie ma  
nie mam mnie

## **Najoczywistsza, najprawdziwsza**

I  
Z rzeczy najoczywistszych  
najbardziej oczywista

jest miłość.

Jest tak oczywista, że każdy

może jej zaprzeczyć.

Jednak tylko dla niej

naprawdę warto żyć.

II

Z rzeczy najprawdziwszych

najbardziej prawdziwe

jest cierpienie.

Kiedy nas spotyka

nie ma niczego

bardziej realnego.

III

Dziękuję Ci

za Twą miłość

do nas,

która najrealniej

z rzeczy możliwych

objawiła się

na krzyżu.

IV

Któryś za nas cierpiał rany

z miłości do nas,

Jezu Chryste,

zmiłuj się nad nami

nieświadomymi rzeczy

najoczywistszych.

\* \* \*

Moja klaso  
Próbujemy wejść  
do tej samej wody  
sprzed lat  
Zamieszać zatęchłe  
wspomnienia

szukamy w sobie  
siebie  
i gramy  
w pozycje światowe  
jak się ktoś ustawił  
porównujemy  
z sobą siebie

lecz nie ma powrotu  
my wszyscy już inni  
dlatego  
echo tamtych lat  
pobrzmiewa fałszem

bo przecież  
stać nas tylko  
na spotkanie  
po 10, 15, 20 latach  
i na wykrzywianie twarzy  
w zapewnieniu  
że jesteśmy  
tak samo  
młodzi

zdrowi  
szaleni  
ułożeni  
szczęśliwi

kłamstwo naszej prawdy  
jednak nie skłamane  
w tym, że każdy  
chce być innym potrzebny

wybrani  
nieśmiali  
od rzeczywistości oderwani  
choć może jej bliżsi  
niż sobie samym

w nas  
w was  
umiera czas  
kiedy szukasz  
siebie  
w ludzi bliskim tłumie  
i tak  
nikt cię nie zrozumie

### **Łza Boga**

W oczach głodnego dziecka  
w cierpieniach obłożnie chorego  
w rozpaczy porzuconego  
  
w bitych poniżanych

wzgardzonych  
w przez ludzi odrzuconych

w samotnych  
bezdomych  
starszych  
– jeśli tylko  
dobrze się przypatrzysz

dostrzeżesz ból Boga  
bo On za nich skonał

wtedy spadła Jego Łza  
która stale się uobecnia  
i odnawia

za tych Syn Jego konał  
ich przytulił w rozpostarte  
na drzewie ramiona

Łza Boga  
– zapłacz i ty,  
kiedy spotkasz tych  
wszystkich najbardziej niechcianych  
lecz w Bogu ukochanych

niezawinione cierpienie  
do Boga przybliża  
oddaje się w całości  
miłości  
bo nic więcej nie ma

*Epilog*  
*Pozbierać odłamki szkła*

*we współodkupieniu człowieka!*

## **Do poety!**

### **– w rekordowo upalny dzień lata.**

Czasem musisz być tylko rzemieślnikiem słowa, słowa – słoma.  
Lecz nie zapomnij się napowietrzać! – jakiś wiaterek, cień, deszczyk.  
Nie zawsze może przyjść natchnienie – gdy żar sypie się z nieba,  
a ogień nie łączy wody dla ochłody.

Trzeba przyjąć te niewczasy bez hałasu i bez krasy, trwając w pokorze.

– O mój Boże!

*[W ten najbardziej upalny, rekordowy dzień lata wariata, trzeba z sobą  
jakoś się pobratać.]*

## Mirosław Pisarkiewicz

### Bruno Jasiński rozmawia z Bogiem

Adonai

Boże Miłosierny

nie patrz tak na mnie

ja wiem że tkałeś mnie z bajek Kryłowa

chochołów Wyspiańskiego

i futurystycznych wizji Majakowskiego

nasączałeś Cynceronem i św. Augustynem

matka usypiała opowieściami

o szlachcie na Dzikich Polach

i Diable Borucie

ojciec dodawał mądrości Talmudu

i tajemne dybuki

doktor Zysman mawiał

módl się i pracuj

pracowałem

Adonai

Tato – Tatele i mamunia byli Twoim głosem

a ja ogłuchłem podczas rzezi świata

duszę zatrął mi krzyk gwałconych dzieci

przestałem wierzyć w Ciebie

wsluchałem się w retorykę Marksa

bluźniłem Piłsudskiemu i Tobie

podpalałem Paryż

i budowałem radzieckie kanały donikąd

o s z a l a ł e m

piłem zimną wódkę o konsystencji rtęci  
z oprawcami swojego dzieciństwa  
nosiłem ich gwiazdziste znamię  
czerwone jak krew menstruacyjna sztandarów pierwszomajowych  
przystałem do wrogów  
nie posłuchałem Księdza Marka  
i nie wyzwoliły mnie z zamętu wonie orientu  
smaki Buchary i Samarkandy  
gdy wpychano mi luger w usta w moskiewskiej piwnicy  
byłem już martwy od lat  
byłem uschniętym ptakiem  
nie byłem

Bóg cicho westchnął po rosyjsku:

„Niech poeci idą do nieba.

Jestem z wami” ...

### **Carlebach**

Modlił się  
pełnym żywiołów śpiewem  
dopóki  
nie zagłuszyła go  
...cisza

### **George Sand zakłada sukienkę**

Na biurku elegancki egzemplarz Rose et Blanche  
Aurore Dudevant chodzi nerwowo po pokoju  
spogląda do książki i czyta przypadkowe zdanie



*„boimy się późnego wieku jakbyśmy mieli pewność  
że go osiągniemy”*

Szelki cisną  
a ja jestem zmysłowa jak Alhambra  
ach! Graj Fryderyku  
pianissimo  
fortissimo  
na mojej skórze  
i diabli tę całą emancypację!  
Graj! Zawiruję!!  
Jestem dziewczyną! Mam ciało stworzone do tańca ...  
Anno! Podaj mi sukienkę!  
Tę błękitną ...

Nie przyszedł  
Komponuje

Cóż...  
*gdy nie ma miłości tam kobiety nie ma*

Zielone, zielone wino Anno!  
Tak proszę Pani?  
Podaj mi spodnie  
te w prążki  
przecież miasto czeka  
i nie zapomnij o cygarach!

*Najlepsze słowa to słowa najkrótsze*  
Vino verde Anno!  
Nie jestem tylko kobietą  
Jestem wszystkim

Ciszę będę deptać aż zawyje z bólu

### **List do Jacka Kaczmarskiego**

Nie udało nam się nigdy porozmawiać  
choć słuchałem Pana dobrą ćwiartkę wieku.  
Pan nawet nie przeczuwał mojego istnienia  
gdy ja żyłem cierpliwie w pułapce oddechu.

I tak się mijaliśmy wsłuchani w kontynent  
pijąc chłodną wódkę do wtóru muzyki  
domyślam się jak to było z Panem... i we mnie lęk dziki  
o historię współczesność i ludzkość w ogóle.

A teraz Pana nie ma tylko głos na płytach  
i wiersze rozedrgane kiedy Pan już w grobie.  
Stworzono nas do śmierci – nie nauczono umierać.  
Ja jestem jeszcze tutaj a Pan... w obłoków znowie.

Jaka szkoda  
Jaka szkoda  
Jaka szkoda  
Ja wciąż tu a Pan na życia antypodach.

### **Lautreamont**

Isidore Lucien Ducasse  
uderza w klawisze  
drży rząd filiżanek z niedopitą kawą  
i pawiment drewniany jak wieko trumny  
drży samotność w hotelu przy rue Faubourg 7

samotność jak śmierć matki  
samotność jak Pieśń Maldorora

Lautreamont uderza w klawisze  
nuci bezgłośnie nienasycony głód nieskończoności  
i o k r u c i e ń s t w o B o g a  
który zabrał Celestine gdy ssał jej ciepłe mleko  
morze kawy zamiast oceanu czułości  
osuwają się po kolejnej filiżance w objęcia podłogi  
stepującej uderzeniami obudzonych sąsiadów  
nie ma dowodów na samobójstwo  
ani na mord – nic nie posiadał poza fortepianem  
który trudno ukraść z poddasza  
zmogła go choroba o nazwie Poesies  
plamy na ścianie z przesuszonych fusów  
ułożyły się w zarys szczupłej twarzy  
kiedyś zajrzy tu Hatim Elmekki  
i zrobi portret wydarty z zetłalej tapety  
pieśń zatrzyma czas

## **Mostar**

nie wiem kto stracił marzenia  
za podartym oknem  
pokąsanym murem  
popękany światłem  
  
do rzeki wciąż osuwają się  
napięty z bólu most

## Obłąd

Założyłem ogród obok Raju  
i zaczął się Obłąd  
godny Krzysztonia  
Piotra Odmieńca  
Poszukiwaczy Kamienia Filozoficznego  
Kazimierza Ratonia

mówią  
że gdy na naszej drodze pojawiają się schody  
to nie znaczy  
że Bóg podkłada nam nogę  
ale chce byśmy szybciej wspięli się do Niego

a ja nie chcę śnić cudzych snów

nie stworzę kolejnych „Agrestów”  
choć urodziłem się w ich roku  
„Matka Boska od pajaków”  
nie rzuci blasku na moje pisanie  
ale nie umrę ze strachu  
nad *dachów przerażeniem*  
nie jestem Kafką  
nikim nie jestem  
kurzem na wietrze i nie cieniem nawet  
Grochowiaka  
donikąd sięgam  
i tylko...

daję ci zasuszony listek podniesiony w Getsemani  
daję ci każdy mój świat

ten z którym łączy mnie już tylko  
wspomnienie sznura koralu  
ze sztucznych granatów  
noszonych przez mamę  
i ten  
na który wciąż czekam  
  
założyłem ogród obok Raju  
i zaczął się obłęd

## Ks. Rajmund Ponczek

### Wieczory poezji

odbywają się bez jednego słuchacza  
ręka trzyma długopis  
zaróżowione policzki  
powieki którym nie ciąży północ  
gołąb siadający na ramieniu  
pomimo drzwi zamkniętych  
czasami słycać płacz  
rozglądam się  
nie widzę skąd dochodzi  
zawsze słycać ciszę

Zaczyna się polowanie na słowo  
badanie na ile otarło się o słowo uskrzydłone  
podnoszenie schwytanego słowa pod światło  
porównywanie  
myśli i serca

myśli i ran

myśli i modlitwy

Siedzę w małym laboratorium  
tyle rzeczy mało przydatnych  
długopis za złotówkę

### Mowa do Hioba o wolności

Hiobie

– kiedy byłeś szczęśliwy?

Czy wówczas, gdy miałeś  
dzieci, dom, posiadłości, bydlę

Miłowałeś przecież i drżałeś o nie  
lękałeś się, że możesz stracić.

Gdy straciłeś wszystko  
stałeś się jak samotne drzewo, stojące w słońcu, wolne.

Czy byłeś szczęśliwy, gdy po raz drugi otrzymałeś wszystko na nowo  
dzieci, dom, posiadłości, bydlę  
wiedziałeś już na pewno od kogo.

Co myślałeś  
Bóg dał, wziął i dał...

Powiedz co to jest wolność  
czy czasami nie smakuje zbyt gorzko  
nie chce robić bilansu ma i nie ma

Wolny Hiobie,  
trudna jest wolność.

**Nie zapomnę** przeoranej brzdami twarzy  
wypełnionej ufnyimi oczami

Nie zapomnę imienia syna którego dziś nie rozpoznałaś

Nie zapomnę składanych koszul i czystych butów  
choć nie wiesz gdzie je odłożyć  
psa karmionego co godzinę  
bo dawno nic nie jadł

Nie zapomnę modlitw odmawianych od świtu po kres  
urwanych w połowie

gotowości pójścia na Mszę  
na dwie godziny przed

Nie zapomnę ciepłej dłoni  
pomimo uścisku stygnącej  
łez wylanych bo chcę być potrzebna  
i zaciśniętych warg żeby nie było widać że boli

Nie zapomnę niewiasty dzielnej  
w biegu i służbie przechodzącej z życia do życia  
miłości którą otrzymywałem co dnia  
którą usiłuję odwzajemnić

Nie zapomnę odchodzenia  
oczu które patrzą na chleb i gdzieś daleko  
rąk które zamiatają kuchnię  
i słów które mówią o śmierci, o Panu

Usiądę przy tobie  
I w tym siedzeniu wyrażę całą istotę istnienia  
będę cierpliwy  
poczekam na zmartwychwstanie.

### **Patrzy na twarz**

pięknie wyrzeźbioną bruzda po bruzdzie.  
Pyta o miejsce, gdzie kończą się rozstaje dróg,  
o wieczność, zbawienie, niebo,  
o wagę sprawiedliwą,  
o lęk odchodzenia, pokusy ostatnie,  
aby wydrzeć duszę.

Siedzi coraz ciszej  
patrzy coraz wyżej



podaje dłoń.

Ty nie pytasz?

– pytam!

Łagodnieję ogrzany stygnącym ciałem.

## LEŻENIE KRZYŻEM

Położ się na ziemię  
twarzą do jej wnętrza  
spróbuj ją objąć  
nie myśl – jestem ukrzyżowany  
daj się ogarnąć przez jej chłód  
czujesz tyle zapachów  
przytul czoło do jej łona  
na policzku ziarna  
ziemi zniesione stopami  
z prochu powstałeś i w proch się obrócisz

Ręce nogi ciało szczelnie przywierają  
nie dają odpoczynku  
mdleją  
w wielu miejscach uwierają  
ogarnia cię besila beczucie  
nie potrafisz prosić  
zazwyczaj przychodzi to z łatwością  
ani mówić  
milczysz  
na przemian powtarzasz Panie Panie

Teraz odchyl głowę unieś czoło

pomiędzy prawym a lewym bokiem tęcza  
z wysoka Pan cię ochrania  
kruszyno moja marna

Trwaj  
zapomnisz o ciele ranach wykręconych ramionach  
płynie strumień wody żywej  
przez każdą z ran wlewa się do środka  
wypełnia klatkę piersiową głowę kończyny  
jak niemowlę ssaj do nasycenia

Król ukrzyżowanych się zbliża

Kładziesz mnie setny raz krzyżem  
do Siebie przytulasz  
na ustach grymas bólu  
w sercu radość cała

### **PLAN DZIAŁANIA**

Ustalam  
dotrzesz na miejsce późno  
masz czas – siedemdziesiąt do dziewięćdziesięciu lat  
– jeszcze się zobaczy.  
Do celu prowadzi stroma ścieżka  
drzwi są wąskie  
napotkasz wszystkie możliwe trudności i przeszkody.

Czasami skręcisz na wygodną drogę  
musisz z niej najszybciej zejść.

Wolno ci mieć zawsze kubek wody i ułomek chleba  
ten darowany.

W ręce należy nieść ogień  
pozwól, aby wiatr rozpałał go każdego dnia mocniej.  
Od niego – niestety – powoli będziesz się spalał sam.  
Kiedyś wypalone oczy powiedzą: napatrzyliśmy się na majowe łąki  
wystarczą nam krajobrazy miłości  
twarz męża, który zmarł 20 lat temu, reumatyczne ręce po latach  
pracy.  
Uszy dadzą do zrozumienia: przymykamy podwoje,  
zasłuchamy się w jeden głos - po co innych tysiące.  
Powoli ogień spopieli wszystkie zmysły,  
naruszy mechanizm zegarów, popsuje czas.  
Z przestrzeni coś się zacznie dziać,  
coraz częściej ziemia przytulać się będzie nagle do twarzy.  
Jeszcze raz powtarzam: chodź po zaułkach życia  
wybieraj trudne zadania.  
Gdy usłyszysz *Piosnkę o końcu świata*  
na pewno zobaczysz wyciągnięte, przebite dłonie,  
pomogą ci się precyzyjnie.  
Przejdiesz,  
spotkasz Tego, który JEST.

## Edward Przebieracz

### Diogenes

na Anioł Pański  
z lampą w ręku  
wybiega na ulice miasta  
które wielkie jest  
tylko w swoich oczach  
z przeraźliwym krzykiem  
*Królestwo za człowieka!*

gdzie ludzi pełno  
a jakoby nikogo nie było

krzyczy coraz głośniej  
aż pękają mury

czasu ma mało

nim zajdzie słońce  
musi znaleźć człowieka -

on ocali miasto

### Judasz

przecież musiał być  
ktoś taki jak ja  
wybrany  
powołany  
by wypełniły się Pisma

ktoś musiał  
odwalić czarną robotę

### **Krzyż**

między niebem a ziemią  
między człowiekiem a Bogiem  
jedyne  
most

### **Prośba**

Panie  
niech tylko wróci  
a wybiegnę mu naprzeciw  
powitam chlebem i solą  
rzucę mu się do nóg  
ucałuję jak syna  
obdarzę prawdziwą miłością  
Panie  
niech tylko wróci  
choć jeden  
marnotrawny dzień.

\* \* \*

kiedy umiera człowiek  
z nieba  
spada gwiazda  
pozostaje po niej

czarna dziura  
rana  
nie do zabliznienia  
nie do wypełnienia  
žadną inną gwiazdą

### Wigilia

opłatek  
kolędy  
choinka  
prezenty  
za stołem                      miejsce  
to wszystko  
psu na budę  
jeśli Chrystus  
nie narodzi się  
w Twoim sercu.

### Z teologii krzyża

bez Krzyża  
na naszych krzyżach  
trzeba by było  
postawić  
krzyżyk

## Maryja

ogród zamknięty  
mnóstwem pestek granatu  
obdziela głodnych

## Bartymeusz

Nauczyłeś mnie  
że najważniejsze jest  
niewidoczne dla oczu  
że szukać należy  
sercem  
Ślepy Książę  
który poczułeś dotyk  
Miłości  
potrzebuję twojej wiary  
bo choć oczy mam – nie widzę  
bo choć serce mam – nie czuję  
zaprawdę powiadam ci  
od ślepoty gorsze jest zaślepienie.

## Edyta Poskrobko

\* \* \*

oczyszczam mój świat  
ze śladów wspólnej bliskości  
drobiazgi, bibeloty  
znaleziona w lesie butelka  
ślad opuszka na skórze  
tysiące westchnień i zadziwień  
kolorów, zapachów, uśmiechów  
nawet adapter  
sprzątnąć muszę z kurzu muzyki

wiosenne słońce usiłuje skusić mnie  
grą światła na wiszących płótnach  
śladach Twojej wyobraźni

wstrzymuję dłoń  
jeszcze chwilę...

\* \* \*

Kobieta jak nostalgiczne westchnienie  
nad ulotnością życia  
lekka jak powietrze ulatujące z płuc  
wymyka się z każdej klatki  
nawet tej utkanej ze słów  
portret z obłoków  
– dłoń sięgająca łapie tylko cień  
a jednak niezbędna



by czas był jak czarka  
dobrze zaparzonej herbaty

\* \* \*

Polityczną poprawność wierszy  
mam w dupie  
modność frazy, mnogość przerzutni  
nadmierny ekshibicjonizm  
to wszystko już było  
ja też byłam  
nie zdejmuję kolejnych warstw słów  
by obnażyć sedno  
nie nakładam makaronu na uszy  
– zostawiam to restauracjom  
ani skarpet na nos  
by je zakryć  
trendy literackie czy inne mam głęboko schowane  
najwyżej nie popłynę na fali  
ślizg w głębinach jest znacznie ciekawszy

\* \* \*

Słońce jak rozpalony parowóz  
wtoczyło się na peron  
płyty chodnika, jak płyty grzejne  
nastawione na full  
jakby ktoś zapomniał o regulacji ciepła

klamka syczy w zetknięciu ze skórą  
a my wsuwamy się w kąt wagonu  
odpalając leniwy powiew wachlarza

za oknem chłopiec pod japońską parasolką  
obrazek surrealistyczny w podlaskiej przestrzeni  
darowana nam chwila egzotyki  
nieomal przeniesienie w czasie i przestrzeni  
potęguje czas lata

Leniwie pociąga nas wizja wody  
turkocą koła  
jeszcze nie teraz  
jeszcze nie teraz  
teraz  
wysiadamy w innej rzeczywistości

## Marcin Powichrowski

### Poezja, czyli pamięć i ocalenie...

„Na cyferblacie wskazówki zakurzone. Zapominamy o ludziach. Zapomną i o nas” – takimi słowami rozpoczyna się wiersz „W przemijaniu” Antoniego Hukałowicza, otwierający jego zbiór poetycki „Idąc krawędzią życia”. Antoni Hukałowicz, poeta i prozaik, autor m. in. dzieł: „Poletko wszystkich świętych” i „Długi sen”, debiutował w 1973 roku. Jego utwory nagradzane były w wielu konkursach literackich. Najnowsza książka poety, opublikowana przez Książnicę Podlaską w „Świętojańskiej Serii Poetyckiej”, ukazała się w 2015 roku.

„Idąc krawędzią życia” to poetycka podróż przez Podlasie – mityczną, zaśniewaną krainę, w której życie zatrzymało się na moment, by stoczyć nierówną walkę z historią i przemijaniem. Wiersze Antoniego Hukałowicza przenoszą nas do cichych, zapomnianych, jakby zakurzonych wsi i miasteczek, tak różnych od tętniących nowoczesnością, zabieganych, błyszczących blichтром i tandetą współczesnych miast. Ale właśnie tam, na podlaskiej wsi, która dla podmiotu lirycznego wierszy Hukałowicza staje się czymś na kształt centrum wszechświata, rozgrywają się najważniejsze wydarzenia. Bo gdzie można znaleźć ocalenie przed przemijaniem jak nie w przestrzeni symbiotycznie związanej z przyrodą, z uprawą roli, z porami roku.

*pochylony nad skibą  
w trudzie i znoju  
otwierał pługiem  
pory roku*

*dzwony nawołują  
na posługę Pańską  
od świtu  
do zmierzchu  
w kościelnym orszaku*

*dźwigał  
święte kamienie  
rozzrzucone na Plebańszczyźnie  
pod Żelaznym Mostem  
na polach Panerki  
gospodarz  
osadzony na poletku ziemi  
robotnik sezonowy  
niwy parafialnej  
[Edek Marszał]*

Z jednej strony opisane przez poetę wsie i miasteczka wydają się odchodzić w przeszłość, istnieć wyłącznie w pamięci. Lecz z drugiej – istnieją tu i teraz, są na wyciągnięcie dłoni, zapraszają do zamieszkania, odsłaniają przed nami swoje tajemnice. To właśnie tam możliwe są prawdziwe ludzkie wzruszenia i właśnie tam człowiek otwiera się na doświadczenie sacrum: święty Jan, idąc po drewnianym wiejskim moście, niesie kropidło i wodę; podwórkiem chodzi Jezus, a pełną miedzą przechadza się Bóg. W wiejskich pejzażach, opisanych przez Hukałowicza, wszystko jest znane, święte, drogocenne, godne ocalenia.

*za oknem  
pogodna noc*

*księżyc przysiadł  
na konarze gruszy*

*zbochem  
 schodzą trzej królowie  
 niosąc klucze  
 do ludzkich  
 serc  
 [Trzej Królowie]*

Ale w świat opisany przez poetę brutalnie wkracza historia i śmierć. Hukałowicz pisze między innymi o wydarzeniach związanych z II wojną światową (wiersz „Olekszyna rok 1940”), o żołnierzu, który walczył pod Tobrukiem i Falaise („Kościany dziadek”), wspomina o likwidacji getta żydowskiego i o wywózkach na daleką Syberię.

*mroźny świt  
 pogonił rzeszę ludzką  
 na rampę towarową  
 ożyły składy  
 milczących wagonów  
 padły słowa przekleństwa  
 wypalił nagan  
 gwizd lokomotywy  
 ponągła do pośpiechu [...]  
 [Wywózka]*

Zbiór wierszy „Idąc krawędzią życia” to książka o ludzkiej potrzebie pamiętania. Na każdej stronie znajdziemy bowiem takie zwroty jak: „pamięć o bliskich” „album pamięci”, „zatopiony w pamięci”, „zapomniana uliczka”. Hukałowicz nawiązuje w ten sposób do pradawnej tradycji, z której narodziła się literatura: już od czasów starożytnych człowiek robił wszystko, by pamiętać ważne dla jego społeczności wydarzenia. Słowo mówione ustąpiło pisanemu. I tak narodziła się literatura – medium ocalające przed zapomnieniem.

A skoro człowiek skazany jest na przemijanie, musi więc zrobić wszystko, by to, co piękne i uniwersalne, przetrwało w pamięci, ocalając nas przed chaosem świata. Właśnie takie zadanie postawił przed sobą Antoni Hukałowicz i wywiązał się z niego znakomicie. Zachęcam do lektury książki „Idąc krawędzią życia”, opublikowanej w piątym cyklu „Świętojańskiej Serii Poetyckiej”.

**Antoni Hukałowicz, *Idąc krawędzią życia*, Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego, Białystok, 2015.**

### **Wypowiedzieć rzeczy niewypowiedziane...**

Hiob to biblijna postać, do której często nawiązują artyści, poeci i pisarze. W niej bowiem odnajdziemy spektrum ludzkich doświadczeń: przede wszystkim potrzebę wiary w sens tego, co nas spotyka; potrzebę pewności, że nic nie dzieje się przez przypadek, a każde doświadczenie to źródło wiedzy, która wzbogaca, a nie zabija. Do postaci Hioba nawiązuje w swojej twórczości poetyckiej Jacek Juskiewicz – poeta, fotografik, kulturoznawca, krytyk sztuki, doktorant literaturoznawstwa na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu w Białymstoku.

Jego zbiór wierszy „Do Hioba” to refleksja nad kondycją współczesnego człowieka, zagubionego w nurcie codzienności, ale mającego pewność istnienia Boga. To do niego wielokrotnie zwraca się podmiot liryczny wierszy Juskiewicza, szukając nie tylko nadziei i siły, ale i odpowiedzi na dręczące go pytania. „Zawsze wiedziałem że Jesteś / to było oczywiste / karmiłeś tęsknotę / i niepokój istnienia / odpowiadając cichym echem / wątlým jak smużka dymu z gasnącego kadzidła” - mówi bohater wiersza „Wiedziałem” (rozdział „Szukam Cię...”).

Ale obecność Stwórcy odnaleźć można nie tylko w sobie. Jego ślady widoczne są również w otaczającej nas naturze – doskonałym dziele stworzenia. Mówią o tym wiersze z rozdziału „Świt...” i „Z jesieni na zimę”. Znajdziemy w nich bowiem charakterystyczny motyw: obserwacje przyrody stają się pretekstem do refleksji filozoficzno-religijnych. Pejzaż wyzwała potrzebę modlitwy, rozmowy z Bogiem, człowiekiem:

*Idę po ziemistej twarzy  
 poranego bruzdami pola  
 potykam się o stężałe grudy naskórka  
 jak garść popiołu rzucona na wiatr  
 śnieg osiadł pudrem na rzęsach i włosach  
 [...]  
 wszystko z oczu ginie  
 zamglonych łzą  
 gdzie Jesteś?  
 [Z jesieni na zimę]*

Potwierdzeniem sensowności świata są dla Juskiewicza losy Hioba – człowieka, który – mimo przeciwności losu – nie stracił wiary. Wydawało się – pisze Juskiewicz – że życie Hioba „zostało jak kryształ rozbite na drobne okruchy”; że Hiob jest już tylko „westchnieniem padającego drzewa, które idzie gdzieś – choć wie że go już nie ma”. Ale to tylko pozory. Bo Hiob przetrwał, nie dopuszczając do siebie myśli, że Bóg „odszedł i zapomniał”. Gdzie tkwiło źródło siły Hioba? Odpowiedź jest prosta: w miłości.

*[...]  
 jest taka miłość  
 co łączy komórki bólu w nadzieję  
 są takie ramiona*

*które łapią upadające drzewo  
i trzymają tak mocno  
i tak długo przy sercu  
aż się zazieleni i pokryje kwieciami  
[Do Hioba]*

Pewność istnienia Boga nie rozwiązuje wszelkich problemów. Bohater wierszy Juskiewicza czuje się zagubiony, samotny i mimo że ma poczucie sensowności świata, nie wie dokąd iść i jak postępować. Dlatego pyta: „Gdzie jesteście mędrzy i prorocy / gdzie jest wasza mowa czysta / woda wichur i pożoga / diament słowa / taka tutaj cisza / te kamienie będą krzyżeć / mocą krwi świętych świata / gdy wargi wasze trupem mocy” („Gdzie jesteście”). To ostatnie określenie „wargi wasze trupem mocy” jest tu bardzo ważne. Juskiewicz dostrzega bowiem kryzys wartości i kryzys autorytetów. Wspomina o pospolitym grzechu zaniechania, o ulotności bytu nie wspartego wartościami, o „śmierci dławiącej oddech”. Przeciwwagą dla istnienia bezsensownego jest nie tylko wiara w Boga, w transcendencję, ale i pisanie, które „wybarwia to co ulotne i niewidzialne”, a „wypowiada rzeczy niewypowiedziane”. W wierszu „Logos” Juskiewicz pisze: „słowa spływając kroplą po ostrej klindze pióra / wnikają w biel kartki rozświetlając myśl twórcy / stają się widzialnym bytem mieszkającym niewidzialnie / w głębi tajemnic”. Kim jest więc poeta, twórca, artysta słowa? To ktoś kto nie umiera, tylko „odchodzi gdy skończy atrament w kałamarzu”, a później „zwraca ciało ziemi / a ludziom wiersze / mając nadzieję / na zmartwychwstanie” („Poeta”).

Zachęcam do lektury wierszy Jacka Juskiewicza. Znajdziemy w nich niebanalną refleksję o współczesnym człowieku – wrażliwym i inteligentnym, doświadczającym samotności i zagubienia w opresyjnym, nieprzyjaznym świecie. Ale bohater tej poezji nie



rozpacza, nie poddaje się, nie traci nadziei. Wprost przeciwnie: jego postawa to świadectwo niezłomności.

Tom „Do Hioba” to także książka dla wielbicieli literatury poszukujących przemyślanych, dopracowanych tekstów, w których forma jest równie ważna jak treść.

### **Opowieść o rzeczach bezcennych...**

Otoczamy się tysiącami przedmiotów. Wśród nich są książki, czasopisma, gadżety elektroniczne, ubrania, kosmetyki, jedzenie – przedmioty codziennego użytku. Psychologowie twierdzą, że często wartość człowieka oceniamy właśnie na podstawie ilości i jakości przedmiotów, które do niego należą. Mimo to ludzie szybko pozbywają się rzeczy, które uznają za stare, zużyte, niemodne i zniszczone. Zupełnie inaczej postępuje Wiktor Szalkiewicz – autor książki „Requiem dla rzeczy niepotrzebnych”, opublikowanej w 2015 roku przez Książnicę Podlaską w Białymstoku.

Szalkiewicz zaproponował swoim czytelnikom liryczną, sentymentalną podróż w krainę dzieciństwa, na Białoruś, do Porozowa. Właśnie tam, w latach 60-tych, młody człowiek, zafascynowany światem, snuł swoje marzenia o czarno-białym telewizorze, odbiorniku radiowym, motorze albo chińskim długopisie (zamiast starego pióra z zardzewiałą stalówką). Nic więc dziwnego, że do tych przedmiotów Szalkiewicz wraca po latach, snując poetyckie wspomnienia o rzeczach, które są mu już niepotrzebne, a mimo to wciąż znajdują się w jego domu.

Autor nie potrafi pozbyć się „maszynki, którą wszystkich nas małych strzyżono”, „drewnianego piórnika”, „ojcowych pasków”, „Nokii 5110” i „starego porzuconego chutora za wsią Hornostajewicze”. Powód jest

prosty: [...] rzeczy niepotrzebne, zajmują czasami dużo miejsca, osiada na nich kurz, mieszkają w nich mole i rybiki, atakują kołatki, ale one prawie się nie starzeją, bo nie mają konkretnej daty urodzin, żyją swoim niepotrzebnym życiem dłużej od swoich twórców i właścicieli, tknie je jeszcze nie jedno, lecz kilka pokoleń. Biorąc je do rąk stajesz się młodszy i pełen sprytu, jakby żyła w nich jakaś tajemnicza siła, która od razu wnika w ciebie.

Dlaczego więc tak szybko pozbywamy się rzeczy? Dlaczego nie dajemy im szansy na wzbogacenie naszego życia? Może boimy się wszystkiego, co przypomina nam o upływie czasu? To dziwne, bo przecież stare przedmioty z dzieciństwa, znalezione w szafie, garażu i piwnicy to rzeczy, które nas ukształtowały, „uczyniły takimi, jakimi jesteśmy teraz, nie innymi...”

Czasy młodości Wiktora Szalkiewicza nie należały do łatwych. Lata 50-te i 60-te, Białoruś, kult Stalina, wszędobylska obecność partii, niewesoła sytuacja ekonomiczna. A z drugiej strony, wspinała wielopokoleniowa rodzina, w której każdy o każdego dbał. Zaradny ojciec, opiekuńcza matka, bracia – wszystko to sprawiało, że mały człowiek czuł ufność wobec świata i – w przeciwieństwie do dzisiejszych dzieciaków – większość czasu spędzał na podwórku, kombinując, jak przejechać się motorem kupionym przez ojca; jak dłużej posłuchać radia albo wejść w posiadanie wspomnianego już chińskiego długopisu. Dzięki temu każdy dzień jego życia miał coś w sobie wyjątkowego, niespotykanego i ekscytującego. Taką ekscytację przeniosła ze sobą słynna radiola Ural – 57 (radiola, czyli połączenie odbiornika radiowego i adapteru): *Przy Uralu-57 całą rodziną spędzaliśmy długie jesienne i zimowe wieczory. Często zaczynały się od tego, że rodzice po napojeniu krowy i skończeniu prac w chlewie siadali przy nagrzanym piecu, a ojciec ironicznie mówił: Staś, Jurek,*

*poszukajcie łgarzy (tzn. Radio Wolna Europa), niech połgają...”. Bracia przełączali radio na krótkie fale, na początku na kr1, potem na kr2. Charakterystyczne ostre głosy, męskie i kobiece, opowiadały o tym, co się naprawdę dzieje na świecie i u nas. Ojciec w zadumie mówił: „O, popatrz!”.*

Ale „Requiem dla rzeczy niepotrzebnych” to nie tylko wspomnienia z dzieciństwa. To także opowieść o dojrzewaniu i byciu dorosłym. W opowiadaniu „Odznaka wojskowa sierżanta Siergieja Zmitrakowa” Szalkiewicz pisze o swojej służbie wojskowej w Mińsku, a „Chicagowska walizka” to wspomnienia związane z pobytem w 2001 roku w Chicago. Właśnie tam Szalkiewicz miał okazję spotkać przypadkowo w indyjskim sklepie młodą sprzedawczynię... z Grajewa! Szalkiewicz przyznaje: *Znaleźć w indyjskim sklepie w Chicago mieszkankę małego podbiałostockiego miasteczka Grajewo – to samo, co znaleźć sto białoruskich „zajączków”.*

Takich wspomnień, związanych z ludźmi i przedmiotami, jest w książce Szalkiewicza mnóstwo. A każda ma w sobie kapitalną puentę, dowcip lub poetycką refleksję. Bo Szalkiewicz pisze o świecie, który go ukształtował i który zna najlepiej. Cóż, skoro dzieciństwo i młodość to najpiękniejsze okresy w naszym życiu, warto do nich wracać. A nic tak skutecznie nie przywołuje wspomnień jak przedmioty, którymi wtedy się otaczaliśmy; przedmioty, które wciąż posiadamy, przede wszystkim z sentymentu za tym, co odeszło i już nie powróci. Przeczytajmy więc uważnie książkę Wiktora Szalkiewicza i uważnie rozejrzyjmy się po swoim domu. Może gdzieś na półce za książkami bądź głęboko w szafie ukryła się bezcenna rzecz, o której zapomnieliśmy marząc o nowych, eleganckich, nowoczesnych przedmiotach? Może dzięki niej staniemy się szczęśliwsi?

## Edyta Sawicka

### Dziewczynka w czerwonej sukience [Fragment]

Już od dwóch tygodni w Wasilkowie dął wiatr. Ludzie mówili, że słyszą jęki albo płacz. Coś było w powietrzu. Mieszkańcy miasteczka trzymając się płotów chyłkiem przemykali ulicami miasteczka szybko zmierzając do domów. Nikt się nie uśmiechał. Wieczorami gromadzili się w około pieców nasłuchując i przekazując sobie legendy i opowieści o dawnych mieszkańcach Wasilkowa. Naładowana atmosfera powodowała, że te bajania były coraz bardziej niezwykle i przerażające. Tak było też w domu starego Bolesława Zawdzkiego. Właśnie wrócił z cmentarza i dołączył do rodziny zgromadzonej przy ogniu. Był na cmentarzu. W Wasilkowie są dwa cmentarze: katolicki i prawosławny. Oba mieszczą się po dwóch stronach ulicy Grodzieńskiej, która to prowadzi na Sokółkę i dalej na wschodnią granicę, aż do białoruskiego Grodna. Zawadzki był na katolickim cmentarzu – odwiedzał grób rodziców. Wychodząc kierował się ku bocznej bramie. Ten wiatr świdrował w uszach. W pewnym momencie odwrócił głowę i popatrzył na główną bramę i ujrzał dziewczynkę w czerwonej sukience, która wychodziła z cmentarza. Dziewczynka miała wzrok utkwiony w cmentarz po drugiej stronie ulicy. Zawadzki nie znał się na sztuce, gdyby jednak się znał to by pomyślał, że zeszła z obrazu Józefa Pankiewicza. Kim ona jest? Nie wiedział. Była obca. Poczuł dreszcz i ten wiatr. Rodzinie zgromadzonej w domu powiedział, że ta dziewczynka to znak – zapowiedź czegoś, a ten wiatr to jej welon. Zawadzka przeżegnała męża i powiedziała, że nie straszył wnuków, które słuchając dziadka rozbiegły się po kątach pokoju.

Wydawało się, że tak jak się zaczęło wszystko wróciło do normy. Wiatr się uspokoił i nad Wasilkowem wyszło słońce. Ludzie odetchnęli. Tylko jeden Zawadzki patrzył jakoś tak markotnie, ale bojąc się żony milczał. Nikomu nie mówił, że dziewczynka w czerwonej sukience zaczęła nawiedzać go w snach. Zjawa robiła się coraz bardziej wyraźna, a ten czerwony kolor jej sukienki parzył go. Budził się nieraz zalany potem. Miotał się po domu, a cmentarze omijał szerokim łukiem. Był już początek września zbliżały się imieniny Tomasza, a tak miał na imię ojciec Zawadzkiego – stary wiedział, że będzie musiał iść na cmentarz. Postanowił pójść do miejscowego proboszcza. Był to już starszy ksiądz – niezwykle szanowany przez mieszkańców miasteczka i okolic. Wysłuchał Zawadzkiego i powiedział mu, że dziewczynka czegoś od niego chce i jest na pewno jakiś powód, że wybrała właśnie jego.

Stary Zawadzki już dawno przywykł do tego, że nazywano go starym Zawadzkiem – nawet żona Aniela tak się do niego zwracała, a tak naprawdę na chrzcie mu dano Władysław. Jedynie wnuki zwracały się do niego czasami dziadku Władku.

Władysław długo myślał o tym, co mu powiedział ksiądz. Wiedział, że nie zwariował i dziewczynkę widział. Ksiądz mu powiedział, że powinien to przyjąć i się modlić.

W Wasilkowie tak jak gdzie indziej starzy ludzie czasami bajają o zjawach i duchach. Jeszcze sto lat temu było to częste zjawisko. Znakiem czasów jest to, że i to bajanie ustaje, chociaż całkowicie nie zanikło. Zawadzki, gdyby się tym zainteresował wiedziałby, że nazywa się to hagiografia i się nie przejmował. Ale te sny nie ustawały. Dziewczynka nie była jego wymysłem. W kolejnych snach była coraz smutniejsza i stanowiła zadrę w jego sercu.

Nadeszły imieniny Tomasza i Władysław już nie sam, bo z żoną udał się na cmentarz. Jego żona przez całą drogę na grób, który był

w połowie cmentarza trajkotała o tym, jakie mają cudowne wnuki, a Władysława zalewała krew i nie nadażał za słowotokiem Anieli. Był koniec września, ale świeciło słońce. Władysław na tablicy nagrobnej zobaczył cień, którego tam w ogóle nie powinno być, bo grób znajdował się przy głównej alei cmentarza w miejscu nasłonecznionym i pozbawionym drzew, a więc skąd? Nagle usłyszał płacz – cichutki zawodzący i przerywany. Aniela nagle się przymknęła i zaczęła się przyglądać mężowi. Powiedział Władysław zzieleniałeś, może zjadłeś coś nieświeżego. Władysław nie wytrzymał i mówi: „zamkinij się babo – przecież ty jadłaś to samo – chleb z pasztetową, sam wczoraj robiłem zakupy i wszystko wyglądało dobrze” przymknęła się, ale zrobiło jej się nie miło, że ona do niego, z troską, a on wyskakuje z taką gadką. Wymiana zdań się urwała i pozostał niesmak chłopca i baby. Już nawet nie pytał, czy słyszała płacz – wiedział, że nie, bo by powiedziała, a ona nic tylko, że zzieleniał – do diabła z taka kobietą. Już w ciszy wrócili do domu.

Władysław Zawadzki, mimo tego, że nie był wykształcony to swój rozum miał. A ksiądz mu otworzył oczy na rzeczy, które czuł, a od siebie odsuwał. Zdawał sobie jednocześnie sprawę, że na świecie nie wszystko da się wytłumaczyć. Przy tym był osobą wierzącą i praktykującą. Niedzielna msza dała mu ukojenie, a proboszcz zbierając tacę spojrzeniem dodał mu otuchy.

Zawadzki powiedział sobie, że nie może tego tak zostawić. Dziewczynka tak mu się zmaterializowała, że wiedział, jeżeli ma jej pomoc musi wiedzieć, kim ona jest. Wiedział, że jest obca, ale czy aby na pewno? Tak sobie założył, teraz miał wątpliwości i postanowił to sprawdzić. Z natury był dobrym człowiekiem – chciał pomóc dziewczynce i sobie, gdyż chciał spokojnie spać i bez obaw chodzić na cmentarz.

Był już październik i Zawadzki poszedł do miejscowego nauczyciela historii Pana Wojciecha Gawędzkiego. Nauczyciel zaintrygowany potraktował sprawę Zawadzkiego, jako wyzwanie badawcze. Doszedł do wniosku, że dziewczynka to jakaś błakająca się dusza, która potrzebuje pomocy, a może sprawiedliwości, bo za mała, aby być mordercą, za duża na śmierć bez ostatniego namaszczenia, a w wypadku też nie mogła zginąć gdyż nie kołatałaby się po tym świecie i prosiła pomocy i to akurat Zawadzkiego.

Gawędzki powiedział, że wybrała sobie Zawadzkiego, bo na cmentarz przychodzi wielu ludzi, a ona pokazała się właśnie jemu. Może jednak nie była obca, ale wręcz byli spokrewnieni. W Gawędzkim obudziła się żyłka detektywa, a w kryminałach zaczytywał się w młodości. [...]

## Bożena S. Bart

### KURTYNA

Dramat w jednym akcie

[Fragment]

Osoby:

ONA – bardzo stara aktorka

ON – bardzo młody aktor

*Rzecz dzieje się współcześnie, na scenie teatralnej.*

*Dywan. Dwa fotele, ustawione bokiem do widowni. W głębi sceny kurtyna, z rozcięciem w środku.*

### SCENA PIERWSZA

*Muzyka z piosenki Zarah Leander „Adieu”. Na scenę wchodzi ONA, rozgląda się, poprawia róg dywanu, głaszcze poręcz fotela, podchodzi do kurtyny, wkłada palec w rozcięcie rozchylając nieco brzegi i zbliża oko do otworu. Tymczasem na scenę wchodzi ON, rozgląda się, zauważa kobietę. Muzyka milknie.*

ON

Podglądasz ich?

ONA

Nie podglądam, sprawdzam, jak wyglądają. Mają nad nami przewagę.

ON

Nie rozumiem?

ONA



Kiedy stoję na scenie i światło świeci mi w oczy, nie widzę ich. Gram dla pustej, ciemnej przestrzeni. Gram dla czarnej dziury. Wiem, że oni tam są, widzą mnie. Więc zanim zacznę, ja też muszę ich zobaczyć.

*Gong. Aktorzy ustawiają się przodem do kurtyny (tyłem do rzeczywistej widowni), kurtyna podnosi się, słychać oklaski. Gaśnie światło.*

## SCENA DRUGA

Światło powoli oświetla scenę, wchodzi ONA, podchodzi do kurtyny i patrzy - jak na początku. Wchodzi ON.

ON

Znowu?

ONA

Co znowu?

ON

Podglądasz ich.

ONA

Robię to co wieczór.

ON

Po co? Ludzie jak ludzie.

ONA

Mój mały, przecież za każdym razem przychodzą inni. Nie zmuszaj mnie, żebym ci tłumaczyła rzeczy oczywiste.

ON

Nie mów do mnie, mój mały.

ONA

Mówię tak do wszystkich młodszych ode mnie co najmniej ćwierć wieku. Mieścisz się w tej grupie.

ON

Denerwujesz mnie.

ONA

Tym lepiej. Przedstawienie zaczyna się wybuchem twojego szału.

ON

Potrafię zagrać wybuch szału, nie muszę się do takiego stanu doprowadzać.

ONA

Oho, jaki zdolny! A jaki zarozumiały! Przejdzie ci z wiekiem, mam nadzieję. Niektórym nie przechodzi i wtedy dopiero jest problem.

*Gong. Aktorzy ustawiają się przodem do kurtyny, kurtyna podnosi się, słychać oklaski. Gaśnie światło.*

### SCENA TRZECIA

Światło powoli oświetla scenę, wchodzi ONA, podchodzi do kurtyny i patrzy. Wchodzi ON.

ON

Jak tam dzisiaj? Podobają ci się?

ONA

*odsuwa oko od kurtyny*

W pierwszym rzędzie, pośrodku, siedzi kobieta. Widzę ją trzeci raz.

ON

*podchodzi do kurtyny i dyskretnie patrzy*

Co ona tu robi? Była przecież na premierze.

ONA

Mówisz o tej rudej pani w brązowej sukni?

ON

To moja matka!

ONA

Teraz rozumiesz, dlaczego na nich patrzę? Chcę wiedzieć.

ON

Powiem jej w domu, żeby więcej tego nie robiła. Teraz, kiedy wiem, że ona tam jest, będę o niej myślał. Czy się jej spodoba. A co, jeśli nie? Jeśli się pomyłę, jeśli świadomość jej obecności mnie rozproszy?

ONA

Musisz być profesjonalistą. To nie szkolna scena, to prawdziwy teatr. Nawet jeśli wiesz, że na widowni siedzi kat, który po przedstawieniu ma ci obciąć głowę, musisz zagrać nie gorzej, niż na premierze. Rozumiesz?

*Bierze go za ramiona i lekko potrząsa.*

To twoja matka. Zakładam, że cię kocha i wybaczy ci każde potknięcie. Od tego są matki.

ON

Kocha? Chyba kocha, bo inaczej po cóż by tyle razy oglądała te pierdoły?

ONA

No, no, nie zapędzaj się, nie grywam pierdół, tylko poważne rzeczy.

*Gong. Aktorzy ustawiają się przodem do kurtyny, kurtyna podnosi się, słyhać oklaski. Gaśnie światło.*

SCENA CZWARTA

Światło powoli oświetla scenę, wchodzi ON, podchodzi do kurtyny i patrzy. Wchodzi ONA.

ONA

Dzisiaj jesteś pierwszy i to ty ich podglądasz. Rozmawiałeś z nią?

ON

*odsuwa głowę od kurtyny*

Rozmawiałem. Już nie przyjdzie. Rozumie moje obawy. Cholera, to nie obawy, to po prostu wstyd.

ONA

Nie wstydzisz się dwustu osób, tylko jej jednej?

ON

Bo ona mnie zna. Wie, jaki jestem naprawdę. Tamci nie wiedzą, że udaję.

ONA

Jeżeli sądzisz, że gra na scenie to udawanie, może lepiej daj sobie z tym spokój. Są inne piękne zawody. Księgowy albo górnik. Zapamiętaj, mój mały. Kiedy wkładasz kostium, wchodzisz na scenę, kurtyna idzie w górę, niczego nie udajesz. Żyjesz życiem jakiegoś człowieka, jesteś nim. Przestajesz nim być w chwili, kiedy podchodzisz do rampy, żeby się uklonić, mój mały.

ON

Już cię prosiłem, nie nazywaj mnie, mój mały. Nie jesteś moją babką.

ONA

O! Z pewnością! Twoja babka jest ze dwadzieścia lat ode mnie młodsza.

ON

Mam imię.

ONA

Ach, imię, imię! Każdy z nas jakieś ma. I cóż z tego? Co znaczy twoje imię? Ludzie przypisują im jakieś magiczne znaczenia, wymyślają niestworzone historie. Każdy John jest nerwowy, a każda Mary łagodna. Gdybyż to było takie proste. Chcesz mieć geniusza, nazwij dziecko Leonardo.

ON

Twoje poczucie humoru mnie powala. Czy czasem się śmiejesz?

ONA

Owszem, każdego wieczoru. Nie zauważyłeś?

ON

Twój śmiech jest wpisany w rolę, nie o tym mówię. Czy śmiejesz się poza sceną?

ONA

Dobre pytanie. Chyba rzadko. Trudno mnie rozbawić.

ON

Za to łatwo zirytować.

ONA

*podnosząc wskazujący palec do góry*

O!

ON

Ja cię irytuję. Wnerwiam. Wkurzam.

ONA

Nic podobnego. Skąd ci to przyszło do głowy?

ON

Jestem twoim eksperymentem wychowawczym. Niezbyt udanym chyba. To cię złości.

ONA

Nie złości, tylko niepokoi. Żeby cię należycie wychować, trzeba czasu. Ja go nie mam. Stara jestem, umrę niedługo.

ON

Nie znam kobiety, która mówiłaby o sobie - stara. A może oczekujesz komplementu, że nie?

ONA

Komplement od szczeniaka? Nie, nie. Nie zmuszaj się. Nasłuchałam się dosyć. Poza tym pamiętam swoją datę urodzenia i mam w domu lustro. I w garderobie.

ON

Szczeniak, to niby ja?

ONA

Niby ty. Mówisz, nie znam kobiety, która... A ile kobiet w życiu poznałeś? Dwadzieścia, pięćdziesiąt? Jest nas na świecie kilka miliardów i wierz mi, każda z nas ma jakąś tajemnicę. Nigdy nie zdołasz poznać kilku miliardów tajemnic.

ON

Odwracasz kota ogonem.

ONA

Stać cię na bardziej wyrafinowaną odżywkę, mój mały. Tak na marginesie, jeżeli nie wiesz, co powiedzieć, nie mów byle czego. Po prostu milcz.

ON

Żeby wyjść na idiotę?

ONA

Żeby wydawać się zagadkowym i interesującym.

*Gong. Aktorzy ustawiają się przodem do kurtyny, kurtyna podnosi się, słysząc oklaski. Gaśnie światło.*

### SCENA PIĄTA

Światło powoli oświetla scenę, wchodzi ONA, podchodzi do kurtyny i patrzy. Wchodzi ON.

ON

Zdaje się, że dzięki tobie robię się coraz bardziej popularny.

ONA

Dostałeś jakąś ciekawą propozycję?

ON

Jeżeli można to tak nazwać? Dostałem wizytówkę od panny Fox. Z zaproszeniem do programu.

ONA

Cóż to za program?

ON

Prywatne spotkania z gwiazdami.

ONA

Jeszcze nie jesteś gwiazdą. I dlaczego prywatne?

ON

Wchodzą z kamerą do domu. Pokazujesz im rodzinę, psa, kanarka, czy co tam masz ulubionego.

ONA

I odpowiadasz na wszystkie pytania, jakie ci zadają? Zdradzasz wszystkie swoje sekrety? Nie rób tego. Sława nie polega na tym,

że rozpoznają cię na ulicy i wiedzą, gdzie robisz zakupy, co jadasz, jakiego mydła używasz. Sława, to wyprzedane na kilka tygodni przed premierą wszystkie bilety.

ON

Żałujesz mi?

ONA

Czego? Tego, że pozbawią cię prywatnego życia, zrobią ci wiwisekcję? Będzie bolało. Nie w tym momencie, trochę później.

ON

Takie czasy! Tylko telewizja i kolorowa prasa otwierają niektóre drzwi.

ONA

Wierz mi, będziesz żałował, że niektóre z tych drzwi przed tobą otworzono.

ON

Mówisz tak, bo z tobą nikt nie chciał robić wywiadów. Kiedy dowiedziałem się, że będziemy razem pracować, pogrzebałem trochę w Internecie.

ONA

I tam to wyczytałeś? Że nie chcieli? Chcieli, chcieli, mój mały. Byłam zagadką. Wielu usiłowało mnie namówić na zwierzenia. Ale moje życie toczyło się w zasadzie na scenie. Tę odrobinę, o której nikt nie wiedział, wołałam mieć na wyłączność.

ON

Chciałbym mieć na wyłączność pannę Fox.

ONA

Zdaje się, że to jest osoba, której należy raczej unikać.

ON



Dlaczego?

ONA

Pytasz, dlaczego? Nie masz już trzech lat, powinieneś uruchomić procesy myślowe i sam sobie odpowiadać na niektóre pytania.

*Macha ręką w jego kierunku i odwraca się tyłem.*

A leć tam do niej, leć. Jak ćma. Opalisz skrzydła, to się przekonasz. Co ci będę zabraniać. Młode, to głupie. A cofnąć się nie da.

*Gong. Ustawiają się twarzą w stronę kurtyny. Kurtyna podnosi się, słysząc oklaski. Światło gaśnie.*

## Erazm Stefanowski

\* \* \*

nie biczuj się  
wiecznym  
przepraszam że żyję

nikt nie da Ci wiary  
że jeden człowiek  
na krzyż  
zbawi świat

Ciało zabite  
deskami  
to chyba nie jest szczyt  
Twoich marzeń  
bez urazy

i tak powiedzą  
że to tylko  
skóra i kości

porachowane  
jak srebrniki  
straciły na wadze

nie ma na czym zawiesić  
oka  
załamać rąk

żywa rozpacz  
wypływa  
z przebitego boku

za jakie grzechy  
spieszy się do grobu?

## OWOC MIŁOŚCI

wybij z głowy  
że opuszczę Cię  
od śmierci  
kości zostały rzucone  
mam Twoje rysy  
w oczach  
wymarły akcent  
i po uszy wzburzoną  
galilejską krew  
do twarzy mi  
nawet  
w jabłku  
Adama  
z nadgryzioną  
gęsią skórką  
w boku

## ŁOTR

nie bądź taki  
wyniosły  
nie patrz z góry  
krzywym

jak belka okiem  
mógłbyś chociaż  
kiwnąć palcem  
by wyrwać  
mnie  
z żeber  
kwitnącej jabłoni  
wbrew pozorom  
wiele nas łączy  
ja jestem  
na wyciągnięcie ramion  
Ty o rzut kamieniem  
niebieskim  
od krwi

### TRIDUUM

#### 1. WIELKI CZWARTEK

piję bez pamięci  
wino  
z patibulum  
Twoich warg  
pierwszy łyk  
ma smak  
ostatniej kropli  
krwi

#### 2. WIELKI PIĄTEK

spuszczona głowa  
cisza  
zgięte kolana  
ból krzyża

tyle jestem wart

królu?

### 3. WIELKA SOBOTA

nie zabiłem Cię  
i boję się  
że ożyjesz

taka jest Prawda

## ZUPEŁNIE NIŻYCIOWY PRZERYWNIK ŻYCIOWY

*W oczach Boga wciąż jesteśmy łzami, brudnymi od demakijażu  
naszych sumień*

Korzystając z okazji, że zostałem zaproszony do wzięcia udziału w przedsięwzięciu edukacyjnym „Bookowisko”, organizowanym przez II Liceum Ogólnokształcące w Augustowie im. Polonii i Polaków na Świecie, promującym czytelnictwo i współczesną literaturę różnych gatunków, Dziś chciałbym nawiązać do czwartkowego wieczoru 22 stycznia bieżącego roku. Szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że znalazłem się wówczas w Miejskim Domu Kultury w Augustowie, przytulonym do Rynku króla Zygmunta Augusta. Z ręką na sercu muszę przyznać, że wydarzenia, które miało tam miejsce, nie zapomnę do końca życia. Otóż grupa kabaretowo-teatralna „Antrakt” ze wspomnianego Liceum, pod opieką polonisty Tomasza Choroszewskiego, przygotowała spektakl oparty na opowiadaniu

jednego z augustowskich, prozaików i felietonistów. Felietonisty w sumie też. Tytuł sztuki, o ile dobrze pamiętam, to „Sąd Nie-Ostateczny”. W każdym razie na pewno poruszała ona temat kondycji człowieka we współczesnym świecie, choć paradoksalnie oskarżonym był ślaniający się na nogach Chrystus, a oskarżycielami chrześcijanie wszystkich obrządków istniejących obecnie na świecie. Jakby tego było mało, na wyeksponowanym miejscu, niczym na tabernakulum, siedział wygodnie szatan i zacierał ręce, przysłuchując się obelgom rzucanym w stronę Boga. I właśnie tego diabła, a właściwie diablity (a tak na marginesie: jakiej płci jest zły duch?) nie zapomnę już chyba nigdy: była to młoda dziewczyna, w wyraźnym, atrakcyjnym makijażu. Przyglądając się jej szatańskiej twarzy, oczywiście z na tyle kulturalnym niesmakiem, na jaki tylko było mnie stać, nie byłem właściwie do końca przekonany, czy aby jej purpurowo-czarne usta z jednej strony nie krwawiły jak wargi ubiczowanego, zmasakrowanego Nazarejczyka, a z drugiej strony, i to dosłownie, nie podkreślały ciemnej, grzesznej natury istot stworzonych przez Boga. Przemysłana, wieloznaczeniowa stylizacja postaci stwarza możliwość swobody interpretacyjnej, co stanowi zresztą atut ogólnie pojętej sztuki. I w tym przypadku było to doskonale widoczne. Nie mniej poruszające były postacie chrześcijan ubranych na czarno, a właściwie złych duchów, które jakby spod ziemi (jakie to kapitalne nawiązanie do czeluści piekielnych), znalazły się na scenie, wychodząc, niby od niechcienia, z miejsc przeznaczonych dla publiczności. I tu kolejne nawiązanie do naszych ciepłych, życiowych posadek, tak czule ogrzewanych przez nas pewną częścią ciała. Właściwie to przez dłuższą chwilę nie wiedziałem czy jestem w teatrze, czy w kościele. Gdyby nie wrodzona ciekawość, która, jak wiadomo, stanowi pierwszy stopień do piekła, bez wątpienia trwałbym w nieświadomości do dziś. Uratował mnie jednak przed tym Parakletos - Duch Pocieszyciel, który nie zdołał

wszakże uchronić przed śmiercią Jezusa. Paraklet to Ten, który jest powołany do czyjegoś boku (gr. para-kaleo, łac. ad-vocatus). Objawia on Prawdę i broni Jej przed zakłamaniami świata. Według Ewangelii Jego przyjście było związane z odejściem Zbawiciela, a w przypadku tej konkretnej sztuki łączyło się z uśmierceniem Jezusa przez chrześcijan zastrzykiem, czyli coraz popularniejszą eutanazją, zwaną dobrą śmiercią, oklaskiwaną na stojąco. Takie „nowoczesne”, „ludzkie” zbawianie. Bóg jako antrakt, tolerowany tylko wtedy, gdy zbyt o sobie nie przypomina, taki życiowy przerywnik, który jest zupełnie niezyciowy. Niewinna i czysta łza Pocieszyciela, która spadła na zwłoki Chrystusa, uświadomiła mi po raz kolejny, że w oczach Boga wciąż jesteśmy łzami, brudnymi od demakijażu naszych sumień.

P. S. Podczas całego wieczoru na krześle przy oknie siedziała pewna Pani, redaktor naczelna jednego z najwartościowszych miesięczników wydawanych w północno-wschodniej Polsce. Dzięki jej inspiracji, jak wieść gminna niesie, powstało kilka opowiadań o nadbiebrzańskiej krainie, o czym niżej podpisany może własnym uśmiechem zaświadczyć. Jedno z nich było nawet czytane przez młodzież podczas niniejszego spotkania. Tylko przez wrodzoną skromność tej osoby niniejszą informację zamieszczam jako postscriptum. Dlatego też nie wymienię jej nazwiska. I tak wszyscy wiedzą, o kogo chodzi, Pani Heleno.

## Józef Suchocki

### **Ku obronie**

Flaga na maszcie  
Jak na klombie róże  
Trwają odwiecznej znowie  
Przy wolności  
Przy honorze  
Przy Ojczyźnie  
Jak dziecko przy ojcowskiej dłoni  
Dla losów szczęśliwych  
Tuli się żarliwie do skroni

Orzeł w przelocie  
Jak raj z Jasną Górą  
Trwają w stabilnym splocie  
Ze światłością  
Z prawdą wieczną  
Z drogą życia  
Jak ptak co w skrzydłach dojrzewa  
Śpiewa o miłości  
Wśród korony żywego drzewa

Ty Polsko moja  
Ojczyzno kochana  
Sztandar wpięty w błękicie  
Orzeł w locie  
Dąb prastary  
Ryngraf w tronie  
Mówią o kochanej Ojczyźnie



W każdej świata stronie  
Danej ku wolności obronie

### **U stóp Matki**

Lasy  
Pola  
Łąki  
Raj kwitnie  
Pachnące kwiatki  
Uśmiechają się serdecznie  
U stóp ukochanej Matki

Do mnie chodźcie  
Dzieci moje.  
Dary bierzcie  
Życia zdroje  
Przyszli z serc łuną radosną  
Zasadzili z ciepłą wiosną

Z lasu  
Z pola  
Z łąki  
Gaj kwiatów  
I zobaczyli  
Jak kraj jest w piękno bogaty  
W macierz rodowodem wrośli

### **Kochać**

Kochać się nauczyliśmy  
Ojczyznę ziemską i niebieską

Więc korzeniami wrośliśmy  
Jak drzewa w ziemię polską

Kochać się uczyliśmy  
Jak dzieci; Boga i człowieka  
Więc serca otworzyliśmy  
Na wzbudzenie ogniska

Miłość Ojca i Matki  
Absorbowaliśmy w każdym słowie  
Jak ziemia pielęgnując kwiatki  
Prostując myśli w głowie

Na Jasną Górę depcząc  
I zwyczajem do Ostrej Bramy  
Żywą wiarą zdrowie wieszcząc  
Świtu ziemi szukamy

Obraz nieba chwytając  
W doczesnym przelocie gołębi  
W spadających piórach grając  
Czułość niebieskiej głębi

### **Ojczyzna**

Moja Ojczyzna pachnie  
Jak ciepłe lica matki  
Budzące serca tchnienie  
Zapachem kwiatów łąki  
Niosąc ciepłe promienie  
Na prastare bolączki  
Podając lek w obronie

Pulsującej rzeki

Moja Ojczyzna pachnie  
Chlebem z ojcowskiej dłoni  
Tuląca dziecko godnie  
W nurt bezpiecznej przystani  
Wnikając w nurt głęboko  
Ideałów treść toni  
I syci się Opoką  
W praojców świętej skroni

Z balkonu wciąż spoglądam  
W dom gwieździstego nieba  
Prawdę, Cnotę - tak badam  
Jak buzią pajdę chleba

## Ślady

Zatroskany szedłeś rankiem  
Rysując ślady na szczęście  
Rosę wzbudziłeś ze znakiem  
Dla ludzkich dusz na obmycie

Potrzebne nam przebudzenia  
Odczytać świetliste ślady  
Pójść na zagony sumienia  
Wedle otrzymanej rady

Może w kroplach rannej rosy  
Spotkamy się w pól kąpieli  
Zbudzony ludzki duch bosy  
Włoży nowy strój anieli

Wtedy znowu zasadzimy  
W parkach - lilie odrodzenia  
U bram domostwa ujrzymy  
Jak Bóg powraca z wygnania

### **Kazałeś nam kochać**

Nakazałeś nam kochać wroga  
Tworzyć na ranie zdrowe blizny  
Niełatwa do zdobycia toga  
Droga do kochanej ojczyzny

Między odległymi brzegami  
Rzeka śpiewa pieśń o jedności  
Z miłosiernymi z filarami  
Prowadzącymi do świętości

Włóczędzy z wertepów wyrwani  
Wędrują w radosnym ordynku  
Przecież wiemy - z jasnej przestrzeni  
Melodię słodką wezmą w spadku

Kazałeś nam kochać bliźniego  
Choć to takie trudne zadanie  
Troska o pożytek drugiego  
Ma rozkwiatać w nas jak kochanie

## Regina Świton

### Ziemia Podlaska

malowana pastelami ciszy  
gdzież jak nie tutaj  
w osobliwym kolorycie widoków  
twoją przeszłość odczytać?

z łezką w oku oglądam  
cerkwie synagogi kirkuty  
jagiellońską legendą obrosłe  
zamczyska

ziemia rodzinna bliska  
rozmodlona gobelinami pól  
co dźwigają kłosów pełne ręce  
symfonią Beethovena  
w słowiczej piosence rozjaśniasz  
progi chaty strojnej rzeźbionym  
nadokiennikiem

smakuję cię zmysłami jak tęsknotę  
studziennego żurawia  
w wiejskich opłotkach

ziemia we wstęgach dróg  
lipami słodkich rozkołysanych  
solfeżem świerszczy  
czy wyśpiewam cię muzyką  
moich wierszy?

### Podróż magiczna

Na wzgórze wejdźmy, podziwiać perłę baroku!  
Jak haft, wpleciony w ramy chronionej fortecy,  
gmach zamkowy. Tam wieże, niczym płomień świecy,  
blaskiem potęgi strzelają w niebo. O zmroku

duch przeszłości przybywa. U ciężkich bram czeka.  
Za nim śpieszmy do komnat! Przepych! Kuszą oczy  
arrays. Tutaj złoto, diament blask swój toczy.  
Zygmuntowski skarbiec, zbrojownia, biblioteka.

Jak dźwięk zachodu w Narwi, gaśnie obraz króla.  
Duch powraca. Najjaśniejszego imię sławi.  
W czakramie tej ziemi, gdzie wielkość się zaczęła,

na poszarpanych zgliszczach wiatr historii hulał.  
*Preytfus* podlaski z prochów wskrzesił dawne dzieło.  
Tykocińskie kompendium potomnym zostawi.

*Preytfus* podlaski-Jacek Nazarko, przedsiębiorca  
budowlany z Białegostoku

### W podlaskim dworku

Na wydeptanym progu pamięć przystaje.  
Kluczem wspomnień otwiera porzucone  
tęsknoty. Na fotelu, co czapkę legionisty  
wziął w posiadanie, przysiada porozmawiać  
z ciszą. Czeką, aż przez okienko wysłaniec  
zachodu wpadnie, krwistym menuetem  
koniuszek wygasłego knota rozjaśnić.

Tu genius loci, okryty pajęczyną wzruszeń,  
odsłania czar krainy przodków, ożywia  
uśmiechy wyjęte z wypłowiałych albumów.

Głodna pustka zagląda do kuchni  
jakby chciała usłyszeć szczęk szybra  
w kominie, oddech żeliwnego garnka  
pod bielonym okapem.

Wierna strażniczka dworu, czasem muśnie  
nić uśpioną na kołowrotku, pozdrowi  
pająka, co pod belką, w wianki zielne  
wciśnięty, na korniki spogląda niełaskawym  
okiem. I mysz wypłoszy spod brzozonej  
miotły, aby nie obudziła kukułki uśpionej  
w starym zegarze.

## **Do Jaskranki**

a gdzież twoje nurty  
co chłodem krystalicznym spiętrzone  
wabiły siwki karosze bułany

z lubością wydobywam  
twój szept jagielloński  
w jasyr ziołorośli oddany

tu w piersi łąk wszczepiony  
mój dom rodzinny  
i ty w monodramie tej ziemi  
od zawsze bliska

czy pamiętasz tamte letnie  
wieczory rozdarte echem  
tamburinów płomieniem  
cygańskiego ogniska?

jak wąż rozmigotany  
łuskami słońca na fali  
wiłaś się meandrem szczęśliwym

czy czas cię ocali?

\* \* \*

noc szaroperłową iluzją opada  
w labirynty uliczek  
gęstnieje cisza tylko nad wieżą  
kościelną złota rozeta blask toczy  
świętemu Janowi śle pozdrowienia

w parku Zygmunt August  
odlicza paciorki wieków  
tamte domy synagogi i cerkwie  
jego dwór stadnina  
wiatrem czasu poszarpana  
przestrzeń

ze szczęśliwej planety  
królewskie oczy uśmiechają się  
pełnią

połyskują plejady  
jesień ziewa w wyrudziałych



ogrodach

o czym śni moje miasteczko?

\* \* \*

noc szaroperłową iluzją opada  
swawoliły wróble  
jaskółka śmigła szczebiotem  
poddaszom bliska

weranda lokami dzikiej  
winorośli oczy chroniła  
przed słońcem

wyjęte z albumu nostalgii  
sielskie widoki zagubiona  
w kaskadzie blokowiska  
magia miasta

gdzieś na Siennym  
schodki chwiejne zbutwiałe  
rozdeptuje cisza  
tam bezdomna oknówka  
tęsknotą przeleci

kto ocali echo sentymentalnych  
wspomnień?

poeci!

## Krzysztof Jan Wądołowski

### „Kwiaty zerwane więdną”

Zbierałem kwiaty  
Na łące było ich mnóstwo  
Lecz te w przydrożnym rowie  
Były bardziej szczerze  
Wyciągały do mnie płatki  
I kroplami rosy płakały  
I kroplami deszczu płakały

Wyszło Słońce  
Przestały płakać  
Stały się suche i zbladły  
Obmywałem je w wartkim  
Strumieniu rzeki  
Nabierały rumieńców  
Jak kobieta różowiąca policzki  
Pomyślałem tak:  
- One potrzebują wody  
I gdy tak myślałem  
Pociemniało i stalowa  
Płaszczyna nimbostratusa  
Opadła miliardem  
Metalicznych igieł  
Na wielkie  
Zielone klony  
I na zebrane kwiaty  
Klonowe krople wbijały się

W moją twarz boleśnie  
Wzbudzając uczucie  
Powolnego konania

Wtedy zrozumiałem  
Że kwiaty zerwane  
I tak zawsze zwiędną  
Niech zostaną  
Na łące  
I w przydrożnym rowie.

Przydrożny Rów i Łąka Zielona oczywiście na Podlasiu Anno Domini  
1989

### **Wrócisz do mnie wiosną, gdy zakwitną magnolie**

Wiosny przekwitły  
Lata słońcem zaszyły  
Przewiały jesienie  
Przemroziły zimy

Wszystko już inne  
Tyś tylko niezmieniona  
Kiedyś będziesz moja  
I przyjdiesz wiosną

Gdy magnolie zakwitną  
Gdzie kino dawne  
Przyjdiesz w blasku  
Wiosennego światła

I będziemy razem  
Już do końca

Razem na dobre  
I razem na zawsze.

I twych włosów  
Dotykał będę  
I jak kiedyś w szkole  
Na placu Staszica  
Wąchał je i całował.

### **Napisać chciałem wierszyk dla Tosi**

Wierszyk napisać dla Tosi chciałem  
Rano wstawałem i wciąż myślałem  
Jak sklecić rymy o czym tu pisać  
By wnuczka chciała strofy przeczytać  
Gdy tak myślałem szukając weny  
Nagle się dzieci zmieszały geny  
I z końcem marca przyszła Agatka  
To dla poety wielka jest gratka  
Pisać wiersz dla wnuczek dwóch  
Żeby mówiły nasz dziadek zuch  
A gdy Małgosi przybyła Mania  
Trzecia do wiersza przybiegła panna  
Nie moja wnuczka wprawdzie to jest  
Ale mam gest i dla niej też wierszy  
Zamierzam napisać sześć.  
Dwa dla Filipa, Agatce trzy, sześć dla Marysi  
A dla Antosi aż się prosi dziesięć napisać  
I Paulinie i dla wnuczków Waldka  
Wierszyków zgrabnych, lekkich czytelnych  
O dzieciach mądrych pięknych i dzielnych.

## **„Kapłan z wiatykiem”**

po lekturze poezji księdza Jana Twardowskiego

Szedł kapłan z wiatykiem  
-Zobacz synu ksiądz z wiatykiem  
A on zadaje pytanie;  
-Po co, ksiądz z patykiem?  
-Nie z patykiem, a z wiatykiem.  
Wiatyk synu, to Święty Sakrament  
To Ciało Pana Jezusa  
Widziałem milicjanta  
Był rok pięćdziesiąty dziewięty  
Co klękał w Zawadach  
Na widok kapłana z wiatykiem  
Dziś, ludzie nie chcą widzieć wiatyku  
Wolą nie dostrzegać  
Spodnie można uszargać  
Ktoś się może zaśmiewać  
Kapłan też chyłkiem przemyka  
Jakby się wstydził  
Nagiego Ciała Chrystusa.

## **Bywałem nieraz w Krynkach**

Bywałem nieraz w Krynkach zimą,  
Śnieg przykrywa wtedy wszystko,  
I nie widać brudów wcale  
I nie widać ani zła, ani dobra  
I tylko szczekanie psa,  
I dzwon z kościoła,  
I dzwon z cerkwi,

A przed sklepem Jasiek stał  
I tak wołał:  
Sucho w gardle, piwa brak,  
Bratem bądź, piwo kup  
Albo rzuć złotych pięć!

Bywałem nieraz w Krynkach wiosną  
Zieleń przykrywa wtedy wszystko  
I nie widać brudów wcale  
I nie widać ani zła, ani dobra  
I tylko ptaki śpiewają  
I pies szczeka, i dzwon dzwoni  
I prawosławny i katolicki  
A przed sklepem Jasiek stał  
I tak wołał:  
Sucho w gardle, piwa brak,  
Bratem bądź, rzuć pięć złotych  
Albo piwo kup!

Bywałem nieraz w Krynkach latem  
Zieleń jak na wiosnę przykrywa wszystko  
Wcale zieleń nie przykrywa brudu  
Ale zło wyłazi, a dobro bawi się w chowanego  
Ptaki już ciszej śpiewają, psy za to, z gorąca milczą  
Dzwony i ten katolicki i ten prawosławny dzwonią  
Latem dzwonią jakby intensywniej  
A przed sklepem nie ma Jaśka  
Gdzie się podział, może zniwuje, albo grzybkuje  
Jak on się biedny bez piwa znajduje  
Znalazł się Jasiek, przy innym stał sklepie  
Jest Jasiek, przy innym sklepie latem stoi  
Przy sklepie, z którego na basen bliżej

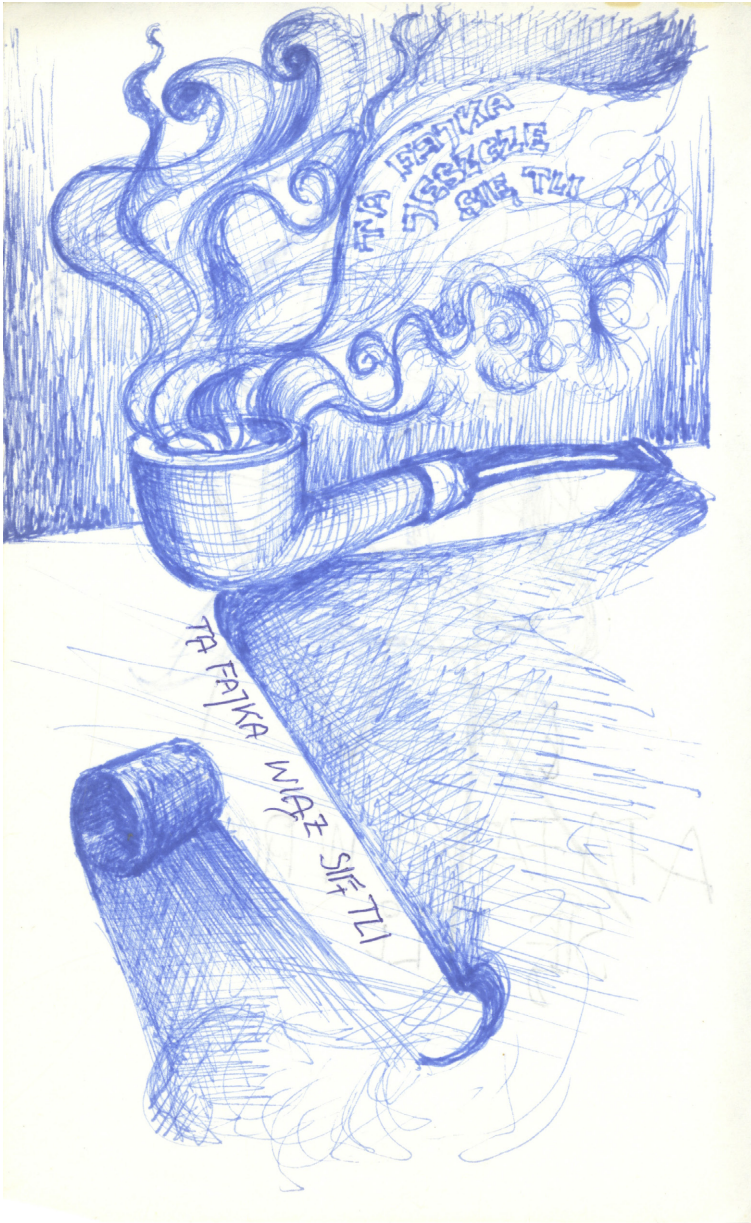
Jasiek stał  
I tak wołał:  
Sucho w gardle, piwa brak  
Bratem bądź piwo kup,  
Albo dychę rzuć!

Bywałem nieraz w Krynkach jesienią  
Deszcz zmył letnie brudy, liście opadły i gniją  
I widać zło, dobro wciąż bawi się w chowanego  
Ptaki odleciały na południe  
Psy szczekają jak najęte  
Dzwon w cerkwi dzwoni i w kościele też, ale jakoś ciszej  
Jasiek nie stoi już przy sklepie.  
I już nic nie woła.  
Był trudny, ale lubiłem drania  
Jak zmarł to też namieszał, ojciec prawosławny, matka katoliczka  
Nie wiadomo na jakim go cmentarzu złożyć  
Już nie usłyszę:  
Sucho w gardle, piwa brak  
Bratem bądź „Wieczny odpoczynek” zmów!  
Będę w Krynkach pewnie zimą znów,  
Kupię piwa skrzynekę, może dwie  
Pewnie jakiś piwosz będzie na ryneczku stał  
Śnieg przykryje brudy wszystkie  
Gdzieś tam za zakrętem szczeknie pies  
I tylko dzwony będą biły tak samo  
I ten prawosławny, i ten katolicki.  
Wypiję za Krynki i za tych co przed sklepem stoją  
I powtarzają Jańskową mantrę:  
Sucho w gardle, piwa brak  
Bratem bądź, piwo kup  
Albo pięć złotych rzuć!

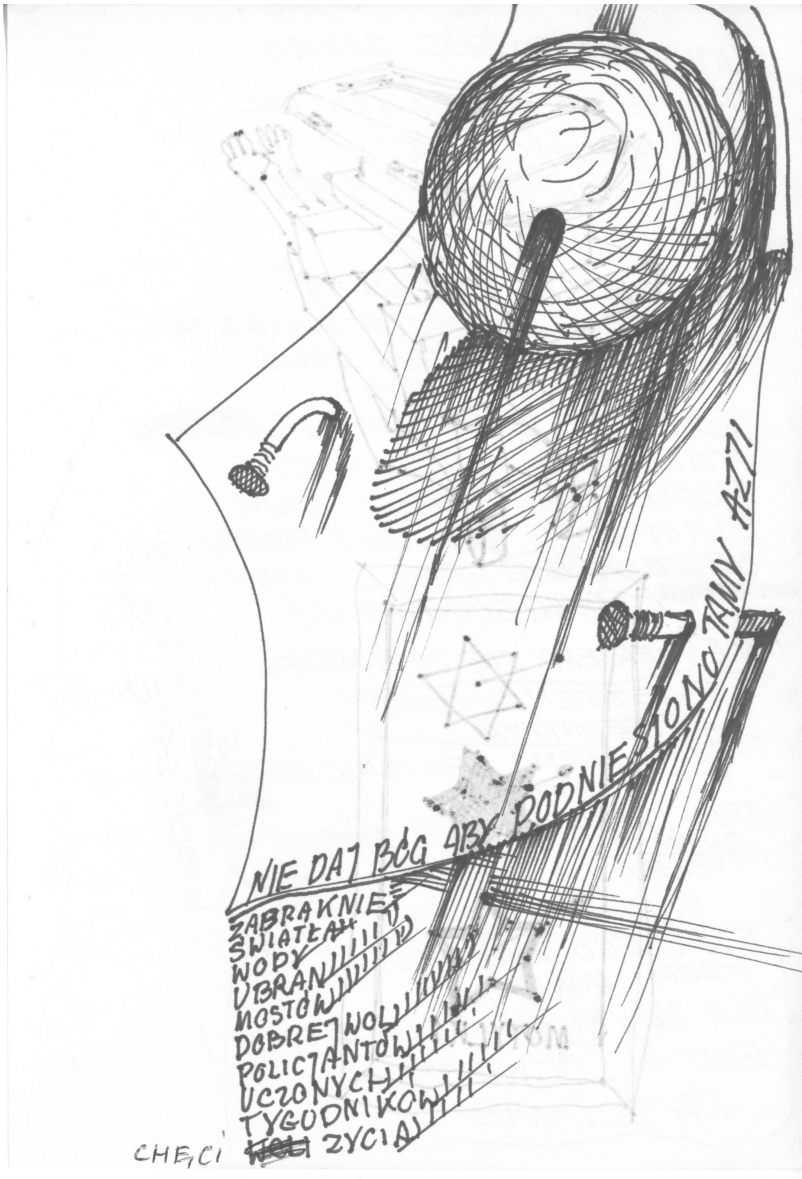
Wojciech Załęski

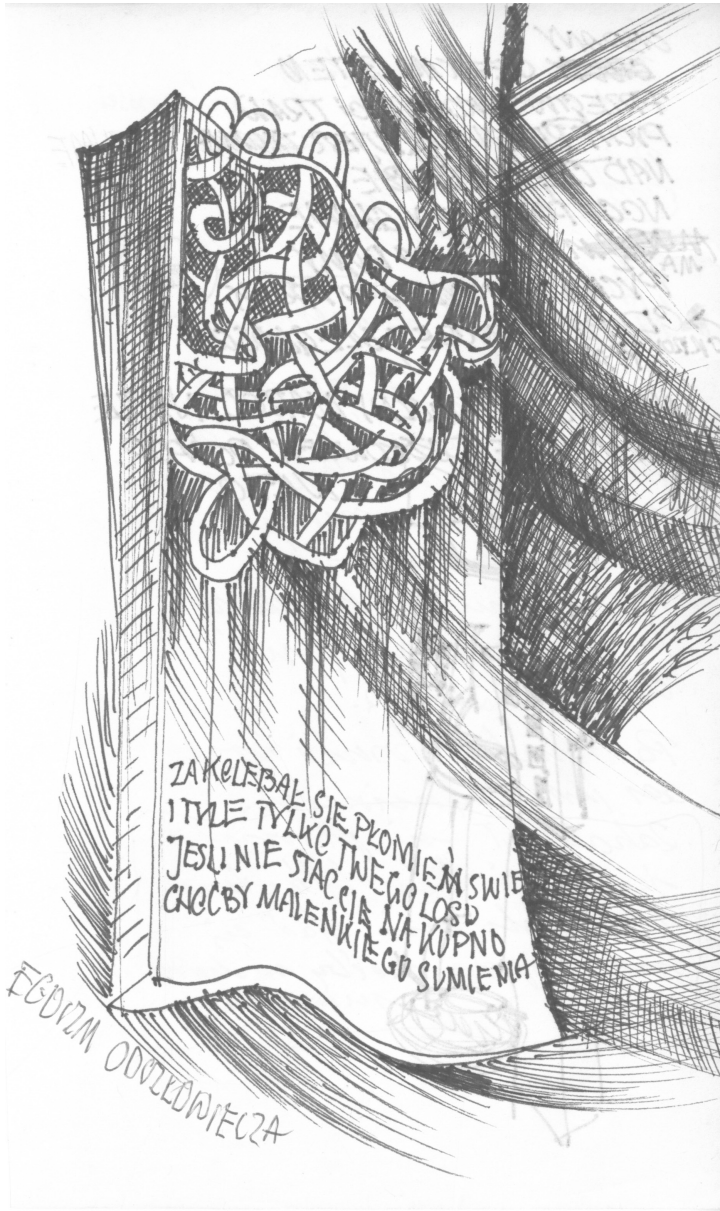






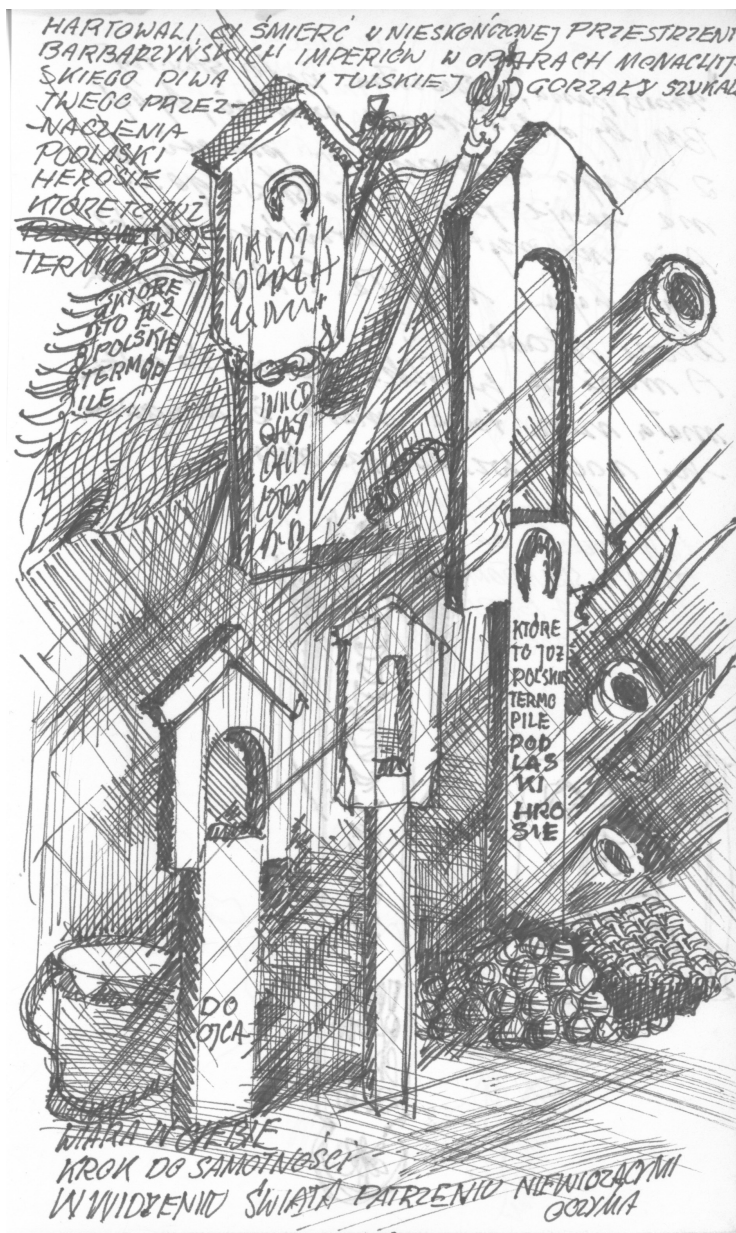












## Ks. Andrzej Ziółkowski

\* \* \*

*(...), której światłem gwiazdy iskrzone.*

Czym sól posolić, gdy smak swój straci?..

Słońce rozżarzyć, by światło dało....

Zieleń ożywić w stepie połaci....

Pustynię wskrziesić do życia całą.

Jak spojrzeć w oczy wciąż zapłakane?..

Połączyć serca bólem rozdarte.. .

Jak dotknąć uczuć, gdy zakazane?

I dłoń wyciągnąć, gdy to niewarte.

Gdzie szukać mocy temu potrzebnej?

Gdzie szukać ciepła, co słońce spali?

Gdzie wody deszczów chmury podniebnej?

Aby pustynię w życie zmieniali?

Pójdź śladem głosu ukrytej duszy.

Zanurz się w głębi miłości daru.

Bo tylko ona skały rozkruszy.

Obdarzy wszystkim, czego brakowało.

\* \* \*

być złotym liściem na ramionach drzewa

gdy promień złoty przenika czule

a drzewo dumnie konarami strzela

pokazując szaty jesieni bezchmurnej



być liściem złotym złotej jesieni  
unoszonym lekko poszeptami wiatru  
by w powietrzu płąsać dalej od korzeni  
i aby życie nie płynęło wartko

a złote śniedzi minionej zieleni  
niech dumą cieszą odeszłego czasu  
wszystko jest złotem od tej jesieni  
i tylko włosy srebrne dla kontrastu

\* \* \*

Uczucie to struny duszy trącane skrzydłami motyla  
Któremu niedane ulecieć w płąsach wolności  
I nawet złota szpilka nie cieszy wiele  
Gdy mociuje jego barwy  
Pomiędzy okładkami poezji

\* \* \*

by zajrzeć po latach  
do domu rodzinnego  
i dotknąć wspomnieniem  
zatroskanie matki  
i stać się napowrót  
dzieckiem rozbawionym  
co z kolan ojca  
zjeżdża jak z huśtawki  
ileż w nim beztroski  
matczynego ciepła

ileż spojrzeń drżących  
z biciem tęsknym serca

lecz lata mijają  
tak szybko  
niechcianie  
jak woda w potokach  
i odlot bocianów

\* \* \*

dwa światy spotkały się na zwykłym drzewie  
dwie belki skrzyżowane  
na skrzyżowanych belkach świat człowieka i Boga  
z góry widać świat jeden  
bo Bóg jest jeden  
Miłość jest jedna  
Odkupienie jest jedno

\* \* \*

Jest taki czas kiedy tchórzostwo jest znakiem odwagi  
Jest czas ucieczek co hańbą nie są  
Są takie jesienne powitania gdy dłoń w kieszeni nie oznacza złych  
manier  
Są oczu spotkania gdy patrzą i widzieć nie mogą  
To czas by trwać pomimo wszystko...  
Najtwardsza skała i tka ma swój początek w gorącej lawie

\* \* \*

brzozy...

wracasz do nich myślami, bo wdzięcznie wtopiły  
się w błękit twoich oczu

jakby wiedziały, że będą w nich bezpieczne  
szumią jak dawniej połyskują drobnymi listkami  
czy są one jeszcze

odkrył je kto czytać umie w oczach  
te same piękne, z rozwichrzonymi gałązkami  
czy zimą czy latem niosą w strony rodzinnego  
domu

brzoza i dom

matka i ojciec

ojczyzna

oby nie utracić niczego

ktoś pokochał te oczy z błękitem ojczyźnianego  
nieba w głębi

a czy pokocha brzozy

a może niby św. Franciszek będzie rozmawiał z

siostrą ziemią naszą

z braćmi ptakami co trzepotem skrzydeł

oznajmują radość istnienia

i z brzozami polskimi

bo w nich tyle chrześcijańskiej duszy...

gdzie czarne to czarne

gdzie białe to białe

\* \* \*

(...) *tracąc wzrok*

Twoją jest zieleń wśród drzew ukryta  
Twoje są kwiaty utkane w łące  
I barwą tęczy radość spowita  
Gdy wzrok kolory pieści pachnące

Nieważne chwile w przeszłości dali  
Nieważne myśli drżenia pytania  
Ważne jest słońce i promyk mały  
I deszcz spragniony ziemi od rana

Niech Twoje stopy ziemię całują  
Dłonie pochwyć ważkę zieloną  
Granatu wieczór iskry malują  
Wyrwane z żaru polan co płoną

By być gwiazdami na ciemnym niebie  
koła zataczać w przestrzeni znikać  
I być pomocne w każdej potrzebie  
Choć światłem gwiazdy ciemność przenikać

Zanuż się w ciepło ramion bezpiecznych  
Wtul dłonie swoje w uścisk miłości  
Odczytaj mowę słów serca wiecznych  
Bo darem dla nas jesteś najprościej

## Laureaci konkursu literackiego

Konkurs Literacki „Srebro nie złoto” organizowany był przez Redakcję „Senior Białystok”, Stowarzyszenie Akademia plus 50 oraz Książnicę Podlaską im. Łukasza Górnickiego.

Wyniki obrad Kapituły Konkursowej pod przewodnictwem Jana Leończuka.

### **I – W kategorii WIERSZ:**

**Trzy równorzędne nagrody otrzymali:**

Krystyna Gudel

Bożena Matwiejczuk

Regina Świtoń

### **Pięć równorzędnych wyróżnień otrzymali:**

Józef Banasiak

Jolanta Maria Dzienis

Janina Jakoniuk

Marek Krysiwicz

Bogusława Wierzbicka

### **II – W kategorii OPOWIADANIE**

**Nagrodę otrzymała:**

Zyta Gieleżyńska.

Wyróżnienie specjalne Redakcji „Senior Białystok” otrzymuje pani Jolanta Maria Dzienis za wiersz „Srebro nie złoto”.

**Członkowie Kapituły:**

- Jan Leończuk – poeta, prozaik, dyrektor Książnicy Podlaskiej w Białymstoku;
- Dorota Sokołowska – dziennikarka radiowa; autorka książek;
- Dominik Sołowiej – dziennikarz telewizyjny, krytyk literacki;
- Bożena Bednarek – dziennikarka, redaktor naczelna senior.bialystok.pl;
- Jolanta Falkowska – sekretarz Kapituły, redaktorka portalu senior.bialystok.pl.

## Krystyna Gudel

### ZACHÓD NAD CMENTARZEM

...i nagle zapłonęły niemal wszystkie znicze.  
W różnobarwnych szybkach obejrzał swe oblicze  
odwieczny Latarnik. Rozkazem bursztynowym  
ożywił smętne kwiaty i lasek brzoźowy,  
co dumkę na dobranoc duchom opowiada.  
Młodniak ożywa. Szata jego wążła, blada  
po zimie, nabiera barw i rozkwita łuną.  
Ptaki szepczą modlitwy, wnet na sen odfruną.  
Na krzyżach pozostanie ognista poświata,  
a woń o smaku miodu poruszy tęsknotę,  
która z wiatrem i trawą wykona rapsodię  
na cześć matki i żony, żołnierza i brata.  
Jeszcze tylko w pokorze raport z wędrowania  
jednooki latarnik złoży u stóp Pana.

## Bożena Matwiejczuk

### Taka miłość

Raz obudzona  
nie zasypia o zmierzchu  
taka powszednia  
jak powietrze  
i taka na życzenie  
na prośbę o wyspy  
najlepiej szczęśliwe

Roztańczy wiosenną łąkę  
nie zmarznie zimą  
krąży po orbicie  
w poszukiwaniu wyjścia  
czasami fruwa pod sufitem  
buja się na żyrandolu  
albo chowa w szafie  
pod jesiennym płaszczem  
mokra od łez

Jedną ręką przytula  
drugą miesza konfitury  
wysyła wiadomości  
maluje rzęsy i kusi  
świeżo zerwanym jabłkiem  
chryzantemy kupuje i róże  
Nie zawsze czerwone

Taka miłość...  
Bez końca



**W sieci**

A ja tu na ciebie czekam  
zmęczona niepokojem  
miotam się w sieci  
strachu splecionego z gniewem  
trafiam w próżnię  
melancholii przemijania  
Jestem dla ciebie  
z przefiltrowanymi marzeniami  
bezzadna ja...  
przyśpieszonym biciem serca  
powstrzymuję życie  
Ja bez dostępu...  
kruche drzewo na wietrze

## Regina Świtoń

### Powroty

Tam, gdzie wilgi srebrne flety grają  
w różowości ogrodu, a u bram dęb  
dłutem czasu rzeźbi pamięć, zostało  
moje dzieciństwo.

Labiryntami dróg, objechaną tęsknotą  
lat, wróciłam do rodzinnej Itaki.

Dom, podziurawiony wichrami dziejów,  
westchnął nadzieją. Uśmiechnęły się  
twarze malw na szybach.

Na poblądłej fotografii oczy matki  
pojaśniały błękitem. Tylko kosarz,  
przerwawszy mantrę pajęczą,  
z niełaskawym okiem umknął do kąta.

A ja, w serce tej ziemi rzucona,  
pozdrawiam klangory wiosennie pachnące.  
Na strunach szczęścia rozwieszam  
cudowne moje TERAZ.

## Józef Banasiak

### POLNE KWIATY

Te kwiaty nie pachną straganem  
Lecz łanem szumiących zbóż  
Z tej ziemi, z tych łąk zerwane  
Piękniejsze od fałszywych róż...

Te chabry i maki czerwone  
Stokrotki i zieleń mych łąk  
Ja do nich się tulę , a one  
Tak czule się tulą do rąk...

Niech cieszą swym pączkiem i listkiem  
To plony ojczystych mych pól  
Są tym, co sercu tak bliskie  
Co koi cierpienie i ból...

Gdy z okna spoglądam dokoła  
Tu – rzeczkę dostrzegam, tam las  
Natura zaprasza i woła  
To wszystko umiła mi czas...

Ta rzeczka, co Białą się zowie  
Tak z prądem do przodu wciąż rwie  
Posłuchaj a ona ci powie  
Tak wiele powiedzieć ci chce...

Ten las, co swym szumem kołyszę  
I łąkę zieloną i kwiat  
Prąd rzeki, szum lasu wciąż słyszę  
Aż w oczach wiruje mi świat...

Upajam się rojem motyli  
Biedronką, co siądzie na dłoń  
Nad głową skowronek zakwili  
I potem zarosi się skroń...

Już słońce wyjrzało z za chmury  
Zapachem zwabiły cię bzy  
I wszystko spogląda do góry  
I kwiaty i ptaki i Ty...

### **TA Z FOTOGRAFII**

Stare, pożółkłe już fotografie  
W rodzinnym przeglądam albumie  
Jednej zapomnieć wciąż nie potrafię  
Jednej zapomnieć nie umiem.

Z tej fotografii spoglądasz mamó  
Jak dawniej, uśmiechasz się do mnie  
I patrząc – czuję wciąż to samo  
Do domu powracam i wspomnień

Tam – widzę mamó twe piękne oczy  
I czoło jeszcze nie pomarszczone  
Do ramion sploty bujnych warkoczy  
Białą kokardą splecione.

Ciągle upajam się twą urodą  
Wciąż widzę cię taką samą  
Dla mnie wciąż będziesz piękną i młodą  
Bo przecież – kocham cię mamó...

## Jolanta Maria Dzieńis

### Srebro nie złoto

Niegdyś zmęczenie w zapał przekuwałam,  
Ot tak, od niechcienia, bez namysłu prawie,  
Słońce mi złoto dniami przyświecało,  
W srebrze Księżycy marzyłam o sławie.

Dzisiaj dzień z nocą w jedno mi się zlewa,  
Uciekając szybciej niż zając od charta,  
Czas o przemijaniu coraz częściej śpiewa,  
Chcąc, bym zrozumiała, o co walczyć warto.

Nieważne są kruszce i błahe błyskotki,  
Wręczane zwycięzcom po zmaganiach wszelkich,  
Liczy się z wdzięczności ludzki uśmiech słodki,  
Za gest dobrej woli, nawet ten niewielki.

Nie każcie wybierać między metalami,  
Kolor ich nieważny, a wartość umowna,  
Srebro nie złoto, powtarzam za wami,  
Pragnąc, bym się stała pamiętania godna...

## Janina Jakoniuk

### Jesienna miłość

Nasza miłość przyszła do nas jesienią.  
Jak gość, wcale nieoczekiwany.  
Dzikię wino płonęło na ganku  
I spadały złoto-rude kasztany.

Babie lato sнуło się nad ziemią.  
Klony stały w ochrach i purpurze.  
Ty nieśmiało popatrzyłeś mi w oczy  
I podałeś herbaciane róże.

Moje serce mocniej zabiło!  
Serca nasze przecież wciąż są młode!  
Cóż z tego, że zmarszczki na twarzy?  
Cóż z tego że czas starł urodę?

Jesienna miłość, przyszła jeszcze do nas,  
Choć oczy blask straciły, posiwała głowa.  
Jesienna miłość, taka cicha i ciepła.  
Taka jesienna, wrześniowa.

*X.2015 r.*

### Samotność

Na dworze znów jesienna słota.  
Ostatnie liście wiatr z drzew zrywa.  
Przy oknie siedzi stara matka,  
Patrzy jak deszcz po szybie spływa.

Herbata w kubku już wystygła.  
Myśli jej błędzą gdzieś daleko.  
Za oceanem dzieci, wnuki...  
Płyną wspomnienia smutną rzeką

Została tutaj całkiem sama.  
Tak wolno płyną te godziny...  
Z każdego kąta pustką wieje  
I nikt nie przyjdzie w odwiedzin.

Cóż począć? Takie jest to życie.  
I łza spod powiek się wrywa,  
Żłobiąc na twarzy nową bruzdę,  
Jak kropla deszczu cicho spływa.

*X.2015r.*

## Marek Krysiewicz

### Bramy brameczki

Dzisiaj zacznę z innej beczki  
Temat prosty i banalny  
Są nim bramy i brameczki  
Ale przyznaj kuriozalny  
Kiedy kogo odwiedzamy  
Nawet już za dawnych czasów  
Kołatano więc do bramy  
Przemierzając wiele lasów  
Zanim tam wpuszczono gościa  
Trwa rozmowa tuż przy bramie  
Wpuszczą lub nie jegomościa  
Pada takie zapytanie  
I tak wiele się załatwia  
Przy tej przysłowiowej bramie  
Przez telefon się rozmawia  
Obok niej nikt się nie łamie  
Interesy randki ściemy  
W bramce się omawia owe  
Czy to chcemy czy nie chcemy  
Gdyby ta mogła powtórzyć rozmowę  
Ona trzyma tajemnicę  
Milczy i nie opowiada  
Zasłoniła ościeżnicę  
Tylko pies przy niej ujada  
I tak ciągle kołatamy  
Poprzez życie w wiele bram  
Do ostatniej zastukamy  
Każdy pojedynczo---sam.



## O ŚWICIE JESIENIĄ

O brzasku budzi się świat do życia pośród wszelkiej wici  
Wśród jesiennych łąk zasnutych dywanami z pajęczych nici  
Poranne rosy spływają po nich udając sznury kolorowych pereł  
w promieniach wstającego  
słońca

Rozciąga się ten widok aż po horyzontu kres jakoby nie było jego  
końca

I tylko kwilenie ptaków burzy błogi spokój jesiennej lekko  
zamglonej łąki

Które szykują się do odlotu ze swoich gniazd na czas długiej  
zimowej rozłąki

W oddali ciemny las skrywający w sobie coś tajemniczego-  
złowrogiego

Który przykrył się kożuchem liści z drzew gotowych do snu  
zimowego

I słyszać tylko ujadanie psa w oddali zza płotu rolniczej zagrody  
Takie są naszej podlaskiej ziemi uroki i jesiennej pogody.

## Bogusława Wierzbicka

### CIEŻKO ZABAWNIE

Tyle smutku noszę,  
tyle serca,  
tyle miłości,  
tyle żalu.

Gdy dodamy:

ścięgna, kości,  
łzy i myśli.

W zimie:

swetry, płaszcze  
i barchany.

Nic dziwnego, że mi ciężko  
że przysypiam, odpoczywam,  
sapię, dyszę, ubolewam.

Podsumowanie wygląda  
Błado, nieudacznie.

Ciężko – chwilami zabawnie!



## Zyta Gieleżyńska

### Pierwsza praca

Uczyłam się w technikum budowlanym w Białymstoku. Do szkoły dojeżdżałam PKS-em, z podbiałostockiego miasteczka. Bilety były miesięczne na wyznaczone godziny, co było bardzo niewygodne. Przecież lekcje kończyły się różnie. Przejazd był możliwy tylko raz, tam i z powrotem. No i w końcu skończyła się mordęga dojazdów jak śledzie w beczce, a nieraz w ciężarówce rytej plandeką, gdzie nad głowami mężczyźni palili papierosy. Wchodziło się tam po drabinie zrobionej z rur wodociągowych.

Uzyskałam dorosłość, którą nabyłam w raz z maturą, i trzeba było iść do pracy. Praca była obowiązkowa. Byłam pozytywnie nabuzowana na każde stanowisko. Miałam nawet „etat” uzgodniony z przedsiębiorstwem budowlanym, gdzie byłam na praktyce. Niestety, powstało nieporozumienie zwane niedomówieniem.

Do tej pory były „nakazy pracy” po szkole, ale akurat zostały zlikwidowane. Dyrektor zorganizował przedstawicieli zakładów pracy z regionu, którzy potrzebowali pracowników. Przedstawiciele, jeden po drugim życzyli sobie tylko chłopców. Niestety, a tu, jak wszędzie, większość dziewcząt. Z takim zapotrzebowaniem wystąpił też przedstawiciel z uzgodnionego wcześniej „Kombinatu budowlanego”. Na moje zdziwienie nie reagował. Byłam zdezorientowana. Trudno!

Mój dyrektor z coraz większym zdenerwowaniem przysłuchiwał się wywodom gości. W końcu wypalił, że nie odpowiada mu taka segregacja absolwentów i powiedział, że on da jedną dziewczynę, która zastąpi trzech chłopców! I tu padło moje nazwisko! No i pięknie, i strasznie! Praca w terenie, rok 1959. Dojazd komunikacją łączoną (PKS, PKP). Brak bezpośredniego połączenia z Białymstokiem. Pół dnia trzeba jechać. Mieszkanie - czy ja zarobię na własne

utrzymanie? Ale cóż, mam się wycofać? Zawieść dyrektora? Po takiej rekomendacji? Trudno jądę! Co będzie, to będzie. (Po zebraniu wyjaśniło się, że skoro miałam zaklepane wcześniej miejsce do pracy, to powinnam się tego trzymać. Tylko nikt mi wcześniej o tej strategii nie poinformował).

Ten, co mnie dostał, był przedstawicielem Powiatowej Rady Narodowej, na zachodnich rubieżach województwa. Tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. Powiatowa Rada pomogła mi znaleźć lokum. Był to malutki pokoik z oknem na ulicę, na parterze. Miałam metalowe, rozhuśtane łóżko, biurko, miskę do mycia się na starym taborecie i jednopalnikową płytkę elektryczną. Szafy nie miałam, bo i nie było na co. Miałam jedną niewielką walizkę.

Pan architekt powiatowy, warszawiak, słomiany wdowiec! Żonę i dzieci zostawił w Warszawie, a tu w powiecie uchodził za kawalera na „głodzie”. Stwarzał mi niedwuznaczne sytuacje. Ale ja ciemna ze wsi dziewczyna nie domniemałam, o co mu chodzi. Pan jeździł w teren, robił pomiary siedlisk chłopskich, brał pieniądze, a mi w nocy przywoził szkice do wykreślenia i groszowe ochłapy. (Był tam też kolega ze szkoły - jemu nie nosił). Ale jakoś mi się udawało pozbywać jego towarzystwa i - jak się potem okazało - tajemnicą poliszynela było, że mnie nachodził. Z kolegą nie miałam układów towarzyskich, on był z innej klasy i biegał za miejscowymi pannami. Aż tu któregoś razu pan architekt zabrał mnie ze sobą w teren. Niedaleko. Pojechaliliśmy motorem marki WFM. Pomierzyliśmy razem. Gospodarz nas ugościł. Oczywiście nie zabrakło wódki, której ja nie umiałam i nie chciałam się uczyć pić. Niestety, komenda: pij! Nie było o czym dyskutować. Mnie, ze względu na brak treningu w tym kierunku, nawet mały kieliszek zniewala głowę. Tak też i było. Architekt jakoś się trzymał.

Wyjeżdżamy. Wyjazd z posesji, mimo mego zachwiania odbieram, że skręciliśmy nie w tym kierunku, o czym nie omieszkalam

poinformować „kierowcę”. Ssssiedź! Siedzę. Jedziemy szosą, po bokach pole. Pole się skończyło. Zaczął się las. Jedziemy dalej, ale już nie szosą, a drogą, potem dróżką... ścieżką i koniec! Krzaki. Zzzzła! Zlazłam. Stoję sierota w niebiesko – chabrowej sukience, wąskiej... przerobionej z amerykańskiego ciucha. Sama przerabiałam. Sukienka miała pionowy rząd guzików emitujących rozpięcie. Nie było prosto, rozpięcia nie było! No to się zaczął kocioł. W końcu otrzymałam „propozycję”: Albo..., albo piechotka! Zrobiłam szybko kalkulację na drogę powrotną, uwzględniając piechotę. Wyszło na to, że dojdę! Nie w ciemną bita. Trafie. Pan pojechał. Było już późno po południu. Podniosłam się i zaczęłam wybierać mchy z włosów i odklejać czarne jagody z sukienki. Byłam jak biedronka, tylko nie w tym kolorze. Mimo że sukienka była niebieska, to czarne plamy po jagodach były nawet pod pachami. Przeliczyłam, że jak dobrze pójdzie, to - dopóki dojdę do szosy i potem do miasta - będzie ciemno i się przemycę. Jak tak się trochę oczyściłam i znalazłam ścieżkę, patrzę... pyr, pyr... WFM-ka jedzie... Siadaj! Cóż było robić. Wsiadłam. Wysadził mnie pod domem bez słowa, jeszcze nie było ciemno. Pan Architekt z Warszawy a kultury za grosz. On nawet nie zapytał mnie, czy ja „Lermontowa znaju”, było tylko z miejsca „łazyś”. Żadnej kultury, żadnego podejścia seksownego. (Za wielkiego doświadczenia w zalotach nie miałam, poprzedni „narzeczony” na randkach do kościoła mnie prowadził). Ale jakby tym jego zalotom towarzyszył jakikolwiek miły gest, to nie wiem czy by mnie nie uwiódł. Jemu szkoda było fatygi na umizgi. Przez parę dni nie odzywał się do mnie i mało do kogo. Był obrażony na cały świat.

Na tej obcej ziemi byłam sama. Brak towarzystwa i jedzenia. W mieście był jeden sklep mięsny, czynny we wtorki i piątki, wtedy gdy były jarmarki. W sklepie pot i łyż. Smród. Zapamiętałam jedną kiełbasę w papierowej kieszce, a w środku mazia, którą trzeba było jeść łyżką. Sama tego nie kupiłam, nie było takiej możliwości. Dostałam

zawsze chociaż kawałek od tubylców, żeby chociaż polizać ten papier. Ja mięsożerna, nijak nie widziałam tam sobie bytu. Na śniadanie codziennie „Petity-Burery”, najadłam się ich na całe życie. Do dziś omijam z daleka. Chodziłam dosłownie głodna. Obiad: na maszynie smażone kartofle al’a frytki. Na kolację makaron z sokiem wiśniowym. Makaron, który w domu nie przechodził mi przez gardło nawet z gulaszem. I tak codziennie, aż przez znajomości w Białymstoku załatwiono mi obiady w kasynie - konsumach, gdzie stołowali się pracownicy Sądu, Milicji i Prokuratury. Te obiady też nie wyszły mi na dobre. Odbiły mi się czkawką. Tam nażyłam się przyszłego męża, który w życiu okazał się nie do strawienia.

Jeździłam w teren na rowerze, po piachach. Raz udało mi się pojechać daleko na Kurpie, ale nie udało się wrócić. Musiałam nocować i czekać na dyliżans pocztowy, aby mnie z stamtąd wywiózł wraz z rowerem. Gospodarze ugościli mnie rosółem z własnej kury. Jeden był w tym problem: nie był osmalony (miał takie długie rzadkie włosy) i w rosole nie było żadnej włoszczyzny, czysta żółta woda. Mimo mojej ochoty na każde mięso, trudno było to zjeść: wionęło kurnikiem. Tak życie płynęło. Było jeszcze lato. Przyjechała do mnie koleżanka ze szkolnej ławki. Pojawiła się w mieście nowa „skóra”. Architekt już wyluzował. Zorganizował party. W założeniach miał to być wieczór w szerszym towarzystwie, a wyszło na dwie pary. Ja i koleżanka, architekt i weterynarz miejscowy lowelas. (Na pewno nas okłamywali, bo byśmy nie zgodziły się na takie party). Panowie uraczyli nas alkoholem. Pierwsza dawka nas nie zniewoliła, bo nie piłyśmy. Uzupełnili. We własnym podnieceniu nawet nie zauważyli, że my nie pijemy. Trzeciego rzutu alkoholu, już nie opłacało się im stawiać. Pewnie za drogo by to im wyniosło, Sami nawet byli nieźle nawaleni. Wzięli się na żywioł. Weterynarz koleżankę, a architekt nie zmienił zapędów. Znowu wystartował do mnie. Usiłował mnie przewrócić. W odruchu samoobrony chwyciłam go za kłapy pod

szyją i z rozmachem pchnęłam go do tyłu. Tak go machnęłam, że mu nogi nie nadążyły za tułowiem. W końcu padł na tyłek pod ścianą. Zerwał się na równe nogi z rozbawioną miną. Lecz w sekundzie dotarło do niego, co się stało. Taka gówniara warszawiaka załatwiła. No! i odezwał się w nim byk! Jak mi przywalił z liścia w czapę, tak że ja zrobiłam wiatraka w powietrzu i spadłam na głowę i lewe ramię. Spadającymi nogami walnęłam w blat stołu, którego butelki i inne szkła wyleciały w powietrze. Na tym „koniec balu panno lalę”. Panienki nienaruszone, a jedynie poturbowane wróciły do domu. Architekt przez tydzień nie pokazał się w pracy. Było miło i spokojnie. Mnie natomiast coraz bardziej zaczęło dokuczać zbite lewe ramię. Był problem z ubraniem się, toaletą, a nawet przewrócenie się na łóżku.

Poszłam do lekarza, następnie do szpitala. Leżałam kilka tygodni, w tym powiatowym szpitaliku, na skraju małej miejsciny. Byłam najmłodszą pacjentką i jedyną, której nikt nie odwiedzał. Nie miałam nikogo znajomego w tych stronach. Do innych przyjeżdżali przeważnie z sąsiednich wsi i dowozili wałówki, dokarmiali! Mnie nie było komu. Jedzenie było bardzo słabe, a talerze - blaszane i niejednokrotnie dziurawe. Pamiętam, jak obawiałam się, żeby mi kotlet mielony nie wypadł przez dziurę. Pewnego piątku zapach śledzia i cebulki rozniósł się z piwnicznej kuchni od samego rana. Na śniadanie nie dali! Na obiad też nie! No to myślę sobie, że na pewno dadzą na kolację! Przyszła kolacja... i też nie! Byłam zawiedziona niesamowicie. Cały dzień żyłam tym zapachem, a tu nic! Wyżywienie to było tylko na przetrzymanie do dostawy posiłków od rodziny. Ja głodowałam, bo nie jadłam nic mlecznego i nikt mi nie donosił. Codziennie po obchodzie dostawałam zastrzyki dożylnie. A w ten piątek zapomnieli o mnie. Po kolacji zgłosiłam się do dyżurki pielęgniarek z zapytaniem, co jest z moim zastrzykiem? Okazało się, że zapomnieli. W związku z czym postanowiono zaniedbanie naprawić. Iglę pielęgniarka wbijała bez podparcia mej ręki i nie trafiła



w żyłę. Ból, jaki rzucił mi się na mięśnie poniżej i powyżej łokcia, spowodował, że ogryzałam rękę. Pielęgniarki wpadły w panikę. Nie wiedziały, co ze mną zrobić. Pytająco mnie potrząsały, a wtedy wykorzystałam sytuację i krzyknęłam: „ja chcę śledzia”! Obie panie rzuciły się na schody do piwnicy, mnie zostawiły samą z problemem, ale śledzia dostałam szybciej niż myślałam. W ułamku minuty był płat śledzia na talerzu obłożony plasterami cebuli. On na mnie czekał! (i talerz nie był blaszany!) To dopiero była uczta!

Po szpitalu na zwolnienie pojechałam do domu, a przed wyjazdem złożyłam wypowiedzenie z pracy. Gdy przyjechałam po zwolnieniu, po swoje rzeczy, nikt mnie o nic nie pytał. Na rozwiązanie umowy o pracę wyrażono zgodę, bez wyjaśniania, dlaczego odchodzę. Tak zakończyła się moja kariera zawodowa na wygnaniu. Kolega został. Nie miałam później z nim kontaktu. Architekt jeszcze parę lat pracował. Dziś takie zachowanie szefa to jest mobbing i molestowanie, a wtedy to była „podległość” względem szefa.

Teraz z perspektywy czasu to nie wiem, czy warto było tak się „stawiać”. Teraz na starość wychodzą skutki „przesilenia fizycznego”; skolioza kręgosłupa, powypadane dyski... chociaż to też było jakieś doświadczenie. Ale cóż, wtedy telewizorów nie było, to skąd mogłam wiedzieć, że każda panna jest do powszechnego użytku!

Do domu wróciłam w grudniu. W budownictwie sezon ogórkowy. Znany kierownik budowy szukał mi pracy. Znowu jest praca, dopóki nie wyjdzie na jaw, że dziewczyna. W tym czasie lekarstwem na każde zło społeczne była „FALA 56”, taka dzisiejsza Elżbietą Jaworowicz. O swoim problemie tam doniosłam: że ja tu taka wyuczona nie mogę znaleźć pracy i... wtedy to już praca mnie szukała.

## Noty o autorach

Apoloniusz Ciołkiewicz – satyryk, poeta, szaradzysta. Autor pięciu książeczek satyrycznych zawierających wiersze satyryczne, fraszki, aforyzmy oraz autor i współautor dwóch tomików lirycznych. Od roku 2012 mieszkaniec Białegostoku.

Barbara Noworolska – poetka, doktor literaturoznawca, wieloletni nauczyciel akademicki studentów białostockiej filii Uniwersytetu Warszawskiego. Autorka „Eliza Orzeszkowa: trwanie, pamięć, historia” (2005).

Bogusława Wierzbicka – od 35 lat mieszkanka Białegostoku (ur. w Oświęcimiu). Śpiewa, pisze wiersze. Słuchaczka Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Uczestniczy w zajęciach sekcji teatralnej i taneczno – wokalne chóru „Astra”. Jej wiersze opublikowano (w ramach międzynarodowego projektu BASE) w zbiorze „Bąble na duszy”.

Bożena Matwiejczuk – ur. w 1950 roku w Białymstoku, od 2004 na emeryturze, nauczycielka, inżynier, matka, żona i babcia czwórki wnuków. Kocha muzykę klasyczną, uwielbia czytać i podróżować. Wiersze pisze od czternastu lat. Współredaguję gazetkę „Wiecznie młodzi” na białostockim Uniwersytecie Trzeciego Wieku.

Bożena Siemieńczuk – Bartoszewicz (pseud. Bożena S. Bart) – pisarka, nominowana do Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego za książki „Słoń z ulicy Odeskiej. Opowiadania przy kawie” i „Cytrynowy sad. Opowiadania z lotniska”.

Danuta Bartosz - poetka, absolwentka UAM w Poznaniu (Wydział Prawa i Administracji). Autorka 18 tomików wierszy,

m. in. „Szukając Jego śladów” i „Zapach kadzidła”. Animatorka kultury. Uczestniczka 51. edycji Struga Poetry Evenings w Macedonii.

Edyta Sawicka – ur. 18.10.1976 roku w Białymstoku. Historyk. Pracowała w Instytucie Pamięci Narodowej (Oddział w Białymstoku). Współautorka artykułu „Zbrodnie sowieckie na obrońcach Grodna 1939 r”. Jej opowiadanie „Kochane Grodno i kochana miłość” ukazało się w Biuletynie Stowarzyszenia Przyszań. Laureatka wyróżnienia w konkursie literackim „Wspomnienia nie do podrobienia”.

Edyta Ślęczka-Poskrobko – poetka, współautorka i współorganizatorka m. in. międzymiastowego projektu poetyckiego „Jesienny liść poetycki”. Debiutowała na łamach czasopisma EPEA w roku 2000. Autorka m. in. tomików poezji „Miłośnik”, „Gwiazdnik”, „Podróż na księżyc” oraz monodramatów poetyckich „Pieśni pragnienia” oraz „Moi mężczyźni”.

Edward Józef Przebieracz – ur. 1962. Absolwent Studium Filozoficzno-Teologicznego Księży Jezuitów i Wydziału Teologicznego KUL. Dyrektor Wydawnictwa św. Macieja Apostoła. Autor kilku tomików wierszy, m. in. „Prawdziwa sława” (1995), „W krainie chleba” (2000), „Perły i wiersze” (2011). Opracował kilkadziesiąt almanachów poezji religijnej.

Eligiusz Buczyński – ur. w 1978 r. w Białymstoku, absolwent kulturoznawstwa, poeta, bibliotekarz. Wydał dwa tomiki poetyckie, „Oddechy” (2006) oraz „duch osobny” (2015). Publikował w Portrecie, Odrze, Interze, Akancie, Cegle oraz Bibliotekarzu Podlaskim.

Eligiusz Dymowski – ur. 04.07.1965 w Sannikach na Mazowszu. Franciszkanin, wykładowca teologii pastoralnej, poeta i krytyk literacki, doktor. Przełożony i proboszcz franciszkańskiej parafii w Krakowie-Bronowicach Wielkich. Zajmuje się pracą dydaktyczną, naukową i literacką. Autor licznych publikacji z zakresu teologii

i literatury. Opublikował m. in. tomiki wierszy: „W cieniu drzew”, „Wołanie głębin”, „Krople nadziei”.

Erazm Stefanowski – autor poezji, prozy, felietonów i esejów. W 2006 r. wydał tomik poezji Zaprawione mirrą, natomiast w roku 2014 ukazał się debiut prozatorski autora Nie wiary godne.

Grzegorz Nazaruk – urodzony 26.05.1968r w Grajewie, mieszka, pracuje i tworzy w Białymstoku. Członek Nauczycielskiego Klubu Literackiego. Píše wiersze, limeryki i fraszki, interesuje się amatorsko fotografią i grafiką. Współautor tomiku „Nad przepaścią uczuć” (Kajety Starobojarskie – Nr 9, Białystok 2015). Publikuje w antologiach i almanachach oraz w kwartalniku „Najprościej”.

Halina Alfreda Auron – emerytowana nauczycielka, laureatka ogólnopolskich konkursów poetyckich. Uprawia poezję i prozę. Jej wiersze publikowane były w prasie i w wydawnictwach zbiorowych. Autorka tomików poezji Jest w Tobie moja trwoga (2005) i Bywa taki dzień (2011).

Hanna Karaś-Karp – ur. w Suwałkach, doktor nauk teologicznych. W obszarze jej zainteresowań naukowych znajduje się szeroko rozumiana tematyka religijno-cywilizacyjna, a także świat współczesnych mediów. Wydała książki: „Quo vadis Nowa Ero? New Age w Polsce” (1999), „Cuda na sprzedaż. Oblicza polskiej transformacji” (2008). Píše i publikuje wiersze.

Hubert Piętka – z wykształcenia polonista, historyk, bibliotekarz i informatyk. Interesuje się literaturą, historią, sportem i muzyką.

Irena Batura – ur. 01.08.1950 w Rzeszowie. Ukończyła m. in. filologię polską w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Rzeszowie. Wspólnie z mężem Wojciechem zajmuje się pisaniami przewodników

turystycznych i esejów krajoznawczych o ziemi augustowskiej i sejneńskiej. W 2009 r. wydała w Krakowie tomik „Odmierzam przestrzeń i czas”.

Izabela Iwańczuk – poetka, rocznik 1976. Mieszka w Słupsku. Publikowała w almanachach, antologiach i pismach literackich. Dotychczas wydała cztery tomiki poetyckie: „Róża frasośliwa” (2000), „Koperta bieli (2006), „Lunatycy (2008) – wyróżnienie na X Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Leopolda Staffa (Starachowice2007), „Perły wieczne” (2012).

Jacek Juskiewicz – kulturoznawca, krytyk sztuki, poeta i prozaik. Utwory publikował m. in. w Kwartalniku literacko-artystycznym *Metafora* (2014) oraz antologiach pokonkursowych i wydawnictwach zbiorowych obejmujących referaty i artykuły pokonferencyjne z zakresu literatury. W 2015r. ukazał się tomik *Do Hioba* wydany nakładem Książnicy Podlaskiej.

Jan Leończuk – poeta, eseista, tłumacz. Absolwent filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Autor wielu tomów poetyckich i prozatorskich. Debiutował w Kontrastach 1970 r. Jego utwory drukowały m. in. „Poezja”, „Literatura”, „Tygodnik Kulturalny”. Laureat nagrody im. Pietrzaka w 1991 roku. W jego tłumaczeniu ukazały się wiersze m. in. Nadziei Artymowicz, J. Geniusza, Hatifa al-Janabiego. Trzykrotny Laureat Nagrody Literackiej im. Wiesława Kazaneckiego.

Janina Bagińska – emerytowana nauczycielka, biolog. Mieszka w Knyszynie. Autorka tomiku wierszy „Spojrzenie za siebie” (2013). Zafascynowana przyrodą, roślinami ozdobnymi w ogrodach.

Janina Jakoniuk – ur. w Brańsku na Podlasiu. Z wykształcenia mgr prawa i administracji państwowej, od 2010 r na emeryturze. Autorka wierszy i obrazów. Maluje pejzaże i kwiaty. Pisze o przyrodzie.

Janina Osewska – poetka, pedagog i animatorka kultury. Opublikowała tomiki wierszy: *W stronę ciszy* (2003), *Do czasu przyszłego* (2007) oraz *Tamto* (2015). Publikowała m. in. w Toposie, Borusii, Gazecie Olsztyńskiej, Znad Wili, Almanachu Sejneńskim, Ciechanowskich Zeszytach Literackich, Najprościej, Literatūra ir menas (Litwa) oraz w licznych antologiach.

Janusz Andrzejczak – poeta, nauczyciel, pedagog, mieszka w Toruniu. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (Oddział w Warszawie). Absolwent Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Autor krótkich opowiadań oraz kilku zbiorów wierszy, m. in. „Łagodnia”, „Ulotnia”, „Przedziwnia”, „Ballada o Genku”. Maluje, rysuje, dla siebie i innych.

Jerzy Fryckowski – mieszka i pracuje w Dębnicy Kaszubskiej. Nauczyciel i animator kultury. Także satyryk, krytyk literacki, redaktor i dziennikarz. Publikował w ponad stu lokalnych i ogólnopolskich czasopismach kulturalnych i społecznych. Jego wiersze znajdują się w 270 antologiach i almanachach pokonkursowych. Wydał 12 tomów wierszy m. in.: „Cierpliwość ubogich”, „Zaufać ślepcom”, „Między Tobą a snem”.

Jolanta Maria Dzienis – (ps. lit. Ismogena), Białostocczanka. Píše wiersze i opowiadania. Publikowała w witrynach internetowych „Kronikarz – Magazyn Obywatelski” oraz „Twoje Wiadomości”. Jej teksty drukowały strony polonijne, m. in. australijski „Puls Polonii”. W konkursie Dziennikarz Obywatelski Roku 2011 zdobyła pierwsze miejsce w kategorii „Styl życia” za opowiadanie „Niebo zaczarowane”.

Józef Suchocki – poeta, absolwent Wyższych Studiów Teologicznych w Warszawie, nauczyciel (emeryt) związany z Suwałkami.

Józefa Drozdowska – poetka, autorka książek dla dzieci, bibliografii oraz małych form prozatorskich i dziennikarskich, regionalistka, animatorka życia literackiego, bibliotekarka. Wydała m. in.: „Sanktuarium Maryjne w Studzienicznej” (1997), „Dolina mojej rzeki” (1988), „Miejsce zamieszkania” (1992), „Rozmowy z Izabelką” (1996), „Rzeka Siloe” (1998), „Szpaki dziwaki” (1998), „Miesiące: etymologia, przysłowia, święta” (2001).

Józef Rafał Banasiak – ur. 15.11.1938 r. w Piotrkowie Trybunalskim, zm. 19.07.2015 w Białymstoku. Autor kilku tomików wierszy, m. in. „Od raję do dziś” (1998) „Plamy i cienie półwiecza” (1995), „Koń by się uśmieł” (2003) „Lewica prawica” (2003). Publikował na łamach „Kuriera Podlaskiego” i „Gazety Współczesnej”. Autor repertuaru satyrycznego Kabaretu „Szpilka”.

Julia Kaczmarzyk – uczennica trzeciej klasy Gimnazjum w Ciasnej k. Lublińca, dwukrotna laureatka Powiatowego Konkursu Jednego Wiersza: Grand Prix, Kochanowice 2014; I miejsce w kategorii gimnazjum, Pawonków 2015. Publikacja zwycięskiego wiersza na okładce Magazynu Społeczno-Kulturalnego „Ziemia Lubliniecka”, nr 2/2015.

Juliusz Batura – prozaik, artysta grafik, instruktor plastyki, absolwent matematyki na Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. Zilustrował kilkanaście książek, m. in.: „Porwanie w Tiuturlistanie”, „Białowieskie opowieści” (1990), „Korona i miecz”, „Kwiatki św. Franciszka”, i wykonał ponad 900 ekslibrisów, prezentowanych na wystawach w kraju i za granicą.

Krystyna Gudel – ur. w 1959 r. w Suchowoli; nauczycielka nauczania zintegrowanego i polonistka (od kilku lat na emeryturze). Autorka tomików: „Sady pozostawione” (2003), „Stopy na ścieżkach” (2008), „Tam rodziły się tęsknoty” (2011). Współautorka tomiku

„Ona” (seria „Kajety Starobojarskie”), napisanego wspólnie z Joanną Dawidziuk.

Krystyna Perkowska-Mazerska (pseud. lit. Krystyna Perk) – autorka dwóch tomików poezji: „Żar” (1998) i „By zdążyć (2007)”, polsko-angielskiego zbioru aforyzmów „Toast” (2001) oraz angielsko-polskiej bajki „Ruby`s Houses” („Domy Rubinki”) (2014). Laureatka pierwszej nagrody w ogólnopolskim konkursie „Natura moich okolic” (2015) za opowiadanie „Raj”.

Krzysztof Jan Wądołowski – ur. w 1953 r. w Grajewie; pisarz, autor książek „Mordechaj Levi z Tykocina (2008) i „Fotele Dwa” (2014). Współzałożyciel lokalnych czasopism na Mazowszu „Słówko” i „Wiadomości Mazowieckie”. Przygotowuje trzy nowe książki: „Pokręcone ścieżki”, „Krzyże” oraz zbiór opowiadań „Belgijskie czekoladki”.

Ks. Andrzej Ziółkowski – ur. w 1958 r. w Białymstoku, kapłan archidiecezji białostockiej, autor wierszy recytowanych między innymi przez aktorkę Annę Nehrebecką.

Ks. Rajmund Ponczek – ur. 30.06.1958 roku w Starogardzie Gdańskim. Ukończył Wyższe Seminarium Duchownego diecezji chełmińskiej w Pelplinie. W 1983 roku otrzymał święcenia kapłańskie. Ma na swoim koncie szereg publikacji w periodykach i tygodnikach katolickich. Jest autorem trzech książek. W 1999 r. obronił doktorat z teologii na ATK w Warszawie (obecnie Uniwersytet kard. Wyszyńskiego).

Lech Wilczek – polski przyrodnik, artysta fotografik, i pisarz. Studiował w warszawskiej ASP. Jest autorem książek i albumów fotograficznych o tematyce przyrodniczej. Od 1971 mieszka w leśniczówce Dziedzinka, niedaleko Hajnówki, w Puszczy Białowieskiej. Autor m.in.: Oko w oko (1959), W kropki i w paski



(1961), Jajko jajku nierówne (1961), Opowieść o kuku (1996), Opowieść o borsukach (2005), Spotkanie z Simoną Kossak (2012).

Małgorzata Dobkowska – poetka, bibliotekarz, białostoczanka. Ukończyła WSP w Olsztynie . Publikacje m. in. w : „Studium” , „Kartkach” , „Kulturze” , „Poezji Dzisiaj”. Nagrody: m. in. Grand Prix – Laur Klemensa Janickiego, Poznań 2003. Debiut – tomik „Zatopione w słowach” (1999). Nagroda Literacka im. W. Kazaneckiego za tom „Azymut” (2006). Najnowsza książka – „Przełęcz” (2015).

Marcin Powichrowski – krytyk literacki, dziennikarz, publicysta. Absolwent Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego.

Marek Dobrowolski – poeta, autor aforyzmów i fraszek. Amatorsko zajmuje się fotografią i rzeźbiarstwem. Członek Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku. Laureat I nagrody w Czerwcowym Konkursie Jednego Wiersza (Łomża, 2010) za wiersz *\*\*\*pomiędzy mną a śliwą...*. Literackim debiutem wydawniczym poety jest tomik „Między ziemią niebem a mną” (2010).

Marek Krysiwicz – ur. w Białymstoku, autor wierszy, piosenek i aranżacji muzycznych; pracuje jako mechanik samochodowy.

Mirosław Pisarkiewicz – ur. w 1963 r. w Zgierzu; poeta i prozaik. Ukończył historię na Uniwersytecie Łódzkim. Zajmuje się badaniem zabytkowych cmentarzy. Pracuje jako nauczyciel konsultant w Sieradzu. Członek Honorowy Towarzystwa Miłośników Ziemi Łęczyckiej. Należy do Towarzystwa Naukowego Płockiego i Stowarzyszenia Prasy Lokalnej. Członek Rady Muzeum w Łęczycy.

Piotr Malinowski – ur. 21.10.1999 r. w Toruniu. Uczeń Zespołu Szkół Przemysłu Spożywczego i VIII Liceum w Toruniu. Interesuje

się literaturą i historią. Prezentowane opowiadanie jest jego debiutem literackim.

Regina Świtoń – nauczyciela (obecnie na emeryturze); autorka tomików poetyckich, m. in.: „Strofy o mojej ziemi”, „W tęczowych szufladach”, „Uśmiechnięty świat”. Współautorka Kajetu Starobojarskiego „Wyjaśniając siebie”. Laureatka wielu nagród i wyróżnień literackich. Członkini Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku.

Urszula Sieńkowska-Cioch – urodziła się i mieszka w Augustowie. Z wykształcenia i zawodu jest oligofrenopedagogiem. Od wielu lat pracuje z osobami z niepełnosprawnością intelektualną i różnymi dodatkowymi niepełnosprawnościami. Autorka wierszy i książki „Gdy spotkasz gadający Kapelusz”. Jej opowiadanie „Zegar” zajęło II miejsce w augustowskim konkursie literackim „Liść Dębu” 2015.

Wojciech Załęski – rzeźbiarz, pisarz, publicysta. Studiował w PWSSP w Gdańsku. Pracował w Liceum Plastycznym w Supraślu. Z zamiłowania historyk. Autor m. in. „Igraszek z gwiazdą” (1991), „Opowieści z Puszczy Knyszyńskiej” (1993), „Witaj w Supraślu” (1997), „Tykanie słonecznego zegara” (1999), „Fotoczasów” (2005), „Hecz Precz Stała Się Rzecz” (2010) oraz licznych esejów, rozpraw oraz artykułów popularnonaukowych i publicystycznych.

Zyta Gielżyńska – z zawodu inżynier budowlany; wielbicielka malarstwa, literatury i podróży. Objechała całą półkulę północną (była m. in. w Japonii). Tańczy w zespole flamenco, jeździ na rowerze, uczestniczy w zimowych rajdach nordic walking. Członkini Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Ma 75 lat.